

# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

110

## MIŁOSZ

ZAGAJEWSKI  
SHAKESPEARE  
SNYDER  
HARTWIG



REDAKCJA:

Krzysztof Myszkowski – redaktor naczelny

Barbara Laskowska – biuro redakcji

ZESPÓŁ:

Adam Bednarek, Jan Błoński (1931–2009), Stefan Chwin, Aleksander Fiut,  
Michał Głowiński, Marek Kędzierski, Julian Kornhauser, Leszek Szaruga

ADAM ZAGAJEWSKI	5	Spróbuj opiewać okaleczony świat
TOMASZ RÓŻYCKI	7	Ciemny płaszcz. O Adamie Zagajewskim
MICHAEL KRÜGER	21	23.03.21, przedwczoraj umarł Adam Zagajewski w tłumaczeniu Ryszarda Krynickiego
RENATE SCHMIDGALL	23	Smutny marzec
ALEKSANDER FIUT	24	„Paczka” w zaświaty
WILLIAM SHAKESPEARE	42	Dwa sonety w nowym przekładzie Antoniego Libery
110 ROCZNICA URODZIN CZESŁAWA MIŁOSZA		
RENATA GORCZYŃSKA	46	Miłosz wileński
ALEKSANDER FIUT	67	Posłuchajmy Czesława Miłosza
ANDRZEJ ZAWADA	79	Niepamięć, niestety
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	85	<i>Świat, Ziemia</i> , teologia
GARY SNYDER	97	Wiersze w przekładzie Andrzeja Szuby „Ten szlak nie jest szlakiem” • Lata
	98	Wzajemnie
	99	Serce puszczy
100 ROCZNICA URODZIN JULII HARTWIG		
JULIA HARTWIG	101	Na cześć moich braci
DANIELLE LEHTINEN	105	Kartka z Pensylwanii
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	106	Daleko, blisko
PIOTR SZEWC	109	Słowa wędrowały • Cztery ursusy
	110	Miejsce • Winusia
	111	Włókna • Reczka
	112	Gwóźdź
ZBIGNIEW MENTZEL	113	Tortury (fragment powieści)
GRZEGORZ WRÓBLEWSKI	116	Cukinie, wiersze dla Pufinka (fragment)

PETER FABJAN	119	Kilka impresji o charakterze Thomasa Bernharda w tłumaczeniu Marka Kędzierskiego
MIROŚLAW DZIEŃ	124	Pomocnica • Tak samo
	125	Campo di Fiori, maj'20 • *** ( <i>Byłem narratorem...</i> )

#### POLEMIKA LITERACKA

ANTONI LIBERA	126	W odpowiedzi na wiersz Michaela Krügera
RYSZARD KRYNICKI	128	Odpowiedź na list Antoniego Libery w sprawie tłumaczenia <i>Bereniki</i> , opublikowany w 108 numerze „Kwartalnika Artystycznego”
ANTONI LIBERA	131	Odpowiedź Ryszardowi Krynickiemu

#### VARIA

KAZIMIERZ BRAKONIECKI	132	Widnoksiąg (3)
STEFAN CHWIN	135	Dziennik 2021 (2)
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	143	Fragmety murów obronnych (7)
LESZEK SZARUGA	148	Świat, w którym żyłem
PIOTR SZEWC	155	Z powodu i bez powodu (62)
ARTUR SZLOSAREK	158	Notatki do zapomnianych podróży (7)

#### RECENZJE

JERZY JARZĘBSKI	166	Raczej nie żyć?
ANDRZEJ ZAWADA	170	Pokój z osobnym wejściem
NOTY O AUTORACH	180	
KOMUNIKAT	182	
NOWE KSIĄŻKI	184	

Dnia 21 marca 2021 roku zmarł w Krakowie



**Adam Zagajewski**

poeta

R.I.P.



**ADAM ZAGAJEWSKI**

**Spróbuj opiewać  
okaleczony świat**

Spróbuj opiewać okaleczony świat.  
Pamiętaj o długich dniach czerwca  
i o poziomkach, kroplach wina rosé.  
O pokrzywach, które metodycznie zarastały  
opuszczone domostwa wygnanych.  
Musisz opiewać okaleczony świat.  
Patrzyłeś na eleganckie jachty i okręty;  
jeden z nich miał przed sobą długą podróż,  
na inny czekała tylko słona nicość.  
Widziałeś uchodźców, którzy szli donikąd,  
słyszałeś oprawców, którzy radośnie śpiewali.  
Powinieneś opiewać okaleczony świat.  
Pamiętaj o chwilach, kiedy byliście razem  
w białym pokoju i firanka poruszyła się.  
Wróć myślą do koncertu, kiedy wybuchła muzyka.  
Jesienią zbierałeś żołędzie w parku  
a liście wirowały nad bliznami ziemi.  
Opiewaj okaleczony świat  
i szare piórko, zgubione przez drozda,  
i delikatne światło, które błądzi i znika  
i powraca.



18 kwietnia 2012 roku, godz. 14.11, mniej więcej w połowie drogi z lotniska w Monachium do Lany (Górna Adyga / Tyrol Południowy, oficjalna nazwa: Trentino-Alto Adige/Südtirol).  
Adama Zagajewskiego za kierownicą zastąpi teraz Tomasz Różycki.



# TOMASZ RÓŻYCKI

## Ciemny płaszcz. O Adamie Zagajewskim

### 1. Spróbuj

Zanim wiersz Adama Zagajewskiego *Spróbuj opiewać okaleczony świat* trafił na okładkę specjalnego, żałobnego numeru tygodnika „The New Yorker” po zamachach na World Trade Center i od razu stał się sławny w Ameryce, autora tego wiersza znano i ceniono już w Europie, zwłaszcza w Niemczech, gdzie na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych spędził dwa lata jako stypendysta DAAD. W Polsce był znany w wielu środowiskach jako autor ważnych pokoleniowo i polemicznych nie tylko estetycznie, ale i politycznie książek. Jego obecność na amerykańskiej scenie życia literackiego zaczęła się od tego, że jeden z ważniejszych wydawców w kraju wydał jego wiersze, zarekomendowane – jak opowiadał potem Adam – przez Josifa Brodskiego. Tymi wierszami zachwycił się Miłosz, Herbert, Susan Sontag i wielu amerykańskich poetów i krytyków, a Adam prowadził zajęcia na Uniwersytecie w Houston i w Chicago. Potem – na skutek zbiegu okoliczności, a przecież wiemy, jak to jest z przypadkami, *Spróbuj opiewać okaleczony świat* pojawił się w tym niezwykłym momencie w „New Yorkerze” i na spotkaniach autorskich często proszono go o przeczytanie tego właśnie wiersza, a przecież niemal każdy jego wiersz był taki: każdym próbował opowiedzieć o radości, żalu, o zachwycie, żalobie, i o pocieszeniu w poezji, która jest tym wszystkim jednocześnie. Urodził się we Lwowie, mieście, w którym od pokoleń mieszkała jego rodzina i które straciła, zmuszona do wyjazdu, kiedy był kilkumiesięcznym dzieckiem. Urodził się w okaleczonym kraju, tuż po drugiej wojnie światowej, która w samej Polsce zabrała sześć milionów mieszkańców i starła z powierzchni ziemi jej stolicę. Przez całe życie robił właśnie to: próbował opiewać świat, który mimo wszystko jest wstrząsająco piękny. Być może chciałby, aby tak jak w jego wierszu *Wielki Piątek w korytarzach metra*, gdzie *Pasja św. Mateusza* przemienia ból w piękno, i jemu udała się taka próba.

Urodził się 21 czerwca, dzień paradoksu, letniego przesilenia, gdzie wszystko się zaczyna i kończy równocześnie, tam, gdzie wskazówka sezonów osiąga apogeum i zaczyna opadać, kiedy ziemia na swej osi obrotu wychyla się najbardziej w kierunku słońca, a równocześnie to pierwszy dzień ponownego upadku w ciemność. Jego rokiem urodzenia był rok 1945, rok przełomowy, kiedy wszystko

się skończyło i wszystko się zaczęło. Zmarł 21 marca, w Międzynarodowe Święto Poezji, w pierwszy dzień kalendarzowej wiosny, kiedy żegna się zimą, a w Polsce od lat obowiązuje Dzień Wagarowicza i tysiące dzieciaków ucieka ze szkół na wagary. Aż do tego roku, ponieważ wyjątkowo w 2021 roku szkoły w większości wypadków były zamknięte.

I to, że nazywał się A–Z, tak jakby wahadło przechodziło od jednego do drugiego krańca alfabetu, przemierzając po drodze wszystkie możliwości języka, całą skalę. Ale dość tej taniej kabały.

Przypominam sobie moment, kiedy przyjechałem do Krakowa na studia. Właśnie upadła komuna, odwracały się czasy, był przełomowy i paradoksalny rok 1989. Kraków był brudny – mury kamienic niemal czarne, powietrze zanieczyszczone spalinami. Lata osiemdziesiąte w Polsce były latami zmęczenia, kryzysu i codziennej walki. Nawet najprostsza codzienna rzecz wymagała wielkiego wysiłku. Wydawało się, że życie składa się z samych utrudnień. Na straganie przy Uniwersytecie Jagiellońskim kupiłem dwie lub trzy jego książki, które do tej pory były niemal nieosiągalne, ich druk w Polsce nie był legalny w czasach komunistycznych. Były to wydania „podziemne”, nielegalne reprinty wydań paryskich i londyńskich jego wierszy i esejów. W tamten ciepły dzień, siedząc na ławce w parku na Plantach we wciąż troszkę jeszcze nierealnym dla mnie Krakowie, przeżyłem moment oszołomienia. Poczulem, że trafiam na poezję należącą do żywiołu powietrza: można było nią oddychać. Można było unieść się lub inaczej – zanurzyć się i być uniesionym, tak jak tego doświadcza ciało w ciepłym Morzu Śródziemnym. „W tej jednej czarodziejskiej chwili jest mu wszystko jednakowo bliskie i jednakowo dalekie: czuje się zespólny ze wszystkim. Przeszłość niczego mu nie zabrała, przyszłość niczego mu nie da. W tej czarodziejskiej chwili zapanował nad czasem”<sup>1</sup>. Wtedy, na ławce, spojrzałem na ten smutny i brudny kraj inaczej, ktoś potwierdził, że jest w naszym życiu coś jeszcze, być może niewidzialnego na pierwszy rzut oka, ale ważniejszego i piękniejszego, dodającego otuchy i odwagi, wyzwalającego. Wiersze te jeszcze niedawno, za czasów Polski Ludowej, były objęte zakazem druku: pomyślałem, jak żałosne, słabe i podłe musi być państwo z dziesiątkami tysięcy funkcjonariuszy, skoro boi się takiej poezji.

Była to poezja bardzo konkretna i polska, tak bardzo jak tylko może być polskie wspomnienie utraconego Lwowa – i równocześnie oderwana od przeklętych polskich problemów, inna, światowa, wolna. Nie dlatego, że wiersze te były oderwane od rzeczywistości, jak zarzucała im nieraz polska krytyka, nie – one były

---

<sup>1</sup> Hugo von Hofmannsthal, *Poeta i nasze czasy*, [w:] *Cztery głosy o poezji*, przełożył Jan Kaspróvicz, Lwów 1910.

o rzeczywistości samej, ponieważ nasza rzeczywistość jest podwójna już choćby przez samo to, że składa się z widzialnego i niewidzialnego, a w dodatku, gdyby zacytować Hegla, jest zagrożona „furią zanikania” i dlatego dostępna nam tylko na mgnienie. Poezja to również świadomość tego zanikania, elegia, pożegnanie rzeczywistości, moment żałoby, potrzebny, abyśmy mogli udźwignąć nie tylko stratę, ale i nadmiar pamięci.

Piszę to, ponieważ pewne rzeczy wydarzają się w życiu tylko raz, możemy je pominąć milczeniem, ale to milczenie prędzej czy później przerośnie nas i pochłonie. Możemy także spróbować podziękować za nie, choćby nieudolnie, ale podziękowanie z natury rzeczy jest mniejsze niż dar, który się otrzymało. Aby opisać coś, należy nabrać do tego dystansu. Najlepiej także, aby obiekt opisu znieruchomiał, co nie jest w tym wypadku możliwe, nawet przy pomocy takiego środka utrwalającego jakim jest śmierć. Nie można bowiem opisać serca dzwonu w ruchu, można spróbować najwyżej opowiedzieć o jego balansowaniu. I nawet nie chodzi o to, że na dystans w tym przypadku prawdopodobnie zawsze będzie za wcześnie. Po prostu nie wiem, czy dystans w tym wypadku w ogóle jest możliwy, bo trudno nabrać wystarczającego dystansu do samego siebie. Jak pisał Wallace Stevens: „Cytaty mają szczególne znaczenie ze względu na to, że notujemy wyłącznie własne słowa, niezależnie od tego, kim jest ten, kto je napisał. To »kim jest ten«, to sam cytujący, ale pod inną postacią, w innej epoce, w innych okolicznościach”<sup>2</sup>. I nawet nie w tym rzecz, że to, o czym chcę napisać, jest niewidzialne czy nieuchwytnie, po prostu nasze spotkanie odbyło się gdzieś w żywiole powietrza i odtąd pewna nieuchwytna część jest nam wspólna. Ta nieuchwytna część wcale nie zniknęła, ona wciąż tu jest, wciąż jest we mnie i właśnie dlatego dystans nie jest możliwy. Zresztą podobnie jak w przypadku większości opublikowanych wspomnień o umarłych – wszystko to, co napisane w większej mierze dotyczy wspominającego, nie umarłego. I to mnie uspokaja.

## Owoce

Nieuchwytnie jest życie i tylko  
we wspomnieniu odsłania swoje rysy,  
tylko w nieistnieniu. Nieuchwytnie są  
popołudnia, dojrzałe i głośnie, liście

---

<sup>2</sup> Wallace Stevens, list do Elsie Violi Kachel, z dnia 7 stycznia 1909, [w:] *Sur Plusieurs Beaux Sujets. Wallace Stevens' Commonplace Book*, Stanford University Press, Stanford 1989.

pełne soku, wypukłe owoce, szeleszczące  
jedwabie kobiet [...]. Nieuchwytne góry na widnokręgu.  
Tęcza niedotykalna. Wielkie skały obłoków  
płyną powoli po niebie. Nieuchwytne,  
bogate popołudnie. Moje życie,  
wirujące i nieuchwytne, wolne.

## 2. Opiewać

Ta poezja wydawała mi się inna od wszystkiego, co czytałem do tej pory, zwłaszcza z poezji współczesnej, naznaczonej jakąś ponurą ciężkością, jakimś drewnianym suchym kołatanem języka. Miała w sobie oddech i przestrzeń, nie była ciasna, była rozsadzona światłem. Nie miała w sobie splątania i mozołu, była tak jak pisał sam autor – „poszukiwaniem blasku”. To jest także poezja radości – czystej radości istnienia, podziwu dla piękna i świata, bycia jego dzieckiem. Radości takiej, jaką jest radość kąpieli w ciepłym Morzu Śródziemnym. Wiedział i pisał o tym, że w tym samym morzu toną uchodźcy, tak jak wiedział i pisał o tym, że Lwów, który tak kochał, tuż przed jego narodzinami był miejscem śmierci tylu ludzi. „Wiersz rośnie na sprzecznościach, ale ich nie zarasta” – jak pisał w *Odzie do wielości*. Nie rozgrzeszał go, ale jego poezja podejmowała to, co podejmowała poezja od początku swego istnienia: celebrowanie ludzkiego bytu, ludzkiego życia. Jest ciężkie i czasem nie do wytrzymania, ale świat zasługuje także na to, aby go chwalić, życie zasługuje na to, aby za nie dziękować i dobro jest potężniejsze niż zło. „Zachłyśnięcie się światem” uwielbiał w jego poezji Czesław Miłosz. Wiersze Adama często są ekstatyczne, orgazmiczne, wychodzące od konkretnego i przekształcające się w hymn – jak, między wieloma innymi, wiersz *Lawa*, który mógłby być próbą odpowiedzi na słynne zdanie Adorno, że pisanie wierszy po Auschwitz jest barbarzyństwem. Opowiadają o błyskach szczęścia, o tych momentach, w których, jakby powiedział Schopenhauer, „wolni jesteśmy od haniebnego naporu woli, świętujemy sabat okiełznania woli, koło Imiona zatrzymało się w miejscu”<sup>3</sup>, a które Nietzsche określał mianem „wiecznego powrotu”. To poezja lekka i przesywająca zarazem, i kiedy czytam ją, mam wrażenie, że kalendarz znów się pomylił i zapomniał o świętach, które ona ogłasza.

Cóż jednak, pomyślałem, jeżeli jednocześnie  
i Heraklit, i Parmenides mają rację

---

<sup>3</sup> Artur Schopenhauer, *Świat jako wola i przedstawienie*, przełożył Jan Garewicz, Warszawa 2009, t. I.

i tuż obok siebie istnieją dwa światy,  
jeden spokojny, drugi szalony; jedna strzała  
mknie bez pamięci a druga przygląda się jej  
z pobłażaniem; ta sama fala płynie i nie płynie,  
zwierzęta rodzą się i giną w tej samej chwili,  
listki brzozy bawią się wiatrem i jednocześnie  
niszczą w rdzawym, okrutnym płomieniu.  
Lawa zabija i utrwała, serce uderza  
i jest uderzone, była wojna, wojny nie było,  
Żydzi umarli, Żydzi żyją, miasta spłonęły,  
miasta stoją, miłość płowieje, wieczny pocałunek,  
skrzydła jastrzębia muszą być brązowe,  
ty wciąż jesteś ze mną chociaż nas już nie ma,  
okręty toną, piasek śpiewa i chmury  
wędrują jak strzępy weselnych welonów. [...]

Młodość zamienia się w nicość w ciągu  
jednego dnia, twarze dziewcząt zamieniają się  
w medaliony, rozpacz zamienia się w zachwyty  
i twarde owoce gwiazd rosną na niebie  
jak winogrona i piękno trwa drżące i nieporuszone  
i Bóg jest i umiera, noc wraca do nas  
co wieczór a świt jest siwy od rosy.

Uchwycony moment przejścia, transcendencji, fotografia, która przyłapuje znikanie. Tak, jakby poezja była miłoszowskim „momentem wiecznym”. „Jeżeli przez wieczność – pisze Ludwig Wittgenstein – rozumieć nie nieskończony czas, lecz bezczasowość, to ten żyje wiecznie, kto żyje w teraźniejszości”<sup>4</sup>. Tak, jakby wciąż istniało „tamto”, zniknięte życie, wszystko było jeszcze możliwe, niczego nie straciliśmy i równocześnie wciąż istnieje żal po stracie, nieutulony, którego nie musimy się wstydzić, wciąż istnieje nasz płacz. Jakaś niewidzialna ręka pisze wiersz, dotyka nas i, kiedy śpimy, przestawia w pokoju przedmioty, zmienia nasz świat, zostawiając czasem swój tajemniczy ślad. Jeszcze z wiersza o Garonnie z tomu *Niewidzialna ręka*:

---

<sup>4</sup> Ludwig Wittgenstein, *Tractatus logico-philosophicus*, przełożył Bogusław Wolniewicz, Warszawa 2000, 6.4311.

[...] Nikt nie patrzył, nie było kamer,  
tylko oko błękitu; absolutna ignorancja,  
błogość, gloria, uspokojenie.  
Nóż do otwierania listów  
leżał na drewnianym stole,  
garść orzechów, śliwka węgierka,  
która świeciła fioletowo  
jak na hiszpańskim płótnie,  
i zużyty plastikowy długopis  
z ciemnymi smugami poezji.

Nazywano go poetą elegijnym, z czym po pewnym czasie się zgodził, jeśli poezja jest także próbą zatrzymania czegoś, co przemija i zmierza do nieistnienia. Podwójność, paradoks, dychotomia – ale też całość. Pisząc o co najmniej podwójnej rzeczywistości, Adam Zagajewski nie ma na myśli łatwej metafizyki, to nie poeta katolicki. „Mistyka dla początkujących” – tak lubił nazywać swoją poezję i poezję w ogóle – lub cytując swego ojca, inżyniera, „Lekka przesada”. Nie wielkie epifanie skierowane do Boga, raczej próba pokazania całości rzeczywistości – czyli także tego, co niewidzialne, życia wewnętrznego, życia duchowego splecionego z życiem namacalnym, bolesnym i okrutnym. Widzialna część także zaraz zniknie, pozostaje tylko światło, promyk nadziei. Jak w malarstwie Caravaggio, wiersze Zagajewskiego pokazują moment przejścia, sekundę, kiedy zapala się boska iskra i pada w ciemność, oświetlając złe, zdziwione lub roześmiane ludzkie twarze, twarze wykrzywione cierpieniem lub nienawiścią, podłością, lub po prostu twarze zwykłe, pospolite, które przemienia blask: ten moment, który decyduje, że nic nie będzie jak wcześniej. Okrucieństwo i litość dla ciała, dla materialnego świata oświetlała wyzwalająca iskra boskości, tajemnicza i nieoczywista, przynosząca zaledwie nikły błysk nadziei – jak sam napisał o tym w wierszu: „Oni żyją w półmroku i nagle przychodzi światło”. Dokonuje się przemiana, przejście. Ruch wahadła od jednego do drugiego wychylenia. Nagle zwykła chwila staje się oknem, a rama obrazu framugą drzwi, przez które możemy wyjść poza nasz czas, w małą wieczność, w małe zmartwychwstanie.

### 3. Okaleczony

Adam Zagajewski spędził na emigracji dwadzieścia lat, mieszkał w Paryżu i Houston, a potem w Paryżu i Chicago – w obu tych amerykańskich miastach przez jakiś czas uczył. Nie nazywał się wygnańcem, protestował, że do Paryża pojechał ze

względu na miłość swojego życia, Maję, choć przecież w Polsce był objęty zakazem druku i nie mógłby tak łatwo wrócić do kraju. Choć pierwsze lata w Paryżu były ciężkie, uważał, że pisarze pośród wszystkich emigrantów, są jednymi z najbardziej uprzywilejowanych. Nie giną cali, zostaje po nich ślad.

Wśród wierszy czytanych wtedy na ławce w Krakowie był także wiersz *Jechać do Lwowa* – już wówczas słynny i znany mi w liceum z powielanych byle jak samizdatowych wydań „Zeszytów Literackich”. Ten wiersz był mi szczególnie bliski ze względu na moją rodzinną historię. Podobnie jak Adam, mój ojciec urodził się na Łyczakowie, tam, gdzie mieszkali także i Herbert, i Lem, i Debora Vogel. I moi rodzice zostali wysiedleni stamtąd do śląskiego ponemieckiego miasta. Wspominam o tym, ale przecież nie takie „przypadkowe” powinowactwo jest istotne, to nie ono sprawiło, że ten wiersz stał się także i moim hymnem. Lwów jest tam „drugą Jerozolimą”, a powrót do niego z przeszłości w naszej widzialnej rzeczywistości jest niemożliwy. Wspólnota wygnania jest wspólnotą tęsknoty za czymś nieosiągalnym, za czymś mitycznym, co istnieje jedynie w pamięci lub bardziej nawet w wyobraźni. „Jechać do Lwowa” to znaczy uciekać do Lwowa, wyjeżdżać w stronę wiecznego trwania, poza czas, do Nowego Jeruzalem, wyjazd jest ucieczką przed szarością i zwątpieniem, wyprawą do krainy zmarłych, wyprawą do raj, do cudownego „Nigdzie”. „Prawdziwe życie jest nieobecne”, jak pisał pewien szaleniec w poezji, najbardziej liryczny z liryków. Ten Lwów Zagajewskiego nie jest Lwowem dla różnych towarzystw miłośników ziemi lwowskiej, zbierających się, żeby wspominać w dość ortodoksyjnym duchu swój Lwów – to raczej Bizancjum z wiersza Yeatsa, greckie elizjum. Brzoskwinia. Idealna i piękna. Nieuchwytna.

Urodziłem się w rodzinie, gdzie lwowskie wspomnienia były wciąż na porządku dziennym i utrzymywały mnie w przekonaniu, że jesteśmy na Śląsku tylko chwilowo, wypędzeni z miejsca rajskiego. Lwów, najśmieszniejsze i najpiękniejsze miasto świata, był nietknięty we wspomnieniach – jeśli cokolwiek pozostało po potwornym czasie wojny i cynicznym zniszczeniu każdej świętości przez powojenne czasy komuny, to tylko Lwów, „idealny i piękny jak brzoskwinia”.

To podwójne życie wygnańców Adam Zagajewski wspaniale opisuje w eseju *Dwa miasta*, gdzie na faktyczną mapę Gliwic, w których spędził dzieciństwo po przyjeździe ze Lwowa, nałożona jest wyobrażona i utrzymywana we wspomnieniach przesiedlonych – rodziny, znajomych i sąsiadów, bo wszyscy niemal w otoczeniu Adama byli lwowiakami – mapa lwowskich ulic. Tak, aby chodząc po Gliwicach wyobrażali sobie wciąż, że chodzą po Lwowie. Aż do kumulacji w postaci sąsiada z dołu, który odmawiał wychodzenia na zewnątrz, bo nie zgadzał się z tym, że to, co tam widzi, to nie jest jego ukochany Lwów. Jeśli już pojawiał się na podwórku, aby wyrzucić śmieci, to zawsze w piżamie, starając się

dać tym wyraz temu, że jest tu tylko na moment i nie zamierza na poważnie brać otaczającej go rzeczywistości.

*Jechać do Lwowa* nauczyło mnie czegoś ważnego – pokazywało nierealność i nieuchwytność własnej tęsknoty i pozwalało uwolnić się od przekleństwa pamięci, Lwów umieszczając w perspektywie uniwersalnych idei. „Dlaczego każde miasto musi stać się Jerozolimą, a każdy człowiek Żydem?” Czytając to, czułem, że moja tęsknota została włączona do uniwersalnej wspólnoty nas wszystkich, ludzi.

Wspomniany wcześniej wiersz *Spróbuj opiewać okaleczony świat*, opublikowany na czarnej okładce „The New Yorker” po tragedii 11 września 2001 roku w Nowym Jorku, stał się nagle głosem wielu tysięcy Amerykanów. Adam, jak kiedyś powiedział, napisał go po wycieczce z ojcem na pogranicze Polski z Ukrainą, gdzie po pięćdziesięciu latach od wydarzenia wciąż widzieli ruiny i pokrzywy zarastające ślady zniknięcia ukraińskich wiosek w górach, z których wysiedlono ludność w czasie powojennej akcji „Wisła”. Wiersz został napisany półtora roku wcześniej, nim ktokolwiek mógł pomyśleć o zamachach w Nowym Jorku. Został napisany dlatego, że świat był okaleczony wcześniej, że ludzie ginęli w czasie drugiej wojny światowej, przed nią i po niej, że nadal tam, z ciemnych zarośli patrzą na nas cienie naszych bliskich z Kołomy, Ravensbrück, Srebrenicy. Że wreszcie poezja jest żałobą po każdej śmierci, po każdym zniknięciu, jest świadkiem „furii zanikania” – ten wiersz okazał się nagle boleśnie prawdziwy, tym razem dla kogoś innego, gdzie indziej, w innym języku, ponieważ wzywa do pamiętania, że pomimo wszystko dobro, prawda, miłość i piękno istnieją, że jesteśmy my, żyjemy w nich, żyjemy dzięki nim i warto o tym mówić. Warto wciąż pisać wiersze, aby świat mógł odrodzić się i trwać. „Cóż to za spotkanie – jakie rzadkie – pacjent znajduje lekarza”, jak pisał w *Traktacie o pustce*. Znowu okazało się, że poezja znalazła słowa na to, co dopiero się może stać, że była tam przed nami, zanim się narodziliśmy. I że potrafi połączyć ludzi we wspólnotę współczucia.

Ona wciąż jest o krok przed nami i chce nam powiedzieć coś, czego na razie jeszcze nie rozumiemy. Tak, jakby chciała odsunąć jeszcze trochę nieuchronnie nadciągający moment, na chwilę zatrzymać czas, jakby była ćwiczeniem transcencji, wprawką w znikaniu.

## Mistyka dla początkujących

[...]

Ten Niemiec na tarasie kawiarni  
trzymał na kolanach niedużą książkę.



Udało mi się zobaczyć jej tytuł:  
Mistyka dla początkujących.  
Od razu zrozumiałem, że jaskółki,  
które, przenikliwie gwizdząc,  
patrolowały ulice Montepulciano,  
[...] i witraże w kościołach jak skrzydła motyli  
pomazane pyłkiem kwiatów,  
mały słowik, który ćwiczył recytację  
tuż przy autostradzie,  
i podróże, wszystkie podróże,  
to była tylko mistyka dla początkujących,  
wstępny kurs, prolegomena  
do egzaminu, który odłożony został  
na później.

#### 4. Świat

Jeśli słowa z jego samotności trafiły do mojej samotności, mieliśmy małą solidarność, połączeni w tym najmniej widzialnym z żywiołów – żywiole powietrza. Wtedy, kiedy ja odkrywałem jego poezję, w Polsce narastał chór wybrzydzących i Adam stawał się pierwszym chłopcem do bicia – im więcej pojawiało się w jego wierszach nazwisk filozofów, malarzy, odwołań do muzyki, nazw zagranicznych miast, tym bardziej stawał się winny, tym częściej padały oskarżenia o to, że gardzi zwykłym człowiekiem, że jest „sytym kocurem”, że szybuje gdzieś ponad prawdziwymi problemami. Im więcej znajdował czytelników w świecie, tym mniej zadowoleni byli polscy krytycy i młodsze pokolenie poetów. Im bardziej próbował chwalić okaleczony świat, tym bardziej z niego kpiono, pięknoducha, który rzekomo nie cierpiał. Mówiono: to poezja dla intelektualistów, dla melomanów, dla koneserów sztuki, dla amerykańskiej, pełnej kompleksów i aspirującej do europejskiej ogłady klasy średniej, dla europejskiej zamożnej elity słuchającej na wakacjach w Toskanii kwartetów smyczkowych o zachodzie słońca. Mówiono: proszę, Zagajewski, здаwałoby się jeden z poetów zaczynających od krytyki socjalistycznej rzeczywistości, zaangażowany w ruch „Solidarności”, twórca cenzurowany, zapowiadający się jako jeden z *porte-parole* dla prostego człowieka, walczącego w roboczym drelichu z niesprawiedliwością społeczną systemu, opozycjonista walczący o prawa jednostki, nagle uciekł na Zachód i oddaje się estetyzacji rzeczywistości. Mówili: zmienił się, bo pojechał do Paryża i zaczął chodzić do tych pięknych restauracji, zapomniał o tym, jak to jest być Polakiem. W Polsce takich rzeczy się nie wybacza,

potrzebny jest poeta, który dzieli nasz wspólny los i nawet jeśli mówi „Ja”, to i tak ginie na barykadzie pośród innych. To kolejny z polskich przeklętych problemów: od pisarza wymagało się, aby był z „My”, aby był „My”, bo tylko tak wspólnota jest w stanie oddać mu głos i nadać rangę. Przekleństwo polega na tym, że polskie „My” buduje się zbyt często w opozycji do innego i potrafi być w głębokiej sprzeczności z „My” uniwersalnym.

On sam pięknie o tym pisał w *Solidarności i samotności*, tomie esejów z 1986 roku, gdzie próbował znaleźć równowagę pomiędzy dwoma biegunami – wspólnotowej solidarności i samotnego, sceptycznego indywidualizmu, egalitaryzmu i elitaryzmu – pomiędzy którymi poruszało się wahadło jego refleksji. Mówił tam o balansowaniu, o ciągłym przebieganiu drogi pomiędzy „My” a „Ja”, o sztuce utrzymywania dystansu do jednego i drugiego w momencie, kiedy dystans jest niemal niemożliwy, ale konieczny. Tak, aby „My” nie pożarło, nie pochłonęło „Ja” i nie odebrało mu prawa do marzeń i do tego, aby móc się pięknie różnić. Ale też tak, aby „Ja” nie straciło kontaktu, nie oderwało się od pola grawitacji „My” i nie poszybowało w zupełną samotność, aby utrzymywała je siła empatii. Samotność, podobnie jak i solidarność, była konieczna do tworzenia.

[...] myślałem  
o sztuce malowania i o sztuce życia,  
o tylu dniach pustych i zimnych,

o chwilach bezradności,  
o mojej zimnej wyobraźni,  
która jest sercem dzwonu  
i żyje tylko w rozkołysaniu,

uderzając o to, co kocha  
i kochając to, co uderza.

(z wiersza *Płótno*)

Jak wiadomo, dźwięk dzwonu słyszymy z opóźnieniem. Najpierw serce uderza w płaszcz, a zanim drgania rozejdą się i usta dzwonu oddadzą je powietrzu, a następnie nasze uszy odtworzą dźwięk, mija sekunda. Im większy dzwon, im potężniejsze uderzenie, im potężniejsze drgania, tym opóźnienie jest większe, a dźwięk trwa dłużej. Dźwięk dzwonu, jak każda muzyka, jest czasem płynącym w powietrzu, opóźnieniem, przemijaniem.

Wbrew temu, co mówili krytycy, pozostał zaangażowany. Na międzynarodowej scenie brał udział w dziesiątkach inicjatyw, niezmiennie i cierpliwie tłumaczył polską osobność wszystkim wokół, Niemcom, Hiszpanom i Amerykanom, a także udowadniał, że wszyscy należymy do tej samej duchowej wspólnoty, jest w niej miejsce i dla Bacha, i dla Caravaggia, i dla Kawafisa, i dla Simone Weil, dla Milesa Davisa, dla Anatolija Marczenki i dla Ruth Buczyńskiej. W Berlinie był członkiem Akademii der Kunst, w Paryżu wszedł w skład założycieli „Zeszytów Literackich”, niezwykle ważnego dla zachowania polskiej kultury pisma literackiego, był przyjacielem środowiska „Kultury” paryskiej, był przyjacielem Józefa Czapskiego i tylu innych. O tym, co robił dla krakowskiej kultury po powrocie z emigracji do Krakowa, doskonale wiedzą jego przyjaciele. Nie mogę wymienić nawet dziesiątej części jego zaangażowania, po prostu dlatego, że Adam był wyjątkowo dyskretnym człowiekiem i nigdy nie był gwiazdą, jak niektórzy pisarze, otaczający się całym dworem popleczników, zapatrzonych fanek i młodych poetów, przymilających się krytyków i wydawców. Kiedy w Polsce w ostatnich latach pojawił się rząd deprecujący prawa obywatelskie, Adam był jednym z protestujących i komentujących sytuację, także w swoich niezwykle wierszach. Znow stał się poetą opozycji, znow nienawidziła go władza. Zastanawiające, jak często w jego poezji pojawia się słowo „my” i jaką wciąż potrafi zbudować wspólnotę z czytelnikiem. Występował w obronie uchodźców i przeciwko szowinizmowi. Nie bał się oskarżeń ani ataków. Na spotkaniach z nim pojawiały się tłumy wielbicieli, na forach internetowych i w kawiarniach zawistnicy syczeli. W ostatnich latach w Polsce tylko on miał wciąż odwagę używać niektórych, wykpionych słów. Szedł swoją ścieżką i czasem wydawało się, że pozostał na niej zupełnie sam.

Wtedy, siedząc na ławce na Plantach, nie wiedziałem, że poznamy się, zaprzyjaźnimy i wkrótce stanie się jedną z najważniejszych osób w moim życiu, i że dziś nie będę potrafił znaleźć słów, żeby o nim napisać, ponieważ najtrudniej pisać o kimś, kto jest po prostu dobry. A teraz, jak sam pisał w wierszu *Ten dzień*: „jest, wydaje się, w najsilniejszym / punkcie swego istnienia, jeszcze rośnie [...] / osiągnął pełnię, największą pełnię możliwą, / jest tak pełny, tak wielki, wspaniały, że nie mieści się / w życiu”. I kiedy tu, gdzie jestem w tej chwili, pisząc ten chaotyczny tekst, w Szwajcarii, każda niemal gazeta pisze, że umarł „*der grosse polnische Dichter*”, teraz, jak myślę, wielu zaczyna zauważać, jaką postać straciliśmy. Dźwięk dzwonu dociera z opóźnieniem, choć niektórych ogłusza.

Pozostał taki obrazek z festiwalu w małej miejscowości wysoko w Alpach, w Alte Adige, czyli Südtirol. Był kwiecień, w dolinie było już ciepło i pachniały kwiaty. Pojechaliśmy wysoko w góry, najpierw kolejką, a potem krzeselkowym wyciągiem.

Okazało się, że tam, kilkaset metrów ponad dolinami, wciąż jest biało. Śnieg padał ogromnymi płatami, jechaliśmy wyciągiem krzeselkowym jeden za drugim w odległości kilkunastu metrów od siebie. Żaden z nas nie był przygotowany na taką pogodę i Adam miał na sobie tylko lekki czarny płaszcz. Widziałem go z przodu, zawieszzonego wiele metrów nad ziemią, przesuwanego się wzdłuż szpaleru ogromnych świerków, jakby płynął w białym tunelu. Śnieg padał coraz gęstszy, sunęliśmy w zupełnej ciszy i cała sceneria wydawała się być nierealna. W pewnym momencie zobaczyłem, że zupełnie spokojnie rozkłada parasol, żeby się nim osłonić. Wydawało się, że jego ciemna sylwetka unosi się w powietrzu za pomocą parasola, postać w czarnym płaszczu kołysała się z wolna przede mną o ten moment opóźnienia, nieuchwytna w syjącym śniegu jak migająca litera na białym ekranie, która błędzi i znika, i powraca.



19 kwietnia 2012 roku, godz. 11.03, jedziemy wyciągiem krzesłkowym z Lany do przełęczy Wigiljoch (od imienia Wigila/Wigiliusza, lokalnego świętego).

Na krzeselku nr 104 Tomasz Różycki, przed nim, na krzeselku nr 103 Adam Zagajewski. W Lanie wiosna w pełnym rozkwicie, tu jeszcze zima, zaczyna padać gęsty śnieg, więc Adam rozłożył parasol.



19 marca 2012, godz. 17.16, Adam Zagajewski i Michael Krüger na ulicy w Lanie

## MICHAEL KRÜGER

23.03.21, przedwczoraj umarł Adam Zagajewski

Pamiętasz naszą wyprawę do „World’s End”  
na wybrzeżu Pacyfiku? Za nami leżało Houston,  
gdzie w Rothko-Chapel zapomnieliśmy jednego westchnienia.  
Chciałeś pokazać nam delfiny, licznie  
płające tam w obu światach; już po tym, kiedy w muzeum  
dane nam było zajrzeć do innych światów, wraz z Rogierem  
van der Weyden, któremu wolno było malować nawet Boga.  
Nie zobaczyliśmy ani delfinów, ani Boga, niestety,  
ale za to usiedliśmy w małym barze w domku na drzewie,  
nad kłębiącą się mgłą, i pijąc gorzką *american coffee*,  
rozmawialiśmy o meksykańskim poecie Octavio Pazie  
oraz jego mitologicznych zaklęciach.

W Menil-Collection wystawiano wtedy gwasze Gorky’ego,  
Ormianina, który przez całe życie szukał swojej tożsamości,  
nim ostatecznie jakąś sobie wymyślił. Tak samo, jak mój ojciec  
należał do rocznika 1904, i kiedy skończyła się wojna,  
odebrał sobie życie. Arshile Gorky. Z jego córką Maro,  
która wyszła za mąż za Mathew Spendera, syna Stephena,  
rozmawialiśmy tu kiedyś, nad jeziorem Starnberger, o naszych ojcach.  
Co chcę przez to powiedzieć, Adamie – że pozornie krótką historię  
dwudziestego wieku będzie można napisać dopiero wtedy,  
gdy to wszystko weźmie się pod uwagę. Na przykład Mark Rothko,  
rocznik 1903, pochodził z Dynaburga, a jego obrazy są całkiem wolne  
od historii. Armia niemiecka, przez trzy lata okupacji  
wymordowała tam całą społeczność żydowską,  
było to dzieło Hinricha Lohse – dopiero w 2013 roku  
odebrano mu honorowe obywatelstwo rodzinnej miejscowości.  
Jak można to wszystko zrozumieć? Meksykanin Octavio Paz, na przykład,  
jest nie do wyobrażenia bez Europy. Encyklopedia porażek.  
Trudno doszukać się sensu w tym gąszczu.

Co mi zawsze pomaga, to twoje wiersze, Adamie,  
są tutaj bardzo potrzebne, można dzięki nim zrozumieć,  
dlaczego wykoleił się ten nasz dwudziesty wiek, i dlaczego  
również dwudziesty pierwszy nie powróci nigdy do swoich kolein, nigdy więcej,  
a po twojej śmierci już całkiem nie, to pewne.

Tłumaczył Ryszard Krynicki

Od tłumacza

O wyprawie w poszukiwaniu delfinów Michael Krüger pisał również we wspomnieniu o Adamie, *Beobachter einer verstümmelten Welt (Obserwator okaleczonego świata)*, opublikowanym 23 marca w dzienniku „Die Welt”:

„Adam uczył w Houston. Kiedy go tam odwiedziliśmy, chciał nam koniecznie pokazać pewne miejsce na wybrzeżu Meksyku, żebyśmy mogli wreszcie zrozumieć Amerykę – i żebyśmy mogli zobaczyć delfiny. Po długiej jeździe przez gęstą mgłę dotarliśmy wreszcie do niezagospodarowanego miejsca przy brzegu, gdzie rosło jedno jedyne drzewo, na którym jakiś przedsiębiorczy człowiek wybudował domek i urządził w nim bar kawowy. Jego nazwa: »World’s End«. Żadnych delfinów nie było widać”.



RENATE SCHMIDGALL

## Smutny marzec

*Pamięci Adama Zagajewskiego*

Dla tylu przyjaciół, którzy odeszli, pisałeś  
wiersze, specjalista od poetyckiej ewokacji.

Dziś to ja wołam. Czy mnie słyszysz?  
Nie wiemy.

Dlaczego nie spotykaliśmy się częściej,  
nie rozmawialiśmy, choćby przez telefon?

Zawsze myślałam, że dożyjesz późnego wieku,  
bardzo późnego, jak Twój ojciec.

W Twoim ostatnim wierszu jest styczeń, zima –  
nie Twoja pora roku.

Lubiłeś wiosnę, ciepłą pogodę,  
śpiew kosów.

Kiedyś w czerwcu szliśmy przez Planty  
i powiedziałaś: – Jeszcze śpiewają.

Niedawno nad ranem usłyszałam  
szloch kosa, zakrzyczany

ostrym krakaniem. Pomyślałam o Tobie  
i przestraszyłam się.

23 marca 2021

## ALEKSANDER FIUT

### „Paczka” w zaświaty

*In memoriam Adama Zagajewskiego*

W debiutanckim tomiku pt. *Komunikat* Adam zamieścił wiersz, który obecnie odczytuję jako przestrozę:

Umarłym przynosimy  
znoszone rzeczy  
Mówimy do nich słowami  
w których brakuje liter  
Na grobach sadzimy kwiaty  
ale robimy to zbyt zręcznie  
jakbyśmy się chętni  
naszym dobrym zdrowiem  
Wracając myślimy  
najlepiej byłoby  
posyłać umarłym paczki

*Pamięć*

Wspominając Adama, nie uniknę z pewnością „słów, w których brakuje liter”, bo żal, że go już nie ma, trudno mi wyrazić, raczej skłania mnie do milczenia. Będę się zatem starał nie przynosić mu „znoszonych rzeczy”, czyli rytualnego podkreślenia jego zasług i osiągnięć. Postanawiam pisać, jak lubił: powściągliwie, konkretnie i rzeczowo. Niech tę garstkę wspomnień i rozmyślań o jego poezji uzna za dowód pamięci, za wysłaną mu w zaświaty „paczkę” od przyjaciela.

\*

Nie pamiętam, kiedy osobiście poznałem Adama, ale mogę powiedzieć, że stałem się świadkiem jego dwóch poetyckich początków. Pierwszy to wczesne lata siedemdziesiąte. Byłem wówczas na studiach doktoranckich, ale poza zajęciami i pisanem swojego doktoratu, żywo interesowałem się tym, co wówczas działo się w literackim środowisku Krakowa. Przyjaźniłem się z Witem Jaworskim (niesłusznie obecnie zapomnianym poetą), jednym z członków poetyckiej grupy

Teraz, do której obok niego należeli, przypomnę, Adam, Julian Kornhauser, Jerzy Kronhold, Jerzy Piątkowski i Stanisław Stabro. Z ciekawością czytałem utwory lub słuchałem ich recytacji przez moich rówieśników, oprócz członków grupy Teraz – krakowskiej poetki, Ewy Lipskiej oraz poetów poznańskich – Stanisława Barańczaka i Ryszarda Krynickiego. Ciekawiły mnie artykuły ukazujące się w „Studencie”, który stał się niekwestionowaną trybuną naszej generacji. Chodziłem na wieczory i konkursy poetyckie w klubie Jaszczury oraz na przedstawienia Teatru Stu. Być może przy którejś z tych okazji ktoś mi przedstawił Adama. Czas był gorący, w środowisku literackim wrzało. Naszym przeżyciem pokoleniowym był Marzec 1968 – brutalne rozpędzenie demonstracji studenckich i nikczemna antysemicka nagonka. Pamiętam transparent rozpięty przy wylocie ulicy – wówczas Manifestu Lipcowego obecnie Piłsudskiego – z napisem: „Syjoniści do Syjamu”, który następnego dnia został skrętnie zastąpiony innym: „Syjoniści do Izraela”. Wstrząsające wrażenie zrobiło na nas również, w sierpniu tego roku, wkroczenie wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji, z haniebnym współudziałem polskich żołnierzy, którzy po powrocie byli witani przez przedstawicieli władz entuzjastycznie i z kwiatami. Prawdziwą traumę wywołała masakra robotników w grudniu 1970.

Obalenie Władysława Gomułki i nastanie epoki Edwarda Gierka poprawiło sytuację gospodarczą. Nowy pierwszy sekretarz PZPR ludził także społeczeństwo obietnicami liberalizacji i otwarciem Polski na Zachód. W te obietnice trudno nam było uwierzyć. W toczących się wówczas prywatnych rozmowach, jak dobrze pamiętam, nieufność mieszała się z nadzieją, brutalne realia totalitarnego reżimu ze złudzeniami, że w Polsce da się wprowadzić „socjalizm z ludzką twarzą”. Władze kokietowały wówczas młodych pisarzy, pozwalały – ale tylko w określonych granicach – przemawiać bardziej otwarcie i krytycznie, ale zarazem starannie śledziły, czy „odkręcenie śruby” nie idzie za daleko. Toteż w artykułach prasowych i w wierszach posługiwanie się ezopowym językiem nabrało wyjątkowej maestrii, toczyła się ciągła gra z cenzurą, bardzo zresztą kompetentną i wyczuloną na wszystkie niuanse językowe. Towarzyszyły temu – patrząc z obecnej perspektywy dosyć groteskowe – spory o użyte sformułowania, metafory, a nawet pojedyncze słowa. Owa gra stawała się tym trudniejsza, że poeci mojej generacji, nazwani później Nową Falą, domagali się zerwania z tradycją poezji lat sześćdziesiątych, czyli uciekania w świat wyobraźni czy samowystarczalnych gier językowych, a zamiast tego przedstawiania codziennej rzeczywistości PRL wprost i bez metaforycznych czy parabolicznych osłonek.

W programowej, żywo wówczas komentowanej, napisanej razem z Julianem Kornhauserem książce *Świat nie przedstawiony* rozdział pod znamienym tytułem *Katarakta* Adam rozpoczął przenikliwą diagnozą, która czytana dzisiaj, mało straciła, niestety, na swojej aktualności:

„Brak rozeznania czy, jak może lepiej byłoby powiedzieć, rozpoznania naszej sytuacji, jest jednym z głównych powodów chaosu w wielu dziedzinach kultury, niepewności artystów i porażek sztuki, błędzenia literatury i niecierpliwości pisarzy, nudziarstwa filozofów i małej odkrywczosci nauki. Dla naszej współczesnej kultury myślowej charakterystyczne jest działanie po omacku, postępowanie zmieniające się w zależności od doraźnych koniunkturalnych względów. Przyczyną tej niepewności jest brak zasadniczej diagnozy cywilizacyjno-kulturalnej lub też, co na jedno wychodzi, konkurencja kilku diagnoz wzajemnie sobie przeczących”.

Oczywiście doskonale wiedzieliśmy, że brak tej diagnozy, „chaos”, „działanie po omacku” były skutkiem rozkładającego się systemu komunistycznego, posługującego się ideologią marksistowską, w którą nikt już, nawet partyjni działacze, nie wierzył, i która zastąpiona została nacjonalistyczną retoryką w rodzaju: „naród z partią, partia z narodem”. Był to jednak system dysponujący kłamliwą propagandą, wszechwładną tajną policją oraz restrykcyjną cenzurą, a nade wszystko wspierany przez Związek Sowiecki.

Pamiętam, że podczas lektury tej książki ze zdumieniem odnajdywałem w tekstach Adama odwoływanie się do Tadeusza Peipera, ojca krakowskiej, dla mnie całkiem już zabytkowej, Awangardy. Kiedy czytam te wywody teraz, odkrywam, że zamiar Adama był nader chytry. Przy okazji dyskusji nad programem Peipera udało mu się przemycić zarówno krytyczną ocenę poezji lat sześćdziesiątych, jak i sformułować istotne postulaty adresowane do twórców Nowej Fali. Pisał, że „trzy postulowane przez Peipera cechy poezji, »pseudonimowość«, budowanie problematyki samymi środkami poetyckimi i wreszcie odejście od poezji jako wyrazu osobowości, stały się w naszych warunkach trzema chorobami poezji. Cechy te zmieniły się w aluzyjność, enigmatyczność i anonimowość”. Jednym zaś z powodów było to, że „poezja otrzymała nowy kontekst: pełen pseudonimów, potężny głos polityki i środków masowego przekazu”. Tymczasem nadzieją dla poezji, w domyśle nowej generacji, „staje się powrót do literatury konkretnego człowieka, konkretnego uczucia, gniewu, miłości, przerażenia. Nazywanie rzeczy po imieniu jest jedyną szansą literatury [...]. Nowy kontekst zmusza literaturę do szczerości, do mówienia prawdy”. Zabawne, że cenzura przepuściła ten „nowy kontekst”!

„Kontekst”, który miałby wóczas wolność i swobodę wypowiedzi.

Inaczej mówiąc, Adam domagał się od rówieśników w trakcie nieuchronnej konfrontacji z rzeczywistością PRL odnowionego języka poetyckiego, unikającego czy to taniego liryzmu, czy eskapizmu w domenę metaforycznych stylizacji oraz mitów starożytnych (o co Kornhauser oskarżył wtedy Zbigniewa Herberta). Domagał się nade wszystko wyrazistej etycznej postawy. Od poezji żądał realizmu, zaangażowania, mówienia prawdy oraz wrażliwości na doświadczenia, postawy

i odczucia społeczne. Krótko mówiąc, rzeczywistości, która nie została dotychczas prawdziwie przedstawiona.

W obliczu wszechwładnej cenzury oraz obowiązkowej indoktrynacji program zdawał się całkiem utopijny. A jednak poetom Nowej Fali udało się go choć w części zrealizować. Podczas gdy Stanisław Barańczak, parodystycznie demaskując kłamliwy język propagandy, demaskował pośrednio kłamstwo stojące u podstaw komunistycznego systemu, Adam ujawniał istotę reżimu, posługując się wyrazistymi scenkami obyczajowymi, kreślonymi z iście reportażowym zacięciem, kamuflażem metaforycznym oraz kulturową aluzją. Dobrym tego przykładem może być wiersz *Epikur z mojej klatki schodowej*:

Epikur z mojej klatki schodowej  
po wieczorowym uniwersytecie  
marksizmu leninizmu  
po skróconym kursie miłości  
dwa razy dziennie  
Wypuszcza na wolność  
swoją teściową schorowaną staruszkę  
która pluje starą czarną krwią  
i mówi do niego ty skurwysynu  
Wtedy on nastawia na nią radio  
gdzie właśnie jest audycja  
pełnym głosem o sprawach młodzieży  
i myśli jeszcze jestem młody  
moje życie otwiera się przede mną  
jak zatoka morska w pełnym blasku lata

Wówczas miłośnik poezji Herberta – byłem całkowicie zaskoczony. Takich wierszy jak ten wcześniej nie czytałem! Odnajdywałem w nim, w błyskawicznym skrócie, wgląd w dobrze, do znudzenia i obrzydzenia mi znaną rzeczywistość PRL. A zatem: diagnozę systemu posługującego się atrapą ideologii, propagandowym kłamstwem prowadzącym do atrofii międzyludzkich relacji; obraz bezwyjściowości i braku perspektyw życiowych dla młodego pokolenia; porażenie uczuciowe i bierną akceptację *status quo*. Wszystko to przedstawione z użyciem języka potocznego niestroniącego od wulgaryzmów. Wiersz wyrażał zarazem postawę poety, w której ironia (nazwać takiego młodzieńca Epikurem!) sąsiaduje z empatią, bystrość obserwacji z troską etyczną, a zaangażowanie polityczne z wrażliwością na los

pojedynczego, skrzywdzonego człowieka. Albo inaczej: reportaż łączył się w tym i podobnych wierszach, takich jak *Doświadczenie wewnętrzne*, *Potrawy bez smaku*, *Playback*, *Sklepy mięsne* z intelektualnym namysłem, notatki z życia codziennego opalizowały filozoficznymi aluzjami oraz kulturowymi i socjologicznymi rozpoznaniem.

Kiedy nadzieje na liberalizację ustroju zupełnie się rozwiały, Adam, jak dochodziły do mnie słuchy, zaangażował się w działalność polityczną, podpisał protest przeciwko zmianom w Konstytucji, za co został objęty zakazem druku, ogłaszał swoje utwory w drugim obiegu, a w okresie trwającego jeszcze stanu wojennego zdecydował się na emigrację.

\*

Spotkaliśmy się ponownie w Berkeley. Wówczas mogłem Adama lepiej poznać i naprawdę się z nim zaprzyjaźnić. W kontaktach osobistych okazał się człowiekiem nie tylko – co w nim od dawna podziwiałem – niezwykle prawym i odważnym, ale także otwartym, dobrym, pełnym serdeczności i ciepła. Od tej chwili bardzo go polubiłem. Podarował mi wtedy swój tom poetycki *List. Oda do wielości*, opatrując go dedykacją z datą: 10 kwietnia 1984. Adam, po osiedleniu się w Paryżu w 1982 roku, wydał ten tom w następnym roku w Instytucie Literackim, deklarując tym samym, że jest pisarzem emigracyjnym, dzięki czemu może uwolnić się od knebla cenzury i przemówić pełnym głosem.

Ten tom, którego część ukazała się wcześniej w drugim obiegu, dobrze ilustrował drogę, jaką przeszła poezja Adama w tamtym okresie. Zawierał wiersze politycznie zaangażowane, które nie mogły ukazać się w PRL. Stąd odnalazłem w nim zdjęty przez cenzurę tytułowy wiersz z *Komunikatu*, gdzie mowa o „państwie deficytowym / w którym wielka ilość przemówień / równoważy wszelkie niedomówienia” oraz „gdzie wyznaje się / ironiczną religię wspomnień i podwójnej wiary”. Państwo, w którym, jak głosi tytuł jednego z wierszy, *Wszystkiemu są winni Żydzi i liberałowie*, zaś *Sąd* więźniów politycznych to „trzy kłamstwa, dwie półprawdy, jedna / sprawiedliwość (nieobecna, / nieusprawiedliwiona)”. Podobnie demaskatorski charakter mają takie utwory, jak np. *Mała piosenka o cenzurze*, *Wolność*, *Gorączka*. Ostrze zostaje wszak wymierzone nie tylko w system komunistyczny, ale także w opozycję, która upaja się swoją niewinnością i podniosłą retoryką (*Zebranie warszawskie*). Poeta samokrytycznie wyznaje: „biegłem w pochodach skandowałem powietrze / tonąłem w rzece przyjaźni / głosowałem z zamkniętymi oczami” (*Skarga młodzieńca z dawnych lat*), a następnie, nie bez autoironii, deklaruje: „Jestem chyba zwykłym mieszczańskim / obrońcą praw jednostki, słowo wolność / rozumiem bez nadzwyczajnych klasowych / ograniczeń, naiwny politycznie, przeciętnie /

wykształcony / krótkie chwile jasności / to jego główne pożywienie" (*Ogień*). Powiada gdzie indziej, że „nawet wtedy, gdy / nie potrafię określić istoty wolności, / wiem dokładnie, co to jest niewola" (*Wolność*). Poruszony przeżyciami społeczeństwa w okresie stanu wojennego solidarnie się z nim identyfikuje, pisząc takie wiersze, jak *Wigilia 81*, *Żelazo*, *Ach, czołgi*.

Zaczyna jednakże odczuwać przemawianie w imieniu zbiorowości jako nieznośny przymus, ograniczenie indywidualnej swobody i suwerennego głosu. Buntuje się przeciwko temu, że „Nawet wiersze mówiły my”, gdy tymczasem „Ja spało / jak dziecko, pod płótnem / nieuważnego spojrzenia" (*W liczbę mnogiej*). Pojawia się ważny dylemat: solidarność czy samotność, któremu Adam poświęci znany zbiór esejów. W takich wierszach, jak *Późny Beethoven* czy *Schopenhauer płacze* szuka innej dykcji. Rozpoczyna swoją wędrówkę po świecie kultury, otwarcie daje wyraz przywiązaniu do muzyki i filozofii. Zaczyna też swoje łowy na momentalne olśnienia, pamiętając „Jak krótko trwa chwila jasności" (*Chwila*). I deklaruje: „tylko w cudzym pięknie / jest pocieszenie, w cudzej muzyce i cudzych wierszach" (*W cudzym pięknie*). Niczym jego poetyckie *Credo* brzmią słowa z *Ody do wielości*:

[...] Kto raz  
dotknął filozofii, jest zgubiony,  
nie uratuje go wiersz, zawsze  
pozostanie nie dająca się obliczyć  
reszta, żal. Kto raz poznał szalony  
bieg poezji, nie zazna więcej  
kamiennego spokoju rodzinnej prozy,  
gdzie każdy rozdział jest gniazdem  
jednej generacji. Kto raz żył, nie  
zapomni zmiennej przyjemności pór  
roku, nawet łopiany będą mu się  
śniły i pokrzywy, pająki niewiele  
brzydsze od jaskółek. Kto raz zetknął  
się z ironią, będzie parskał śmiechem  
podczas wykładu proroka, kto raz  
modlił się nie tylko suchymi wargami  
zapamięta obecność dziwnego echa  
idącego od którejś ze ścian.

Wspomniany pobyt w Berkeley był zarazem początkiem poetyckiej drogi Adama, która tym razem wiodła go na same szczyty literatury światowej. Podróżował wówczas po Ameryce z cyklem wieczorów poetyckich, a na zaproszenie Czesława Miłosza, z jego udziałem, czytał swoje wiersze w przekładzie angielskim na uniwersytecie kalifornijskim. Pamiętam, że sala była pełna, a słuchacze ze skupieniem słuchali tych utworów, żywo na nie reagując. Adam nie był wówczas w USA poetą całkiem nieznanym. Przypomnę, że trzy jego wiersze, *Wolność*, *Rozmawiałem z Francuzem* oraz *Wiersze o Polsce* przełożone przez Anthony'ego Grahama, ukazały się w 1980 roku w antologii *Witness out of Silence: Polish Poets*, a następnie zostały przedrukowane przez Miłosza w jego głośnej antologii *Postwar Polish Poetry*. W nocy poświęconej Adamowi autor *Ocalenia* napisał m.in.:

„Zagajewski i jemu współcześni piszą codziennym, prostym językiem o najbardziej oczywistych sprawach, o których nie mogli dowiedzieć się w szkole. Dyskutu- ją bez osłonek smutne fakty bieżącej historii ich kraju, który został zredukowany do roli zbuntowanego więźnia. Wydaje się zatem, że polska poezja, po zasymilowaniu szeregu awangardowych ruchów, zajmuje się obecnie przywróceniem poczucia obywatelskiej odpowiedzialności”.

Jak wspomina Adam w *Posłowiu* do dwujęzycznego wydania swoich wierszy, znakomity poeta amerykański, Derek Walcott, zachwyił się wtedy opublikowanym w „The New Republic” wierszem *Jechać do Lwowa*. Nieco później tytuł do anglojęzycznego wyboru jego utworów: *Tremor*, wymyślił Josif Brodski. Obydwaj poeci, później nobliści, stali się serdecznymi przyjaciółmi Adama. Miał znakomitych tłumaczy, poza wspomnianym Grahamem, należeli do nich: wybitny poeta C.K. Williams, Clare Cavanagh, Benjamin Ivry oraz Renata Gorczyńska. Miłosz wspominał mi, nie kryjąc uznania, że Zagajewski obraca się w kręgu bardzo wpływowej nowojorskiej elity, do której obok wspomnianych poetów należała m.in. Susan Sontag.

Na zaproszenie Edwarda Hirscha, od 1988 roku Adam prowadził semestralne wykłady *creative writing* na uniwersytecie w Houston. Warto też przypomnieć, że – obok Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej, Tadeusza Różewicza i Zbigniewa Herberta – został zaliczony do grona tzw. polskiej szkoły poezji w poezji amerykańskiej, zjawiska, które w skali USA było, jak podkreślał Miłosz, prawdziwym ewenementem, co zresztą zupełnie nie zostało w Polsce zauważone i docenione. Były to jedynie początki międzynarodowej kariery Adama. Z upływem lat pojawiało się bowiem coraz więcej przekładów jego twórczości na obce języki, zaczął otrzymywać liczne prestiżowe nagrody literackie oraz wielokrotnie został nominowany do Literackiej Nagrody Nobla.



\*

Tych, co znali Adama, musiał uderzyć kontrast pomiędzy jego sposobem bycia prywatnie i publicznie. Kiedy spotykał się z przyjaciółmi okazywał się człowiekiem obdarzonym zmysłem ciepłej ironii i dużym poczuciem humoru, łatwo wybuchającym głośnym śmiechem i zdolnym do szybkiej, celnej riposty. Kiedy zaś czytał swoje wiersze, uderzał w ton podniosły, prawie namaszczony, za co bywał nieraz oskarżany o sztuczność i narcystyczną pozę. Całkiem niesłusznie. Bo Zagajewski nie celebrował samego siebie – on celebrował sztukę układania słów, która z kolei była celebracją istnienia – we wszelkich jego formach i kształtach.

Przypominał pod tym względem Miłosza. Rzecz można, że podczas gdy poetycka młodość Adama upływała w cieniu Peipera, jego twórczość dojrzała rozwijała się w cieniu noblisty. Czego nauczył się od ojca Awangardy? Nade wszystko chyba poezji opisującej w nowatorski sposób cywilizację współczesną, przemianę społecznych zachowań, zwłaszcza w środowisku miejskim, oraz skutki wywierane przez kulturę masową w świadomości zbiorowej. Co w przekładzie na język poetycki oznaczało: zapisywanie scenek czerpanych z potocznej rzeczywistości oraz posługiwanie się metaforą opartą o zaskakujący koncept.

Lekcja, jaką wyniósł z lektury wierszy Miłosza, była o wiele bogatsza i bardziej skomplikowana. W jego wierszach łatwo dosłuchać się echa frazy autora *Ocalenia*, odnaleźć także niemało identycznych problemów i sposobów ich ujęcia. Kiedy wyznaje na przykład:

Piszę z podróży – bo chciałem widzieć,  
A nie tylko wiedzieć – widzieć wyraźnie  
Pożary i obrazy jedyne go świata.

*Widzieć*

– formułuje ważny postulat bardzo przypominający poetyckie założenia Miłosza. Ale Adam umiał przekroczyć obszar cienia swoich mistrzów, zdobyć się w dialogu z nimi na głos samodzielny i odrębny. Po ponownej lekturze wierszy Adama drugi ze wspomnianych dialogów wydał mi się szczególnie fascynujący i wart tutaj przypomnienia. Bo właśnie w trakcie dialogu z twórcą tej miary co Miłosz, dialogu prowadzonym otwarcie i pośrednio, poprzez podejmowanie analogicznych tematów – Adam wyjątkowo mocno podkreślił oryginalność i swoistość własnej poezji, ze zdolnego ucznia przedzierzając się w równorzędnego partnera. W tej konfrontacji, jak sądzę, wyraźniej kontury jego światopoglądu poetyckiego, bardziej ujawniają się skłonności jego wrażliwości i wyobraźni oraz silniej zaznacza zasadnicza odrębność dykcji. Jest to zatem okazja, by spojrzeć na tę poezję

z trochę innej perspektywy, podjąć próbę umieszczenia jej w odmiennym kontekście, inaczej docenić jej rangę i wybitność. Ograniczę się tutaj z konieczności do kilku krótkich, błyskawicznych przybliżeń.

\*

Podstawową figurą, w którą Adam, podobnie do Miłosza, wpisuje swoje życie i swoją poezję, jest *homo viator*, człowiek w podróży. Nieraz zresztą także nazywa siebie wędrowcem, wygnańcem, kimś, kto nie jest nigdzie do końca zakorzeniony, zawsze pozostaje „pomiędzy”. Już choćby pomiędzy Lwowem, gdzie się urodził, Gliwicami, gdzie spędził dzieciństwo oraz lata szkolne i Krakowem, który był miastem jego studiów, a pod koniec życia miejscem stałego osiedlenia, wreszcie Europą i Stanami Zjednoczonymi. Wciąż podróżując, z wielką skwapliwością utrwała swoje wrażenia z wędrówek przez miasta i kontynenty. Precyzyjnie przedstawia zmienne kształty zjawisk, różne pory dnia i roku, grę światła i ciemności – krótko mówiąc, pragnie, jak Miłosz, „widzieć wyraźnie”. Jego opisy są niezwykle plastyczne i wyraziste, odznaczają się sensualnym wyczuleniem na subtelne odcienie kolorów, na ulotne zapachy i wielorakie dźwięki. Dostrzec w nich można szczególną dbałość o najmniejsze detale. Przypominające pod tym względem wiersze Miłosza, dadzą się przy tym czytać niczym dziennik z podróży. Łatwo z nich odtworzyć szlaki wędrówek Miłosza i Adama po świecie, miejsca, które oglądali, lub które wywarły na nich szczególne wrażenie i zmusiły do ich utrwalenia. Ale przy wszystkich analogiach co innego przykuwa uwagę każdego z tych poetów, odmienną metodą przedstawiają swoje obserwacje i osobne pokoje zwiedzają w gmachu kultury.

Przed wszystkim z wyjątkową dokładnością i pieczołowitością Adam odnotowuje miejsce oraz czas pisania wierszy, co jest widoczne już w ich tytułach: *Maj, wieczór*; *Wielki Piątek w korytarzach metra*; *Oglądając Shoah w pokoju hotelowym w Ameryce*; *O północy*; *Pociąg do Maisons-Laffitte*; *Houston, szósta po południu*; *Porannek w Vicenzy*; *Wschód słońca nad Chassis*. Przejawia się w tym zapewne potrzeba przyszpilenia czasu i przestrzeni, tego „tu” i „teraz”, niedających się niczym zastąpić, ważnym przez swoją wyjątkowość i jednostkowość. U Miłosza takiej dbałości na ogół brak. Pewnie dlatego, że miejsca, w których przemawia, jakkolwiek konkretne, nieraz wprost nazwane, zdają się mniej przyciągać jego uwagę niż to, co ma zamiar powiedzieć. Bowiem zazwyczaj czerpie materiał z pamięci, a nie z bieżącej chwili, koncentruje się na wybranym ze wspomnień fragmencie, który zatrzymany w czasie, opalizuje dawniej ukrytymi znaczeniami.

Adam to poeta metafory i porównania, Miłosz to poeta synekdochy. Podobnie jak Miłosz wyczulony na pojedynczy przedmiot, wyodrębnione z całości zjawisko

czy przeżycie, spaja je ze sobą nieraz bardzo zaskakującym skojarzeniem. Miłosz natomiast konstruuje opis z dokładnie zaobserwowanych szczegółów, które odnoszą się w domyśle do jakichś reprezentowanych przez nie ukrytych całości. Układa je obok siebie niczym fragmenty mozaiki, nabierającej wielorakich znaczeń dopiero, gdy jest oglądana z dystansu. Nigdy nie napisałby, jak Adam, wersu: „Łąki Burgundii wspinają się na wzgórza / i leżą na nich nieruchomo jak ubrania” (*Łąki Burgundii*). Jeśli już szkicuje pejzaż czyni to tak: „Nad Wezerą zamki błyszczą, / a wyżej, wykuta w skale, / pustelnia stoi strażnicza / od tamtej wojny, stuletniej” (*Notatnik: Dordogne*).

\*

Adam, jak Miłosz, jest kolekcjonerem chwil zachwytu, momentów olśnień, poczucia trudnej do zrozumienia i oddania w słowach pełni. Olśnieniami, rodzajami doznania ulotnego szczęścia, mogą obdarzać ich nawet zdarzenia codzienne, na pozór banalne – jak choćby obserwowanie chłopców skaczących do Bosforu (*Istambuł*) czy spoglądanie z domowego ogródka na Zatokę San Francisco (*Szczęście*). Przy czym owe wyjątkowe chwile w wierszach Adama, ograniczają się do ich intensywnego przeżywania, skupiają na momentalnym pobłysku rzeki czasu. Nie mają, co u Miłosza w innych przypadkach bywa, charakteru niedoskonałych epifanii, które zdają się odsyłać w wymiar metafizyczny. Adam, niczym Faust, wzywa: „Niech nieruchomo trwa błyszcząca chwila” (*Nie pozwól roz płynąć się skupieniu*). Albo wprost wierzy, że „każda chwila trwa wiecznie, staje się / punktem, przystanią, kopertą wzruszenia” (*Pokolenie*). Podczas tych olśnień nie ulega wrażeniu, że, być może, przenosi się w wymiar metafizyczny, „sięga ruchomej granicy, / Za którą spełnia się barwa i dźwięk / I połączone są rzeczy tej ziemi” (*Mittelbergheim*). Do głowy mu nie przyjdzie zapytać, co się dzieje z odbiciami świata „w nieskończonej liczbie istot żywych” i „Gdzie Bóg chowa te odbicia?” (*Kufer*). Jeżeli *Poezja jest poszukiwaniem blasku*, niejasną, być może trudno uchwytną zapowiedzią transcendencji, to temu blaskowi nieuchronnie towarzyszy „bezgłośnie i żarliwie [...] ciemność”. Momenty szczęścia są „kopertą wzruszenia”, budzą ekstazę, ale zazwyczaj przeniknięte są cierpieniem. Odwrotną stroną bezinteresownej kontemplacji czy chwil szczęścia bywają poczucie pustki, rozpacz i myśl o śmierci.

\*

Inaczej niż Miłosz Adam był zapalonym melomanem. Wypowiadał się o muzyce ze znanstwem, miał ulubione utwory oraz szczególnie cenionych wykonawców. Z zachwytem, jak pisze, słuchał kompozycji Bacha, Beethovena, Mozarta, Schuberta, Mahlera, Lutosławskiego, Szostakowicza. Nierzadko w wierszach i esejach kreślił

z wyraźnym wzruszeniem sylwetki kompozytorów oraz opisywał doznania, jakich doświadczał podczas słuchania nagrań. Jak w tym wierszu:

Słuchaliśmy długo muzyki  
trochę Bacha, trochę smutnego Schuberta.  
Przez moment słuchaliśmy milczenia.  
Na ulicy szalała zawieja,  
wiatr przyciskał do murów  
swoją siną twarz.  
Umarli ścigali się na sankach  
i rzucali śnieżkami  
w nasze okna.

*Słuchaliśmy muzyki*

Tego rodzaju doznania w poezji Miłosza nie istnieją. Poza kilkoma napomknieniami, m.in. o *Requiem* Mozarta, muzyka, jej historia, style i wykonawcy zdają się nie budzić jego większego zainteresowania.

Pouczające może być tutaj porównanie dwóch wierszy. W *Konercie* Miłosza szczególnie szokująca wydaje się opozycja dwóch ujęć: z góry, jakby z wysokości balkonu, co sprawia, że grający muzycy zamieniają się w karły, i z dołu, z perspektywy trupów, „Kości w strojach z »późnego Cesarstwa«, które przez podłogę „ogładają widowisko: / Widzą karłów rozkraczonych z pudłem w rękę, / Kontrabasy, złote stopy i śpiewaczkę – / To jest linię nóg soczystą”. Poetę najbardziej w istocie zaciekawia rytuał wykonania utworu muzycznego, uczestnictwo przypadkowej grupy ludzi w tworzeniu czegoś, co ich w zdumiewający sposób przekracza i czego nie daje się wytłumaczyć. Ponadto sam fenomen muzyki i śpiewu wydaje się czymś niezwykłym, czymś „co nie istnieje / W muszli nieba ani w grotach morza”. Zjawiskiem, które wynosi człowieka ponad przyrodę, poza degradującą go cielesną przynależność do świata natury, trwa wbrew upływowi czasu, historycznym czy naturalnym katastrofom. Dlatego nader pocieszające się wydaje, że „śpiewaczki głos to źródło, co jaśnieje, / Kiedy w trawie niską iskrą idzie pożar”.

Dla Adama muzyka pojawia się w konkretnym historycznym kontekście, co dobrze ilustruje wiersz *Kathleen Ferrier* poświęcony znakomitej śpiewaczce. Jej śpiew „To tylko głos. To tylko głos, o którym nie wiemy, / czy jeszcze należy do ciała, / czy może już do powietrza”. Zachwyty sprawia, że głos tej kobiety „niewinnie śpiewającej arie Händla” skłania do pomyślenia, że „oto pojawiła się / możliwość lepszego człowieczeństwa”. Ale to jedynie złudzenie, skoro ten głos rozbrzmiewał w epoce wypełnionej całkiem odmiennymi głosami, takimi jak „Histeryczny krzyk

Goebbelsa / I jęki rannych, szept uwięzionych”, a także recytujących w szkole „poematy chwalcące tyrana”. Stąd, jak powiada poeta, „gdy kończy się płyta / wracasz do swojej zwykłej nieufności / tak jakby śpiew więcej obiecywał / więcej niż cisza, więcej niż zmęczenie”. Muzyka odrywa więc od potocznej rzeczywistości, przynosi ulgę, obdarza zachwytem, wprowadza w odmienną sferę doznań. Ale czyni to tylko na chwilę i obiecuje za dużo, skoro w doświadczeniu egzystencjalnym człowieka dominują cisza i zmęczenie.

\*

Trochę inaczej z malarstwem. Obydwaj poeci chętnie piszą o ulubionych malarzach, przykuwających ich uwagę obrazach oraz przeżyciach, wywołanych ich oglądaniem. Jakie są ich prywatne poetyckie galerie? Wybory bywają dosyć kapryśne i trudno odczytać w nich jakieś wyraźniejsze kryteria. Podziw Miłosza budzą nade wszystko, jak wiadomo, dzieła Carpaccia, Boscha, Chardina, De La Toura i Degasa. Osobny cykl wierszy poświęci małej galerii w Yale. Adam, co zastanawiające, nieraz powraca do swych wędrówek po muzeach, ale w wierszach mało uwagi poświęca konkretnym płótnom. Wspomina dzieła Caravaggia, Rembrandta, Vermeera i Van Gogha, osobny wiersz jest szkicem do portretu Zurbarána, inny dedykuje swojemu przyjacielowi, Zbylutowi Grzywaczowi. Ale od prób przekładu języka malarzkiego na język poezji bardziej zaciekawiają go reakcje widzów oglądających dzieła sztuki. Znamienny, w pewien sposób zabawny, jest pod tym względem wiersz *Powołanie Mateusza*, który z odcieniem ironii rejestruje kakofonię – zachwyconych i znudzonych, poruszonych i naiwnych – głosów turystów, którzy podziwiają arcydzieło Caravaggia w rzymskim kościele San Luigi dei Francesi.

Ale przy całej odmienności gustów obydwaj poeci, co uderzające, darzą upodobaniem siedemnastowieczne malarstwo holenderskie. Nie przypadkiem Adam napisał wiersze *Rembrandt, autoportret 1629* oraz *Widok Delft i Dziewczynka Vermeera*. Ale i w tym przypadku pojawiają się skłaniające do namysłu różnice. Dla ich ujawnienia warto zestawić ze sobą dwa wiersze: Miłosza *Realizm* oraz Adama *Malarze Holandii*, gdzie obydwaj poeci dokonują swego rodzaju syntezy wspomnianego malarstwa. Pierwszy poprzez przypomnienie głównych i powtarzających się w nim motywów i tematów, drugi za pomocą aluzji do konkretnych obrazów Vermeera: *Dziewczyny czytającej list* oraz *Mleczarki*.

Miłosza zdumiewa już fakt, że po stuleciach, po tylu różnych kierunkach i stylach, to malarstwo nadal budzi podziw. Zwłaszcza martwe natury. Wbrew wszystkiemu „to tutaj, chleb, talerz cynowy, / Półobrana cytryna, orzechy i chleb / Trwają, i to tak mocno, że trudno uwierzyć”. Miłosz powtarza za malarzem gest utrwalania, jako sposób ocalenia – siebie i świata – przed unicestwieniem. Utrwalania

przedstawionych rzeczy, ale także chwili ich oglądania. Słowem, w tym samym akcie łączą się dawny artysta, poeta i jego czytelnik. Wierząc, że „To wiecznie jest, dlatego, że raz było, / Przez jedną chwilę istniejąc i niknąc”. Jakby dzieło sztuki mogło użyć cząstkę nieśmiertelności temu, kto je ogląda! Dlatego autor wiersza jak gdyby lekceważąc ramy obrazu, wkracza wyobraźnią „między tamte krajobrazy, skąd wystrzela promień”, „na brzeg zatoki, gdzie chaty, czółna”, aby z ludźmi dawno minionej epoki połączyć się w śpiewie ku chwale istnienia.

Dla Adama, przeciwnie: w obrazach holenderskich mistrzów „Rzeczy są nieśmiertelne ale nie służą nam”. To świat w sobie zamknięty i sobie wystarczający. Tam „Brzydka dziewczyna studiuje list”, a „obrusy pachną krochmałem i moralnością”. Świat, w którym brak tajemnicy, gdzie toczą się, bez żadnych zakłóceń, w doskonałym spokoju, zwykłe ludzkie sprawy: „Kobieta obiera w skupieniu czerwone jabłko. / Dzieci marzą o starości”. Jak powiada poeta, Holendrzy „Lubili mieszkać. Mieszkali wszędzie, / w drewnianym oparciu krzesła i w strużce mleka wąskiej jak Cieśnina Beringa”. Jest to wszakże harmonia pozorna. „Malarstwo kraju, w którym nie było tajnej policji”, czyli kraju, który istniał w tym okresie bez poczucia zagrożenia, dobrze znanego oglądającemu. W którym cień – w domyśle niepokoju – pojawił się tylko „na twarzy młodziutkiego Rembrandta”. Stąd końcowe pytanie: „powiedzcie, malarze Holandii, co będzie, / gdy jabłko zostanie obrane, gdy zgaśnie jedwab, / gdy wszystkie kolory będą zimne. / Powiedzcie, czym jest ciemność” (*Malarze Holandii*).

Miłoszowi malarstwo holenderskie jawi się zatem jako wyjątkowy w historii wyraz wspólnej, trwającej przez pokolenia afirmacji bytu, która chroni przed poczuciem przygodności i unicestwienia. Według Adama, inaczej niż muzyka, każde malarstwo, także malarstwo holenderskie, zdaje się przegrywać w konfrontacji z życiem, bowiem stanowi jedynie dosyć wyidealizowaną, zastygłą na płótnie jego wersję.

Obraz może z pewnością zachwycić, ale też skłania do buntu. Takie odwrócenie perspektywy uderza szczególnie w jednym z wierszy, w którym, stojąc „przed ciemnym obrazem”, podziwiając go „trwa pełen zachwytu”, ale nie skupia uwagi na nim samym, lecz na płótnie, na którym został namalowany, „które mogło zamienić się / w płaszcz, koszulę, chorągiew, lecz stało się kosmosem” (*Płótno*). Każę nadto myśleć „o tylu dniach pustych i zimnych, / o chwilach bezradności” – zarówno twórcy, jak odbiorcy. Doznania pustki i bezsilności, i twórczej rozpacz, dobrze znane poecie, wydają się równie ważne jak samo skończone dzieło. Pewnie dlatego dwa poruszające wiersze Adam poświęci w tomie *Prawdziwe życie* rozterkom i dylematom starych malarzy.

A jaki jest stosunek Adama do natury? Czy różni się w tym od Miłosza? Obydwaj tak chętnie o tym piszą! Ileż na przykład w jego wierszach, podobnie jak w wierszach autora *Sroczości*, opisów ptaków! Przedstawianych dokładnie i skrupulatnie, nazywanych precyzyjnie, traktowanych z czułością, ale i ornitologiczną wiedzą. Dla Miłosza ptaki to wystannicy świata natury, olśniewający barwnym upierzeniem i niepochwytnym ruchem, pozostający przecież w sferze dla człowieka obcej i całkowicie niedostępnej. Dlatego, patrząc na srokę, rozmyśla o niedającym się zdefiniować ani uchwycić w słowa fenomenie sroczości i medytuje o uniwersaliach. Podziwiając zaś lot pelikanów, nie potrafi uwolnić się od myśli o mechanicznym powtarzaniu przez nie tych samych czynności oraz obojętności na splendor otoczenia, szukając oparcia w wyobrażeniach ponadludzkich istot skrzydlatych (*Pelikany. Costa Rica*).

Adam konsekwentnie tyleż ożywia martwe twory kultury, co humanizuje naturę. Ptaki zostają natychmiast – przy pomocy personifikującej metafory lub oryginalnego porównania – włączone w świat ludzkich zachowań i przedmiotów. Jak choćby w tomiku *Pragnienie*. Gdzie „jaskółki [...] przenikliwie gwizdząc patrolowały ulice Montepulciano” (*Mistyka dla początkujących*); zaś w Houston, jak ubolewa poeta, „nie ma słowików ani kosów / o słodkiej smutnej kantylenie / tylko ptak-szyderca, który naśladuje / i przedrzeźnia wszystkie inne głosy” (*Houston, szósta po południu*). Mowa też o jaskółkach „o skrzydłach jakby odlanych z żeliwa” (*Poranek w Vincenzy*).

Gest kulturowego zawłaszczenia jest w tej poezji wyrazem pragnienia czy potrzeby nadania człowieczego kształtu całej rzeczywistości. Owo zawłaszczenie ma jednak wyłącznie charakter estetyczny, jest zabiegiem *stricte* poetyckim. Sama zaś przyroda, analogicznie jak u Miłosza, pozostaje obojętna na świat człowieka i na ludzkie cierpienie, czego bolesnym świadectwem *Jaskółki Oświęcimia*. Jednakże w wierszach Adama, zupełnie odwrotnie niż w wierszach jego mistrza, ona sama wydaje się od nich uwolniona. Wprawdzie uwagę poety przykuwa „martwy wróbel w szarym szynelu piórek”, w porównaniu z którym „kamień wydaje się księciem życia” (*Martwy wróbel*). Zwłoki ptaka budzą wyłącznie odruch współczucia, nie są zaś – jak u Miłosza – jeszcze jednym dowodem na okrutny, bezlitosny porządek świata natury. Inaczej mówiąc, Adam nie był neomanichejczykiem. Barwna, olśniewająca kurtyna natury zdawała się skutecznie oddzielać go od trwającego w niej od zarania porażającego spektaklu tortur i śmierci, który Miłosza skłaniał do rzucania gwałtownych oskarżeń pod adresem Stwórcy.

Bóg dla Adama istnieje, choć pozostaje niedosiężny, nieprzewidywalny w swoich zamiarach. „On działa, w blasku i w ciemności” (*On działa*). Być może jest jakoś

współodpowiedzialny za ludzkie zło, skoro: „kusi Abrahama, wznosi wieże Rzymu / i baraki Oświęcimia” (*Gotyk*). Bywa czasami przyzywany modlitwą „nie tylko suchymi wargami”. Pozostaje nade wszystko, jak się zdaje, wyrazem nadziei i wiary w trwanie moralnego porządku świata, silnej, dramatycznej potrzeby istnienia ostatecznej instancji bytu, jak w *Rozmowie z Fryderykiem Nietzschem*. Bo jeśli nawet uznać za oczywiste, że „nie ma związku między olśnieniem / i ciemnym bólem, okrucieństwem”, to taka konstatacja rodzi szereg fundamentalnych pytań:

Jeżeli jednak nie ma Boga i żadna siła  
nie spaja różnych elementów,  
to czym są słowa i skąd się bierze ich  
wewnętrzne światło?  
I skąd przychodzi radość? Dokąd idzie nicość?  
Gdzie mieszka przebaczenie?

Pod tymi pytaniami Miłosz z pewnością by się podpisał, choć ważniejsze było dla niego pytanie *unde malum*, skąd zło, na które uparcie szukał odpowiedzi, przebiegając myślą różne wyznania i herezje. W wierszach Adama, gdzie problematyka religijna pojawia się incydentalnie, Miłosza gwałtowne pasje i oskarżenia wymierzone w Boga ustępują miejsca sceptycznemu dystansowi oraz melancholijnej zadumie. Niczym u Tadeusza Różewicza, zło w jego wierszach nie ma charakteru ontologicznego, lecz moralny, jest dziełem wyłącznie ludzkim. A jeśli już gotów jest oskarżyć Boga, to jedynie – jak romantycy! – za Jego milczące przyzwolenie na istnienie cierpienia w historii. Nie przypadkiem ciemnym wątkiem przebiega przez całą poezję Adama myśl o Zagładzie, zaś osobny wiersz *Uchodźcy* zostaje poświęcony uchodźcom, których los przywodzi na myśl historyczne katastrofy dwudziestego wieku: „to może być Bośnia, dzisiaj, / Polska we wrześniu 39, Francja – / osiem miesięcy później, Turyngia w 45, / Somalia lub Afganistan, Egipt”. W obliczu takiego zła jedyną dostępną postawą pozostają, według poety, wymóg pamięci i współczucie.

\*

Swój stosunek do Miłosza Adam wprost wyraził w dwóch wierszach. W jednym z nich, mu dedykowanym, pt. *Kościół Francji*, pisał o budynkach sakralnych, które stają się jak gdyby materialnym potwierdzeniem Miłoszowskiej diagnozy wskazującej na następującą nieuchronnie erozję chrześcijaństwa. Bowiem wspaniałe katedry i malownicze opactwa, budzące podziw arcydzieła architektury, pieczołowicie przez budowniczych usytuowane w naturalnym otoczeniu, zamieniają się obecnie



co najwyżej w zabytki sztuki lub malownicze ruiny. To jedynie „ciemne naczynia, gdzie błędzi nieśmiały płomień potężnego światła” – światła dawnej, żarliwej wiary najstarszej córki Kościoła.

Ale samo ich przedstawienie jeszcze raz zdradza odmienną zainteresowań i metod poetyckiego opisu. Świadczy o tym, jak dalece Adam znał Francję, zaś zapuszczając się w różne jej mało odwiedzane zakątki, wiedział sporo nie tylko o stylach architektonicznych, lecz również o dziejach poszczególnych kościołów. Miłosz tak dalece architekturą się nie interesował. W poemacie *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* nie pokusił się nawet o naszkicowanie niezwykle malowniczo położonej bazyliki Roc Amadour, stanowiła ona jedynie pretekst do medytacji o przekształcaniu się sanktuariów w zabytki zwiedzane przez znudzonych turystów. Zarazem, opisując poszczególne budowle sakralne, Adam sięga z właściwą dla siebie skłonnością wyobraźni poetyckiej po nieoczywiste, oryginalne porównania w rodzaju: „Małe romańskie świątynie o krępych sylwetkach, jak rzemieślnicy urobieni przez trud”; „katedry jak czaple nad miastem”; „bazylika w Vézelay [...] różowa jak usta poziomki”. Pośrednio zdradza znakomite czytanie na temat zabytków, pisząc o kościele Pascala czy o kościele Claudela, który jest „krępy, prawie bez szyi, natchniony, niekiedy napełniony złością”.

Widoczne w powyższych cytatach natręctwo animizacji i personifikacji, obecne w porównaniach i przenośniach wymownie dowodzi, że świat natury i kultury, istot żywych i materialnych wytworów cywilizacji współtworzy dla Adama, inaczej niż dla Miłosza, trudną do ogarnięcia wyobraźnią bezgraniczną, integralną całość. Jest to wszakże, co najlepiej ilustruje wiersz *W drzewach*, wyłącznie nasz, ziemski świat. Adam nie zwiedza, jak Miłosz, zaświatów, nie opowiada, *Jak jest w niebie*. Być może do sfery transcendencji najbardziej zbliża w jego poezji muzyka.

W wierszu *Czytając Miłosza*, Adam od razu uchwycił i podkreślił zasadniczą, bliską mu szczególnie, sprzeczność i ukryty dramat w losach poety, który zarazem był „bogaczem, który wszystko zrozumiał” i biedakiem, „któremu zabrano dom”, stał się emigrantem i samotnikiem. Dramatyczna rozpiętość charakteryzuje według Adama nie tylko biografię, ale również poetycką twórczość Miłosza, który „zawsze chce powiedzieć więcej / niż można – ponad poezję, w górę, w stronę wysokości, ale i w dół, tam gdzie dopiero się zaczyna / nasz region, pokornie i nieśmiało”. Pewnie dlatego ta poezja – dopowiada jeden z jego najzdolniejszych uczniów – sprawia, że można uwierzyć, iż „każdy dzień jest świętem”, zaś „życie jest zaokrąglone, / pełne, dumne, nie wstydzące się / doskonałej formuły”. Co charakterystyczne, Adam dostrzega w wierszach swego mistrza – jak gdyby biorąc w nawias rozdzierające je dramatyczne, tragiczne w wyrazie antynomie – nade wszystko świętowanie samego istnienia i trudną do osiągnięcia artystyczną wirtuozerię. Lektura tych

wierszy staje się dla niego – trochę podobnie jak muzyka – przede wszystkim zanurzeniem w sferę doskonałą, innym mało dostępną. Odrywającą, na choćby krótki czas, od natrętnego bełkotu potocznej, trywialnej rzeczywistości. Bo jak pisze, dopiero po odłożeniu tomu poezji Miłosza „wraca zwyczajny zgiełk miasta – / ktoś kaszle, płacze, ktoś złorzeczy”.

\*

Od powrotu do Polski w 1986 roku pilnie śledziłem twórczość Adama, czytałem kolejne tomy jego wierszy i esejów. Pamiętam, jakie wrażenie zrobił na mnie tom *Jechać do Lwowa*. Kiedy osiedlił się na stałe w Krakowie w 2002 roku, widywaaliśmy się przy różnych okazjach: podczas jego wieczorów poetyckich, literackich festiwali, takich jak Festiwal Czesława Miłosza czy Nagroda Wisławy Szymborskiej, oraz w trakcie innych wydarzeń kulturalnych. Tuż przed pandemią spotykaliśmy się częściej w gronie bliskich przyjaciół. Ostatnio żywo opowiadał o swojej wycieczce na Sycylię. Jego nagła choroba i odejście były dla mnie, dla nas, prawdziwym szokiem.

\*

Adam, kierując się jak zwykle troską obywatelską, nie mógł pozostać bierny wobec obecnej sytuacji w kraju. W zbiorze esejów *Substancja nieuporządkowana* oraz w ostatnich wierszach zdecydowanie wystąpił przeciwko narodowemu bałwochwalstwu, podziałom społecznym, łamaniu Konstytucji, niszczeniu niezależności władzy sądowniczej, instrumentalizacji religii oraz kłamliwej propagandzie. W trosce o stan kultury z całą stanowczością domagał się równocześnie, by „pamiętać, że w każdej zbiorowości, której nie zdominowali jeszcze analfabeci, toczy się także inna rozmowa, dużo spokojniejsza, cichsza, przyciągająca mniej uwagi, ale niekoniecznie mniej istotna: o Bogu, o sensie życia, o sztuce, o literaturze, o muzyce, o naturze cywilizacji, o związku między nowoczesnością i tradycją, o śmierci. A także o Miłoszu, o Stanisławie Brzozowskim, o Platonie i Wagnerze, o Baconie filozofie i o Baconie malarzu, o Chopinie i Lutosławskim”.

Tuż przed śmiercią, w lutym tego roku, opublikował wiersz pt. *Trzy czwarte*, który zabrzmiał niczym jego gorzko-ironiczny testament:

„W okolicach roku 1800 trzy czwarte ludzkości było niewolnikami” (Adam Hochschild)

Oto szlachetne powołanie człowieka, oto godność  
Która towarzyszy nam od czasu kiedy pozbyliśmy się  
Tych nudnych Neandertalczyków z ich smętnym

Spojrzeniem i potem wszystkie te niezliczone  
Udogodnienia, obozy, w których zbieraliśmy  
Mniej zaradnych, gdzie zawsze gromadziliśmy  
Uciekinierów, Żydów, Rohingya, Syryjczyków,  
Ujgurów, i tylu innych, żeby uporządkować  
Ich beznadziejne sprawy, żeby nie przeszkadzali  
W sprawach wyższego rodzaju, na których dużo lepiej  
Zna się jedna czwarta ludzkości, to znaczy, wystarczy  
Rozglądnąć się dokoła, ty, mój drogi czytelniku  
i ja, autor.

WILLIAM SHAKESPEARE

## Dwa sonety

w nowym przekładzie Antoniego Libery

### XVIII

Z czym cię porównać? Z bezchmurnym dniem lata?  
Twój urok większy, no i bardziej trwały.  
Aura i w maju bywa lodowata;  
I zawsze nazbyt krótkie – letnie szwały.  
I niebo zmienne: to pali, to chłodzi;  
Żadne się w świecie piękno nie ostanie;  
Zginie w bezwzględnej Natury powodzi.  
A twoje będzie jak wieczne zaranie:  
Nie straci barwy, jego czar nie minie;  
I śmierć go nawet nie zdoła pokonać;  
Bo utrwalone w poezji nie zginie.  
Oto jedyna przed Czasem obrona.  
Dopóki ludzkość żyje na tym świecie,  
Żyć będziesz w Słowie, nicość cię nie zmiecie.

## XXIX

Gdy myślę, że mi w życiu się nie poszczęściło,  
Że jestem potępiony i świat mnie odtrąca,  
Że niebo się przede mną na zawsze zakryło  
I mizarii tej nie ma i nie będzie końca;  
Kiedy zazdroszczę innym – urody, talentu,  
Powodzenia, dowcipu lub światowej sławy,  
A do siebie mam niechęć, ba, nabieram wstrętu,  
Widząc, jak bardzo jestem mdły i nieciekawy;  
I gdy wreszcie mam dosyć tej samopogardy,  
Wracam myślą do ciebie i zły nastrój mija,  
I już mnie nie obchodzi wyrok losu twardy,  
I już mnie najczarniejsza rozpacz nie zabija.  
    Bo twoja miłość dla mnie jest jak odkupienie;  
    Że nawet na los króla nędzy swej nie zmienię.

Andrzej Milosz



## Miłość

Miłość to znaczy popatrzeć na siebie  
Tak jak się patrzy na obce nam rzeczy  
Bo jesteś tylko jedną z rzeczy wielu.  
A kto tak patrzy, choć sam o tym nie wie,  
Ze zmartwień różnych swoje serce leczy,  
Ptak mu i drzewo mówią: przyjacielu.

Wtedy i siebie i rzeczy chce użyć  
Żeby stanęły w wypełnienia łunie.  
To nic, że czasem nie wie czemu służyć:  
Nie ten najlepiej służy, kto rozumie.

# RENATA GORCZYŃSKA

## Miłosz wileński

„Nigdy od ciebie, miasto, nie mogłem odjechać”

### CZĘŚĆ I

Im dłużej wczytuję się w te dzieła, tym bardziej dochodzę do przekonania, że Miłosz umiłował Wilno ponad wszystko na świecie: ponad swoje kobiety, uczone dzieła, dysputy teologiczne, rozważania o istocie Bytu. Może z wyjątkiem poezji. Od pierwszych wierszy drukowanych w *Alma Mater Vilnensis* w 1930 roku po wiersze ostatnie, ogłoszone już pośmiertnie, poeta nieustannie drąży temat swojego *Miasta bez imienia*, w którym spędził siedemnaście formatywnych lat. Wilno stanowi siłę napędową jego poezji, pobudza wyobraźnię i pamięć, jak gdyby zwraca z nawiązką pokłady uczuć, jakie wzbudziło w poecie. Miłosz, a przynajmniej jego

podmiot liryczny, wierzy w *apokatastasis*, czyli w akt przywrócenia całego minionego świata do stanu pierwotnego. Pieczętowanie zbiera wszelkie okruchy pamięci o Wilnie, by jak pracowity układacz mozaiki, odtworzyć miasto do najdrobniejszego szczegółu, łącznie z dzwonami, obłokami i dymem z kominów. I czyni to latami w swoich różnych księgach. To, co pisał o Wilnie w *Rodzinnej Europie*, rozwija przykładowo w szkicu *Zaczynając od moich ulic*, ale przede wszystkim podejmuje ten swój kluczowy temat w poezji, choć tam oczywiście posługuje się skomplikowanym szyfrem, niekiedy o charakterze osobistym, i w związku z tym niełatwym do odgadnięcia.



Tablica ku czci poety i doktora *Honoris Causa* na dziedzińcu USB odsłonięta w 100-lecie jego urodzin



Dwujęzyczna edycja wierszy wybranych w jubileuszowym tomiku *Wilno* wydana nakładem Austerii nie oddaje istoty rzeczy, bo dotyczy tylko części utworów Miłosza wyraźnie związanych tematycznie z miastem młodości. Tymczasem do wilnianów trzeba włączyć znaczącą część jego dzieła – poematów i osobnych wierszy, eseistyki i prozy, łącznie z pierwszą powieścią jego autorstwa, *Zdobyciem władzy*, której akcja rozgrywa się częściowo w Wilnie. Rzecz w tym, że Miłosz od dawna stosował w literaturze rodzaj techniki filmowej nazywanej przenikaniem. Na obraz Wilna nakładają się obrazy innych znanych mu miast i okolic, i odwrotnie. Jego persona przebywa często



Dom przy ul. Podgórnej

w dwóch miejscach naraz, *hic et nunc* i w dowolnie odległej przeszłości historyczno-geograficznej, albo śmiga jak zamieniony w muchę Gucio tam, gdzie tylko zechce.

Kanadyjczyk Peter Dale Scott, podobnie jak Miłosz poeta i profesor literatury, współtłumacz jego pierwszego wyboru wierszy na angielski oraz tomiku Herberta (oba pod tytułem *Selected Poems*), już po Noblu 80' ogłosił szkic o twórczości laureata, zarzucając mu niedostatek liryki, bowiem ten gatunek poezji – jak podkreśla – ma na celu utrwalenie chwili. Tymczasem Miłosz spaja w jednym wierszu, a zwłaszcza w dłuższym poemacie, czasy i kontynenty, podmienia podmioty liryczne, mówi wieloma głosami. Wystarczy sięgnąć do *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, hymnu pochwalnego na cześć Laudy i Wilna, jakby współczesnego odpowiednika *Pana Tadeusza*, do którego pada w tekście wiele odniesień. Przez Scotta zapewne przemawia żal odrzuconego przez Miłosza przyjaciela (już więcej z nim nie współpracował, i słusznie, bo te przekłady są dalekie od doskonałości), bowiem jest to bardzo tradycyjne, by nie powiedzieć kostyczne, pojęcie liryki. Sam zainteresowany roztrząsał kwestię, jak to określił, literatury tęsknoty w *Notach o wygnaniu* z końca lat siedemdziesiątych. Dążył w poezji do tego, by krajobrazy Kalifornii i Litwy zrosły się ze sobą, więc prawie niemożliwością jest je rozdzielić. Właściwie zastosował tu wzorzec metafory, która przecież polega na uzyskaniu nowego sensu dzięki zestawieniu dwóch pojęć.

## Zawsze Jadwiga

Gdy czytałam na nowo doskonały w lakonicznej formie poemat cząstkowy *Miasto bez imienia*, będący adoracją Wilna, zastanowił mnie następujący fragment:

W Dolinie Śmierci myślałem o sposobach upinania włosów.  
O ręce, która przesuwiała reflektory na studenckim balu  
w mieście, skąd żaden głos już nie dosięga.

Usiłuję odtworzyć tok skojarzeń poety. W tym najgorętszym skrawku Kalifornii, nagiej pustyni z czarnym piachem, gdzie woda w chłodnicy zamienia się we wrzątek, przychodzi mu na myśl scena sprzed dziesiątków lat – jeśli nie miłosa, to zalotna. Przypuszczam, że katalizatorem było słowo „śmierć” w nazwie doliny i jej niehumaniczny pejzaż. Miłosz przeciwstawia ją w pamięci dolinie życia, swojej zielonej krainie, miastu w bukietach drzew. Ale i ona stała się cmentarzyskiem ofiar II wojny. Dziewczyna na balu może mieć swój pierwowzór w Jadwidze Waszkiewiczównie, młodszej miłości poety, powracającej w jego poezji począwszy od *Trzech zim*.



Kościół wileński

To ich skomplikowane więzy miał poeta zapewne na myśli, pisząc *Posąg małżonków*, to w związku z nią powstały *Roki*; tytuł oznacza staropolskie sądy, w tym wypadku sąd autora nad samym sobą. Stawiam nawet hipotezę, że cały ton *Trzech zim* – na wysokim diapazynie, z feerią metafor, gwałtowny w treści, jest nie tylko wynikiem katastroficznej wizji Miłoszowego świata w obliczu groźnych zmian na mapie politycznej Europy, ale i jego głębokiego rozdarcia w związku z porzuceniem Jadwigi. Oboje od pierwszego roku studiowali razem na wydziale prawa Uniwersytetu Stefana Batorego i z pewnością chodzili na tańce.

Jadwiga była wysoka, miała kasztanowe loki, zielonoszare oczy i ciekawą, nieco wschodnią urodę. Zachowało się kilka jej zdjęć z tego okresu. W białej sukni stoi obok ukochanego w podwileńskim majątku ojca, Barciach.

Latem 1934 roku, jadąc na roczne stypendium do Paryża, Miłosz zostawił ją w trudnej sytuacji. Broniąc go bez większego przekonania można uznać, że w wieku dwudziestu trzech lat mierzył wysoko i był biedny jak mysz kościelna. Ojciec Jadwigi był wziętym w Wilnie ginekologiem i nie wiadomo, czy przyjąłby z otwartymi ramionami zięcia z głową w chmurach i pustką w kieszeni. Czesław postawił na wielką poezję i nie zawiódł ani siebie, ani swoich czytelników, ale poczucie nieprawości przesła-  
dowało go latami. Oboje w późnych listach wspominają szyfrem o ich nienarodzonym dziecku jako o „Anielce”, co raczej jest nawiązaniem do anioła niż płci. Potem były niezbyt udane próby powrotów, zakończone wraz z przeniesieniem się poety do Warszawy.

Gdyby wczesne kochanie spełniło się było.  
Gdybym szedł był szczęśliwy ulicą Portową  
(Która zresztą do żadnego portu nie prowadziła,  
Tylko do mokrych bierwion za tartakami),  
Gdybym był jechał w poselstwie liczony do ojców miasta

pisze Miłosz w *Gdzie wschodzi słońce...* Przypomina się tu słynny wers z *Mojej wiernej mowy*: „czas zaprzęży krajów niedokonanych”.

Wraz z wybuchem wojny poeta stracił łączność z Jadwigą i obawiał się, że zginęła jak tysiące innych wilnian wywiezionych do łagrów sowieckich, głównie do Workuty. Czy jednym z powodów, dla których zawrócił do Wilna z Bukaresztu na początku II wojny, była próba jej odszukania, zakończona zresztą niepowodzeniem? Poświęcił jej wiele wierszy, ale był to dialog z umarłą.

Sekretarząc Nobliście, byłam upoważniona do otwierania przychodzących do niego listów i wstępnego ich porządkowania. Kiedy poeta odwiedził po trzydziestu latach Polskę w czerwcu 1981, w codziennym stosie korespondencji natrafiłam na kopertę z nieznanym nazwiskiem i stemplem pocztowym z Mazur. Sądziłam, że to pewnie kolejna prośba o autograf. Kiedy zerknęłam na tekst, dosłownie zdębiałam. Otóż napisała go koleżanka Jadwigi w jej imieniu, bo ona sama – jak tamta tłumaczyła – trochę krępowała się i obawiała, czy w ogóle otrzyma odpowiedź. Nadawczyni podała w liście przybrane nazwisko Jadwigi, Tomaszewicz, i jej adres w Giżycku. Koperta dosłownie parzyła mi dłonie. W trakcie triumfalnej wizyty po Polsce Miłosz odwiedził między innymi Łomżę, potem Gdańsk, wożono go wszędzie samochodem. Mógł bez trudu dojechać do Giżycka. Gdybym mogła,

natychmiast bym do niego zatelefonowała. Nie miałam jednak pojęcia, gdzie akurat się znajduje i jak się tam dodzwonić, nie znając nazw hoteli, w których się zatrzymywał. On sam telefonował do Berkeley kilkakrotnie, zdając pokrótce relacje z podróży i dopytując, co dzieje się w domu. Różnica dziewięciu godzin nie ułatwiała kontaktu, a do tego na rozmowę z Polski trzeba było albo czekać w nieskończoność, albo zamawiać tak zwaną błyskawiczną płatną dziesięć razy drożej. Miłosz wybierał to drugie, ale pech chciał, że po nadejściu listu od koleżanki Jadwigi już nie zadzwonił.

Bo wbrew czarnym wizjom poety los ją podczas wojny oszczędził. Ojcem jej syna urodzonego w 1944 roku był Sergiusz Piasecki, autor bestsellerowej przed wojną powieści *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy* – awanturnik w XVIII-wiecznym stylu, przemytnik i działacz podziemia AK odpowiedzialny za wyroki na zdrajcach. Oraz zawzięty wróg Miłosza w środowisku londyńskiej emigracji (przypomnę, że to on był autorem paszkwilu *Dawny popucznik Miłosz*, 1951). Jemu udało się w 1946 roku uciec przez zieloną granicę, jej się to nie powiodło, choćby w obawie przed wpadką z malutkim dzieckiem. Z chorą matką i siostrą osiadła po wojnie w Giżycku i choć miała dyplom ukończenia prawa, pracowała skromnie jako kasjerka w banku PKO. W Anglii Piasecki z trudem wiązał koniec z końcem, przysyłał rodzinie niewielkie sumy i drobne upominki pod przykrywką dobrej „babci”. Związek z Jadwigą opisał na emigracji w dwóch powieściach z kluczem, wystawiając zwłaszcza w jednej z nich niezbyt pochlebne świadectwo swojej towarzyszce. Trudno rozstrzygnąć, czy była to także jego swoista zemsta na Miłoszu, bo wiele się o nim od niej nasłuchiwał.

Ten list, może najważniejszy ze wszystkich, jakie otrzymał po Noblu, dotarł do niego już w Europie. Zamilkł, gdy mu go wręczyłam. Wysłałam z pokoju, żeby nie być świadkiem jego poruszenia. Opowiedział mi po jego przeczytaniu, że zaledwie kilka dni przedtem, jadąc samochodem w Krakowie, dostrzegł na ulicy wspólnego z Jadwigą kolegę, Józefa Maślińskiego, z którym ona się przed laty spotykała. Zdumiewające, że w ogóle go poznał po pół wieku. Wskoczył z auta i zdołał go dogonić. Ponieważ stale krążyła za nim służbowa limuzyna SB, zaciągnął kolegę do najbliższego kościoła. Miał tylko jedno pytanie: „Co z Jadwigą?”. Maśliński, *notabene* też poeta i profesor UJ, odparł, że i on zupełnie stracił z nią kontakt. Odpowiedź tylko potwierdziła najgorsze obawy Miłosza. Tymczasem ja mimowolnie stałam się posłańcem dobrej nowiny. Współczułam jedynie obojgu, że nie dane im było się spotkać tamtego czerwca w Giżycku czy gdziekolwiek indziej.

Po powrocie do Stanów Miłosz, rzecz jasna, odpisał Jadwidze. Niekiedy dawał mi jej listy do przeczytania. Były pełne słodyczy. Przebaczała mu wszystkie jego niegodziwości. Gdy wkrótce nastął stan wojenny, wysyłał jej paczki z żywnością

i lekami. Dopiero w trakcie korespondencji z nią dowiedział się, że była związana z człowiekiem, który okazał się jednym z jego najbardziej nieprzejednanych wrogów na emigracji. Po zwiedzeniu wiosną 1982 muzeum w stanie Massachusetts poświęconego nieszczęsnym kobietom spalonym w procesach czarownic w 1692 roku, ułożył wiersz w formie listu, *W mieście Salem*:

Do swego środka wycofany  
Na Most Zielony idę w Wilnie.  
Kartkę wysłałem z Luizjany,  
Stara kobieta niech ją przyjmie.  
Oboje płacz nad losem znamy.

Uparte sny przez całe lata,  
Jeżeli to ma być pociechą  
J.W. dla ciebie. I przepada,  
Co mogło być, i milknie echo  
Na zawsze była ta utrata.

Wymyka się co dotykalne  
Kunsztowi słów i rozumieniu.  
Wcześniej ten wyrok zapadł na mnie,  
żebym powracał w państwie cieniów  
Na róg Portowej i Zawalnej.

Ponieważ towarzyszyłam wtedy Miłoszowi, pamiętam, na co zwrócił uwagę, zwiedzając izbę, w której stały łóżka przykryte tkaniną przypominającą pasy łowickie. – Zupełnie jak na Litwie – mruknął. Stąd w Salem pamięć zawiodła go do umiłowanej.

Ostatnia linia to adres domu rodzinnego Jadwigi. Dziś na jego miejscu znajduje się pagórek porośnięty trawą. Można rzec kopiec. Miłosz planował się z nią spotkać latem 1984 roku w Jugosławii, ale wtedy na przeszkodzie stanął jej zawał serca, jak gdyby spowodowany nadmiarem emocji. Przez chwilę miał nawet szalony pomysł, żeby sprowadzić Jadwigę do domu przy Grizzly Peak Boulevard i razem doglądać swojej sparaliżowanej żony Janki. W końcu dowiedział się o jej chorobie nowotworowej. Po dawnych kochankach pozostały późne listy, odkryte po śmierci Jadwigi przez jej syna, który dopiero wtedy dowiedział się o wielkiej miłości matki. I o tożsamości swojego ojca.

W poezji Miłosz często kreślił swoje hipotetyczne życie: zasłużonego obywatela Wilna, rajcy miejskiego czy sędziego, albo hreczkosieja otoczonego gromadką dzieci ze swoją Jadwisią. Zawsze jest to jednak wizerunek zaprzeczony, bo taki żywot człowieka poczciwego nie pasował mu do jego powołania i do losu wygnańca. A Jadwiga zasługuje na głębszy i bardziej empatyczny portret niż w dziele Piaseckiego. O tym trojgu Maria Nurowska napisała paradokumentalną powieść *Sergiusz, Czesław, Jadwiga*.

A Miłosz wcale nie ostatni raz przywołał ją w wierszu bez tytułu, odnalezionym w brulionie przez Michała Szymańskiego, archiwizującego papiery Miłosza w warszawskiej Bibliotece Narodowej. Utwór był pisany z wyraźnym mozołem, jego kolejne wersje są pełne poprawek i skreśleń. Inny jego tytuł, *Wdowiec*, w dużo większym stopniu oddaje treść tej elegii, pisanej w Berkeley 19 i 20 grudnia 1989 roku, tuż po wiadomości o śmierci Jadwigi:

Wróc przed twoje lustro, przypomnij suknię,  
Te, którą tak lubiłem, z niebieskiego lnu.  
Składałam przed tobą moje nierozważne czyny.

Chyba doszedł do wniosku, że zbyt się w tym wierszu odsonił ze swoją zgryzotą, bo nie umieścił go drukiem w żadnym kolejnym zbiorze poetyckim. Ogłosiły go dopiero „Zeszyty Literackie” pod koniec 2018 roku. Dołączyłabym do późnych wierszy inspirowanych osobą Jadwigi jeszcze jeden – *Osoby*, włączony do tomiku *To* – ponownie dialog z jedną z trzech sportretowanych kobiet ważnych w życiu Miłosza i znajdujących się już na drugim brzegu. Występuje tam pod imieniem Klaudyna. Poeta cytuje fragment jej listu do siebie:

„Jesteś dla mnie wciąż kimś jakby dziecinny (może poeci zostają tacy do końca), kimś, komu wybacza się wszelkie wybryki i kocha pomimo wad”.

### Wspomnienia wileńskiego mundurka

Wczesne dzieciństwo Miłosza obfitowało w dramatyczne przejścia, zachowane w prześwitach pamięci i wcielone w wersy poezji wieku dojrzałego, zwłaszcza w *Osobnym zeszycie*. Gdy Miłosz miał trzy lata, po wybuchu I wojny rodzina wyruszyła w głąb Rosji, bo jego ojciec Aleksander jako poddany rosyjski został powołany do armii carskiej. Zatrzymała się na pewien czas w Dorpacie, dzisiejszym Tartu, gdzie Aleksander się urodził i studiował, potem znalazła się w Orszy, gdzie tuż obok toczyły się zacięte bitwy między wojskami rosyjskimi i niemieckimi; stąd w *Osobnym zeszycie* pojawia się zagadkowa linia *Orsza złe miasto*.

A tam równina,  
Błyska aż po horyzont, mrowi się, biegną.  
W parku nad jeziorem szpitalne pałatki.

W guberni tobolskiej w 1917 roku przyszedł na świat młodszy brat Czesława, Andrzej. Całej czwórce udało się bez większego szwanku przeżyć wojnę i rewolucję i rok później repatriować się do mająteczku w Szetejniach, należącego do rodziców matki Czesława, Kunatów. Dla siedmioletniego chłopca było to jak wstąpienie do rajskiego ogrodu, o czym świadczą jego liczne późniejsze utwory wierszem i prozą, na czele z *Doliną Issy*.

Wychowaniem syna zajmowała się głównie matka, bo ojciec w poszukiwaniu zarobku udał się nawet do Brazylii, a przedtem, w 1920 roku, należał do POW i następnie wstąpił na jakiś czas do Wojska Polskiego. Trwały nieustanne działania zbrojne – wojna polska-bolszewicka, zaraz potem zajęcie Wilna przez wojska pod dowództwem generała Żeligowskiego oraz proklamacja Litwy Środkowej. Cała akcja odbyła się ponoć na tajny rozkaz marszałka Piłsudskiego, czego Litwini do dziś nie mogą mu darować. Te lata były jak życie pod wulkanem, grożącym w każdej chwili anihilacją. Leżące w powiecie kiejdańskim Szetejnie i pobliski folwark Podkomorzynek, który matka Czesława otrzymała w wianie, był w owych latach oazą spokoju. I to ona, jego pierwsza nauczycielka sztuki czytania i pisania, pokazała synkowi Wilno, jeżdżąc tam bryczką. Jak na pojazd napędzany dwoma końmi, była to długa droga, bo z powiatu kiejdańskiego do Wilna trzeba pokonać około stu pięćdziesięciu kilometrów. Miłosz wspomina w swoim *Abecadle*, że zatrzymywali się przed Domem Romera, tam zostawiali na popas konie i szli załatwiać różne sprawy. Na „chłopcu z boru”, jak o sobie pisał, miasto musiało sprawiać niemałe wrażenie, choć było dość



Na Most Zielony...

prowinjonalne i zaniedbane po latach pod zaborem rosyjskim. Założone w 1323 roku, w latach dwudziestych XX wieku zaludniało je niewiele ponad sto tysięcy mieszkańców z różnych grup etnicznych; najliczniej reprezentowanych przez Polaków i Żydów; prócz Rosjan i Białorusinów nieznaczny odsetek

ludności stanowili egzotyczni Karaimowie i Ormianie. Litwinów było jak na lekarstwo. Był to istny tygiel kultur i języków, co sprawiło, że Miłosz od wczesnej młodości był jak najdalszy od wszelkich szowinizmów. Liznął trochę litewskiego, chyba przez osmozę znał całkiem niezłe rosyjski, chłonał inność, ale i swojskość mieszkańców, którzy często pytani o narodowość, odpowiadali zgodnie z prawdą „Tutejszy”. Dla oświeconego środowiska żydowskiego Wilno było Jerozolimą Północy, kluczowym ośrodkiem studiów nad judaizmem. Młody Miłosz zaglądał do tanich knajpek żydowskich na lufę wódki zagryzanej śledziem, ale ważniejsi dla niego byli antykwariusze z nieprzelicznymi skarbami rzadkich druków. W odmianie powszedniej ludność żydowska prowadziła sklepiki i kramy w swojej dzielnicy, której główną ulicą była Niemiecka. Oryginalnością odznaczało się Zarzecze, dziś Užupio, dzielnica artystów i zagranicznych inwestorów, a w latach młodości Miłosza gniazdo klepiącej biedę cyganerii artystycznej i siedlisko równie ubogich robotników. Nawet bieda bywała tam malownicza, jak we Włoszech, niemniej jednak biedą pozostawała. Miasto urzeka położeniem pośród wysokich pagórków, średniowiecznymi zabudawkami i mnogością kościołów od gotyku do klasycyzmu w liczbie czterdziestu. Ma i dziś niepowtarzalną magię. To w Ostrej Bramie Weronika Miłoszowa wymodliła ocalenie starszego synka z dyfterytu, o czym poeta wspomina w poemacie *Gdzie wschodzi słońce...* Powtórzyła tym samym krok Barbary Mickiewiczowej. W tym czynie jest coś mistycznego – jakby wstawiennictwo matek u sił niebiańskich uratowało w dzieciństwie dwóch największych poetów polskich i zarazem synów Wielkiego Księstwa Litewskiego.



„Obłoki, straszne moje obłoki...”



Moja stolica w kotlinie wśród pagórków leśnych,  
Z warownym zamkiem u zbiegu dwóch rzek,  
Ze swoich świątyń ozdobnych słygnęła;  
Kościołów, cerkwi, synagog, meczetów.

„Pagórki leśne” to oczywiście nawiązanie do *Inwokacji w Panu Tadeuszu*.

Stałym mieszkańcem Wilna Miłosz stał się w 1920 roku, gdy go zapisano do szkoły. Rodzina wynajęła najpierw lokum przy Nadbrzeżnej, dziś Goštauto (ta ulica powtarza się wielokrotnie w notesie adresowym przyszłego poety), a następnie parterowe mieszkanie przy ulicy Podgórznej (obecnie Pakalnės) pod numerem piątym. Dom z szarej cegły, wskazującej na zabudowę w czasach carskich, stoi do dziś w nienaruszonym stanie. Ironią losu, na jego dziedzińcu w czasach okupacji sowieckiej został zastrzelony przez podziemie AK Teodor Bujnicki, starszy kolega Miłosza i bard otoczony miejscową sławą. Wyrok na nim wykonano za drukowanie wierszy w „Prawdzie Wileńskiej”, co poczytano mu za zdradę narodową.

Wskutek wybuchu wojny polsko-bolszewickiej Miłosz musiał przerwać ledwie podjętą naukę i w następnym roku zdać egzamin wstępny do I Państwowego Gimnazjum Męskiego imienia Zygmunta Augusta, mieszczącego się na rogu ulic Mała Pohulanka i Góra Bouffałowa (dziś Kalinausko i Tauro). Placówkę założono w 1915 roku. Wyedukowała ona wielu znamienitych ludzi pióra, sztuki i nauki, w tym Tadeusza Konwickiego, Stanisława Stommę, Antoniego Gołubiewa, Melchiora Wańkowicza, Leszka Beynara, czyli Pawła Jasienicę. A także młodszego od nich Gabriela Sedlisa, wybitnego harwardczyka-architekta działającego w Nowym Jorku, bohatera mojej opowieści *Jestem z Wilna*. W trakcie wywiadu z nim wykręciłam numer Miłosza w Berkeley i w ten sposób obaj absolwenci GZA wdali się w dłuższą

pogawędkę, wybuchając śmiechem na przypomnienie różnych epizodów szkolnych.

W odrestaurowanym gmachu, do którego weszłam, nie spotykając żywej duszy, mieści się teraz policealna szkoła ekonomiczna z wielkim białym holem i schodami po lewej. O słynnym uczniu nie zapomniano.



W stulecie urodzin Miłosza odsłonięto na jej fasadzie jedną z trzech w całym mieście dwujęzyczną tablicę pamiątkową ku jego czci, z płaskorzeźbą przedstawiającą wizerunek poety. Trzeba dodać, że to nie jedyny wychowanek Gimnazjum wyróżniony Noblem. Na trzy lata przed Miłoszem otrzymał tę nagrodę z dziedziny medycyny Andrew Schally, ale o ile wiem, nie doczekał się tablicy pamiątkowej.

Ośmioklasowa szkoła cieszyła się renomą dzięki poziomowi nauczania i składowi ciała pedagogicznego. Mały Miłosz „w puciołowatej zadumie” utrwalony przez siebie w części *Mała pauza* poematu *Gdzie wschodzi słońce...* był zawołanym przyrodnikiem z racji swoich pasji nabytych w chłopięctwie nad Niewiażą, ale w zakresie literackiej polszczyzny miał sporo do nadrobienia. Świadczy o tym żartobliwy wiersz z końca lat pięćdziesiątych, *Elegia na kłopoty z polszczyzną*:

„PAC ZŁOWIŁ SIĘ DO PASTKI” napisać pod karą  
złego stopnia – bo niby że szczur i pułapka,  
nie wiedziałem i byłem, wyznaję, ofiarą  
jabłka z tym „I” zdradzieckim, choć mówi się JABKA,

te JABKI. I zapomnieć SZWIPIKI, BRANGIELE  
przyszło mi, bo to kluski – nie znają różnicy.  
SKÓRYNKA – z tego śmiali się nauczyciele.  
Poprawnie skórka chleba.

W dalszej części *Elegii* padają takie słowa, jak wikswa, szakaluki, odryna. Niektóre z nich Miłosz używał nawet w dojrzałym wieku, jak „sklep” w znaczeniu piwnicy czy „płyty”, czyli tratwy. A „odrynę” wręcz systematycznie. Oraz piękne skądinąd słowo „ajer” na określenie tataraku. „Nie takiemu sięgać po wawrzyn z polskiego” – zauważa. A jednak dawny uczeń ciepło wspomina swoją nauczycielkę polskiego, Marię Stabińską-Przybytko, która w wyższych klasach oddawała mu wypracowania z adnotacją „styl telegraficzny”. W końcu pojął, że należy łać wodę. I wtedy otrzymywał noty zadowolające. W sumie dostawał średnie stopnie ze wszystkich przedmiotów, a już matematyka była dlań zakałą. Nie zdałby matury, gdyby nie ściągnął zadania od kolegi z ławki.

Miłosz, zrazu uczestnik zabaw z wiejskimi dziećmi, podglądający z dziadkiem Kunatem życie dzikich zwierząt w lesie, żył w Szetejniach w niespętanej niczym wolności. Mundurek ucznia oznaczał dyscyplinę. Wyglądał następująco: szaro-granatowa kurtka ze złotym szamerunkiem GZA zapięta pod szyję, ciemne pumpy i czarne pończochy. Intrygujące, czy były zapięte na pasek ze sprzączkami, bo przecież te pończochy musiały się czegoś trzymać. Na głowie czapka przypominająca

maciejówkę, nazywana przez uczniów dekle. Była ugniatana i deformowana wedle fantazji, byle nie wyglądała jak spod igły. Nawiasem mówiąc, miękka czapka z daszkiem była ulubionym nakryciem głowy dojrzałego Miłosa, któremu przerzedziła się bujna niegdyś strzecha ciemnoblond włosów.

Dziewięciolatek przyjechał na nauki do Wilna skromnie odziany. Wspomina, że jego wyprawka składała się z lnianych koszul wyrabianych na krosnach i samodziałów tkanych w domu. W szkole natomiast i potem na studiach zetknął się z chłopcami z zamożnych rodzin ziemiańskich lub osiadłych w Wilnie na intratnych posiadach. Z początku pewnie musiał być mocno spłoszony otrzaskanymi w wielkim świecie kolegami. Czesne w GZA wynosiło dwieście złotych rocznie, co było sumą niemałą. Zwolnieni z niego byli celujący uczniowie i ci pochodzący ze skromnie sytuowanych rodzin. Ciekawe, do jakiej kategorii zaliczono małego Miłosa. Z pewnością nie zwolniono go z opłat za wysoką średnią ocen, bo takich nie miał.

Uczył się w klasie „A”, gdzie obowiązującym językiem obcym był francuski, uzupełniany potem przez niego na kursie w Institut Catholique w Paryżu. Tam po niespełna roku otrzymał dyplom upoważniający do nauczania języka francuskiego, czyli musiał mieć solidne podstawy wyniesione z gimnazjum. Zajęcia z tego przed-

miotu w tamtych latach prowadził Alfred Ehrmann, obywatel francuski. Ale to łacina należała do ulubionych lekcji Miłosa dzięki wspa-  
niałemu nauczycielowi, Adolfowi Rożkowi. Potrafił on wciągnąć całą klasę do wspólnego tłumaczenia poezji klasycznej. Tę metodę zastosował po latach profesor Miłosz na seminariach ze studentami w Berkeley i dzięki temu wspólnymi siłami powstała ważna antologia *Postwar Polish Poetry*. Fragment *I Pieśni Horacego* utkwiał na zawsze w pamięci gimnazjalisty Miłosa, skoro nim właśnie kończy *Traktat poetycki*: „*Iam Cytherea choros ducit Venus imminente Luna*”.



Bursa akademicka przy Górze Bouffałowej

Elegancki pan Rożek przeżył wojnę, jak się okazało po Noblu 80', i napisał do dawnego ucznia list z gratulacjami z Niemiec Zachodnich, dokąd wyemigrował.

Nie on jeden z grona nauczycielskiego ocalał, choć dożył późnego wieku w dramatycznych warunkach. Jezuita ksiądz Chomski, dwukrotnie sportretowany w Miłoszowej poezji, wczesnej i późnej, zmarł ukończywszy prawie sto lat w odległej parafii na Litwie. Na wieść o tym Miłosz napisał epitafium na cześć swojego dawnego adwersarza, grożącego krnąbrnym uczniom ogniem piekielnym i wiecznym potępieniem. Pod jego przewodem uczniowie GZA chodzili na msze niedzielne do leżącego nieopodal kościoła pod wezwaniem Świętego Jerzego. Młodzieńki Miłosz szybko zasmakował w różnych schizmach początków chrześcijaństwa i delectował się „manichejskimi truciznami”, ściągając na siebie gniew jezuity. Zaczytywał się też w dziele Tomasza z Akwinu. Ten spór z Chomskim, toczący się w umyśle poety przez całe dziesięciolecie, zaowocował jego głęboką pasją teologiczną. Nie bez kozery Miłosz w wierszu *Poeta siedemdziesięcioletni* zwraca się do siebie: „Tyżeś to, bracie teologu...”.

Zastanawiające, jak w chłopcu z wiejskiego dworku zrodził się i powoli dojrzewał poeta. Gimnazjum imienia Zygmunta Augusta było poniekąd inkubatorem jego poezji, a przynajmniej jednym z najważniejszych jej źródeł. Nastoletni uczeń podjął pierwsze wprawki w stylu francuskiej poezji klasycznej. Z pewnością tych czworo wymienionych – polonistka, łacinnik, Monsieur i katecheta wywarli znaczący wpływ na osobowość poetycką młodego Miłosza. Ale wydarzeniem, którego w tych hipotetycznych rozważaniach nie sposób pominąć, była wizyta w wileńskim gimnazjum najstarszego syna Adama Mickiewicza, Władysława, który w latach dwudziestych odwiedził kraj lat dziecinnych ojca. Miłosz wspominał mi, że zrobił na uczniach piorunujące wrażenie z racji podobieństwa do Wieszcza i stroju jako żywo przypominającego XIX-wiecznego poetę – czarna peleryna, kostur, grzywa białych włosów. W mieście, w którym kult Wajdeloty nigdy nie zagasł, taki gość recytujący strofy ojca musiał być jak duch z zaświatów. Adam pozostał dla Czesława twórcą budzącym zachwyt i potrzebę solidnych studiów naukowych. Ten duchowy związek z autorem *Grażyny* umacniał się w dalszym okresie wileńskim Miłosza, między innymi ze względu na wspólnotę adresów. O jego nocy spędzonej w Celi Konrada i o pokoju wynajmowanym przy Zaułku Literackim przypomnę w dalszej części.

W klasie „A” nastoletni uczeń o przezwiskach Makak i Jajo (jak sam wyznał, był „pulpetowaty” i miał kulistą głowę, choć twierdził, że nazywano go tak, bo każde zdanie zaczynał od „Ja”) zawarł przyjaźnię na całe życie. Nawet na stare lata pamiętał z imienia i nazwiska swoich dawnych kolegów. Dzięki temu wiadomo, z kim siedział w ławce, ale dużo ważniejszą rolę w jego biografii odegrali dwaj inni chłopcy: Ignacy Święcicki, późniejszy inżynier lotnik i uczestnik II wojny światowej

w szeregach brytyjskich, oraz również inżynier i wynalazca Stanisław Kownacki. Obaj po wojnie wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych. Świącicki z żoną osiadł w Yorku w stanie Pensylwania. Miłoszowie odwiedzali ich, przyjeżdżając tam z placówki dyplomatycznej w Waszyngtonie w późnych latach czterdziestych, stąd w *Traktacie poetyckim* pojawia się w finale opis tamtejszego jeziora nocą, miejsca kojącego ciszą i harmonią natury. Świącicy jako przyjaciele sprawdzili się nadzwyczajnie, udzielając na ponad dwa lata schronienia Jance Miłoszowej i dwóm ich małym synom, gdy po decyzji o azylu politycznym w 1951 roku poeta został we Francji, bezskutecznie starając się o wizę pobytową w USA (dostał ją dopiero po dziewięciu latach). Z kolei Janka Miłoszowa obawiała się jechać do Europy w czasie toczącej się wojny koreańskiej, grożącej kolejnym konfliktem zbrojnym na skalę globalną. Zresztą sytuacja materialna nowego emigranta była nie do pozazdroszczenia. Bez własnego lokum, z groszowymi zarobkami, mógł sobie pozwolić na kupno na poły zrujnowanego domu w Brie-Comte-Robert dopiero po otrzymaniu nagrody pieniężnej gildii europejskich za napisane na ten konkurs *Zdobycie władzy*. Janka w Yorku nie była przy tym łatwą, choć nieodpłatną lokatorką. W ciągłym napięciu nerwowym często sprzeczała się ze swoimi gospodarzami i powtarzała, że zobaczą, iż Miłosz dostanie kiedyś Nobla. Pod tym względem intuicja jej nie zawiodła.

Stanisław Kownacki mieszkał jakieś dwie godziny jazdy samochodem od Berkeley, więc dawni koledzy szkolni dość często się odwiedzali, gdy Miłoszowie osiedli w Kalifornii w 1960 roku. Miałam okazję go poznać wiosną 1981, kiedy przyjechał na Grizzly Peak Boulevard wraz z innym ich kolegą szkolnym, przybyłym z Warszawy Bohdanem Urbanowiczem, dziekanem ASP. Jak w takich razach, wspominkom nie było końca. Panowie w pewnym wieku przeistoczyli się po kilku drinkach w rozbrykanych uczniaków. Nie zabrakło wspólnej obowiązkowej fotografii, na której uwieczniono i mnie. Zapamiętałam ich opowieść, jak koledzy wyratowali z wody tonącego Miłosza.

W latach chłopięcych poeta wychowywał się trochę jak dziczka, z dala od najbliższych, dość często zmieniając stancje – Nadbrzeżna, Podgórna, Portowa, położone blisko siebie. Nie pobierał systematycznych nauk o zachowaniu się przy stole i nie był nadzorowany, choć po prawdzie oboje rodziców odznaczało się łagodnością w wychowaniu synów. W Wilnie miał jakichś krewnych i powinowatych, jak choćby sąsiadki z ulicy Nadbrzeżnej – dwie siostry Drużyno, „papużki szlachcianki” ze Żmudzi, budzące litość z powodu zaawansowanego wieku i całkowitej nieporadności życiowej, przywołane w *Gdzie wschodzi słońce...* i wspomniane w *Abecadle*. One również, jak wizja balu studenckiego, pojawiają się w myślach autora na którymś kilometrze jazdy przez Amerykę.

Warto byłoby kiedyś rozwinąć motyw starych kobiet w twórczości Miłosza. Jest ich wiele, z odebraną urodą i zdrowiem, włączywszy w to wiersz-wspomnienie o matce, pisany w późnym okresie życia. Jakże krańcowo różny jest ten wizerunek od wizji roztańczonej młodej mężatki w wierszu *Walc*. Ponieważ pada w nim data balu: rok 1910, domyślać się należy, że walcząca była ciężarna ze swoim pierworodnym. Miłosz wspominał, że jego rodzice w młodości chętnie balowali w karnawale. Po którejś nocy prosto z zabawy ruszyli do kościoła. I wówczas zaczęła się choroba Weroniki, która nie mogła o własnych siłach wstać z klęczek. Jej rozgrzane ciało w zetknięciu z lodowatą posadzką doznało rodzaju paraliżu. W jego poezji te zalotne i śliczne dziewczęta przemieniają się w jednej chwili w bezzębne i pomarszczone staruchy. Czas jest dla nich o wiele bardziej okrutny niż dla mężczyzn.

Rodzice poety w 1926 roku z małym Andrzejem wyprowadzili się do Suwałk, gdzie Aleksander otrzymał posadę kierownika zarządu dróg. Tam Czesław był formalnie zameldowany. Wychowany w zasadzie w matriarchacie, nie miał szczególnie bliskich związków z często nieobecnym ojcem, dodatkowo nadwerężonych po śmierci matki jego powtórny ożenkiem. Dopiero w późnej fazie twórczości poeta podjął w biograficznym poemacie niecodzienne dzieje ojca – udział w budowie kolei transsyberyjskiej, polowania w Górach Sajańskich, nieudaną wyprawę po złote runo do Brazylii. Aleksander Miłosz pisywał też wiersze, poświęcone swoim barwnym doświadczeniom, ale zapijał prowincjonalne smutki i chorobę żony, kalekiej wskutek nawrotów artretyzmu, tracąc w ten sposób podziw w oczach syna.

Zatem od połowy lat dwudziestych życie rodziny zamykało się w trójkącie Wilno–Sztejnė–Suwałki, przede wszystkim w odniesieniu do Weroniki Miłoszowej, która często przemykała się do swoich bryczką przez zieloną granicę, gdy stosunki dyplomatyczne między obu krajami przestały istnieć. Aleksander, z racji przynależności do Wojska Polskiego, nie miał prawa wstępu na teren Republiki Litewskiej, bo zostałby tam z miejsca aresztowany. W 1935 roku Miłoszowie przenieśli się z Suwałk do miasteczka Głębokie, obecnie w obrębie Białorusi, polu krwawej bitwy w wojnie z bolszewikami, w której poległo ponad półtora tysiąca żołnierzy. Była to rzeczywiście zabita deskami prowincja, napiętnowana przez historię.

Dyscyplinę małemu gimnazjaliście wpoila nie tylko szkoła, ale i harcerstwo, związane ze zdobywaniem kolejnych sprawności. Wyprawy w zielone knieje, wycieczki do Trok, nauka kajakowania, wycwiczenie w sobie zasadniczej dzielności w trudnych sytuacjach. Harcerstwo rozwijało też etos koleżeństwa i solidarności. Wiązało się z przynależnością do półtajnej organizacji PET, rzekomo kierowanej przez środowisko masonerii, a tej był w Wilnie dostatek. Coś ze skauta zostało Miłoszowi na całe życie. W Ameryce cenił sobie wycieczki pod namiotem. W ten

sposób zwiedził z rodziną całe wybrzeże Pacyfiku aż po stan Washington. Napisał nieco wierszy odnoszących się do tych miejsc.

### Gaudeamus

Kolejną cezurą w życiu Miłosza było świadectwo maturalne uzyskane w 1929 roku, uczczone wycieczką z dwoma kolegami w okolice Wilna i popijawą na cześć świeżo uzyskanej dorosłości. Osiemnastolatek na tyle skorzystał z lekcji polskiego i własnych lektur, że zapisał się na wydział polonistyki Uniwersytetu Stefana Batorego. Jednym z tamtejszych wykładowców był profesor Manfred Kridl, którego po latach udało mu się osadzić w nowo założonej katedrze literatury polskiej na nowojorskim Columbia University, finansowanej przez Warszawę. Nie obyło się przy tej okazji bez wielkiego zamieszania i protestów miejscowej Polonii. W Wilnie Kridl był opiekunem Sekcji Twórczości Oryginalnej, znanej pod skrótem STO, do której Miłosz zapisał się na samym początku studiów. Na polonistyce zabawił zaledwie parę tygodni, bo – jak stwierdził po latach, był to w jego oczach „wydział matrymonialny”. Ale i studiowanie prawa, na który to wydział się przeniósł, uznał w *Abecadle* za „nierozsądne”. Swoją drogą wprost zaskakuje, ilu polskich arcymistrzów literatury było z wykształcenia prawnikami – Herbert, Gombrowicz, Leśmian, Brzechwa, Wittlin, by wymienić kilku z długiej listy. I najczęściej nigdy nie uprawiali swojego wyuczonego zawodu. Ubolewam nad Miłoszem studiującym prawo karne czy cywilne, tym bardziej, że potknął się na którymś egzaminie i by uniknąć surowego profesora, przeniósł się na Uniwersytet Warszawski. Tam oblał rok i wrócił na USB do Wilna. On sam uważał, że gdyby antropologia była wtedy osobnym kierunkiem na USB, to ją właśnie powinien był studiować. Do podjęcia takich studiów zachęcił w Ameryce młodszego syna.

Aktywność pozaakademicką rozwinął Miłosz-student w różnych kierunkach, od przynależności do wesołej kompanii Akademickiego Klubu Włóczęgów do założenia w 1931 roku wspólnie z kolegami pisma „Żagary” i grupy poetyckiej o tej samej nazwie. Do tego grona należeli m.in. Bujnicki, Gołubiew, Stefan Jędrzychowski – w 1944 roku kierownik resortu informacji i propagandy w PKWN, ale wówczas student ekonomii. Choć grupy poetyckie z własnym programem należą dziś do relikwów przeszłości, Żagary odegrały znaczącą rolę w dojściu do głosu poetów II Awangardy.

Nie mogę się tu powstrzymać od przytoczenia anegdoty z czasów własnych studiów na UW w połowie lat sześćdziesiątych. Na czwartym roku uczęszczałam na proseminarium, które prowadził z nami docent Andrzej Lam; chodziły słuchy, nie wiem, czy prawdziwe, że udzielał cenzorom z ulicy Mysiej wskazówek w rozszyfrowywaniu metafor. Materiał, z którego zdawaliśmy ostatni egzamin z literatury

polskiej, był olbrzymi, bo obejmował Młodą Polskę, Dwudziestolecie i współczesność. Ledwie żywa wskutek intensywnego kucia, miałam zdawać u docenta Lama jako siódma w kolejności. Każdy z szóstki kolegów przede mną wychodził z paniką na twarzy i dwójką w indeksie. Nasz egzaminator zadawał im tylko jedno, stale to samo pytanie: o program Żagarów, skład grupy i jej publikacje. Gdy w końcu przyszła moja kolej, poczułam się całkiem pewna siebie. Poezje Miłosza wydawane przez Instytut Literacki czytałam potajemnie dzięki jego bratu Andrzejowi, poznałemu na festiwalu filmowym. Z jego książek w Bibliotece Uniwersyteckiej ostatnie na liście było *Ocalenie*, 1945. Potem autor jakby zapadł się pod ziemię. Można było sądzić, że umarł czy zaginął bez wieści. Jego utwory publikowane na emigracji trzymano w BUW za kratą, a ich lektura wymagała specjalnego zezwolenia od kogoś z profesorów. Toteż docent Lam trochę nas zaskoczył pytaniem o twórczość poety na indeksie PRL – wprawdzie przedwojenną, ale jednak. Gdy weszłam do jego gabinetu, byłam gotowa odpowiedzieć na jego podstępne pytanie. Ale on zmienił taktykę i zapytał mnie o nowatorstwo dramatów Witkacego. I w ten sposób ominęła mnie pierwsza – nazwijmy to publiczna wypowiedź o twórczości Miłosza.

Wracam do Wilna jego czasów studenckich. Miłosz odczuwał wyraźną potrzebę posiadania mistrza, jak to się stało w przypadku Oskara Miłosza. W 1930 roku stał się nim Jarosław Iwaszkiewicz. Tuż po swoim debiucie dziewiętnastoletni poeta napisał do autora *Dionizji* wielokrotnie cytowany po latach list, zaczynający się od słów: „Uwielbiam Pana”, czym poruszył lawinę wydarzeń w życiu ich obu. Niewiele nowego mam tu do dodania, więc zainteresowanych odsyłam do tomu zatytułowanego *Portret podwójny* w wyborze i opracowaniu Barbary Toruńczyk, przedstawiający losy ich półwiecznej znajomości, która przybiera kształt sinusoidy – od intensywnych emocji intelektualnych podszytych Erosem, do głębokich animozji spowodowanych emigracją Miłosza. I na starość pogodzenia. Nawet w gniewie obaj nawzajem wysoko cenili swoją twórczość. Starszy o szesnaście lat Iwaszkiewicz, już o ugruntowanej sławie i zasobach finansowych, nie raz pomagał Miłoszowi w wyjściu z różnych kłopotów, łącznie z ratunkową akcją, gdy podczas pamiętnej wyprawy trojga młodych wilnian Renem na wystawę światową w Paryżu latem 1931 roku ich kanadyjka wraz z dokumentami i bagażem zatonięła.

Gdy w 1937 roku Miłosz został wylany z Radia Wilno, spędził wakacje we Włoszech, czego poetyckim świadectwem jest między innymi wiersz *Siena*. Jak się okazuje z listów, wycieczkę częściowo sfinansował mu Iwaszkiewicz, przebywający wówczas na placówce dyplomatycznej w Kopenhadze i nawet dojechał tam na krótko do niego. Wyrzucał mu później zdystansowanie się doń.

Starszy i młodszy dedykowali sobie nawzajem swoje utwory. Iwaszkiewicz – *Czerwone tarcze*. Postać poety posłużyła mu jako pierwowzór bohatera *Pasji*



*błądomierskich*. Chyba słusznie odgaduję, że jego erotyk *Do Milana* ma za adresata Miłosza. Ten z kolei dedykował Iwaszkiewiczowi wiersz, że tak się wyrażę, moralnie obojętny, *O młodszym bracie*, zresztą jeden ze słabszych w tomie *Trzy zimy*.

Badacze twórczości obu poetów opisali częste odwiedziny Miłosza na Stawisku w czasie okupacji z noclegiem spowodowanym godziną policyjną i zawirowaniem alkoholowym. Janka, wówczas jeszcze Cękańska, która mieszkała z Czesławem, nie lubiła atmosfery dworu Iwaszkiewiczów i na ogół odmawiała wizyt. Był jeszcze jeden powód: wielbiciel jej mężczyzny przemyślał o wyswataniu go ze swoją córką Marią. Tego było jej aż nadto. Toteż Miłosz najczęściej pojawiał się na Stawisku albo sam, albo w towarzystwie Jerzego Andrzejewskiego. I wtedy obaj nie wylewali za kołnierz.

### Miłosne wtajemniczenie

Dwoistość jego natury ujawnia się w dwóch spostrzeżeniach na temat samego siebie. Często powtarzał: „Byłem pięknym chłopcem”, choć w szopce akademickiej w 1929 roku obsadzono go bezceremonialnie w roli goryla, a tekst, który wygłosił, wyszedł podobno spod pióra Jerzego Putramenta, wówczas studenta polonistyki, mającego na jego punkcie dosłownie obsesję. Na zachowanym zdjęciu-montażu zbiorowym widać Miłosza po prawej stronie, w zbliżeniu. Jego twarz kojarzy mi się z młodym Leonardem di Caprio i gdyby miał powstać film fabularny o młodości Miłosza, chętnie bym go w tej roli obsadziła. W szopce naigrywano się z niego za chwalenie się koneksjami ze sławnym wujem Oskarem Miłoszem, ale dopiero dwa lata później dojdzie do obfitującego w konsekwencje spotkania starego poety z dalekim krewniakiem.

A więc z wyglądu podobny do człekokształtnych, czy raczej efeb? Moim zdaniem, Miłosz zawarł jakiś pakt faustowski, by tak długo zachować młodość i wygląd. Tak czy inaczej, nie ukrywał, że był człowiekiem pysznym z ducha i takim pozostał. Miał uwodzicielską moc, która przyciągała doń i kobiety, i mężczyzn, patrz *casus* Iwaszkiewicz i całkiem liczne grono gejów z jego bliskiego otoczenia, jak Czechowicz, Andrzejewski czy Bolesław Bochwic. Po Noblu przychodziły do niego listy od starszych pań, które zapamiętały jego magnetyczną obecność na przedstawieniu w wileńskim Teatrze na Pohulance, gdy stał oparty o ścianę. Mimo to twierdził, że w początkach dorosłego życia był chorobliwie nieśmiały. Erotycznie gotowy do pierwszego romansu, ciężko przeżył odrzucenie zalotów do rudowłosej Ireny, letniczki w dworze w Krasnogrudzie, gdzie siostry cioteczne jego matki, Gabriela i Janina, prowadziły sezonowy pensjonat w majątku rodzinnym Kunatów, wspólnych dziadków z Weroniką. O kilka lat od niego starsza „żona pana Z.”, romansowała

na jego oczach z muskularnym rywalem. Czesław wynalazł gdzieś rewolwer i niczym młody Werter postanowił strzelić sobie w skroń. Na szczęście broń nie wypaliła. Była to jedyna próba samobójcza w życiu poety, choć on sam powiadał, że cierpi na *delectatio morosa*, co wyraźnie daje się wyczytać w jego poezji. Miłosz żegna się ze światem przez całe dziesięciolecia, lecz dożył, jak wiadomo, sędziwego wieku.

W młodości wszystko się robi pierwszy raz w życiu. W jego wypadku przeżywa się także miłosne wtajemniczenie dzięki własnej krewnej. Pierwszy krok uczyniła ona – Gabriela/Ela w odruchu serca wobec straumatyzowanego młodzieńca. Jak pisze Andrzej Franaszek w swojej biografii Miłosza, przyszła do niego nocą do pokoiku na górcie dworu w Krasnogrudzie. Miała rozpuszczone włosy.

Tej kobiecie na imię Gabriela. Mógłbym pokazać ją  
w białej sukience z marynarskim kołnierzem  
albo jako staruchę z wystającymi, bez dziąseł, zębami.  
Tutaj stoi oliwno-złota, czarnowłosa.

– kreśli jej portret poeta w *Osobnym zeszycie*, ścieśniając upływ czasu do odstępu między wersami.

W czasie mojego sekretarzowania, a potem w trakcie długoletniej przyjaźni, nie raz bywałam jego powierniczką. Usłyszałam od niego nieco inną opowieść o Erosie i Eli. Trzeba pamiętać, że Miłosz utrwalił w *Osobnym zeszycie* moment, w którym go oczarowała. Miał wtedy trzy lata, czyli musiało to być jedno z jego pierwszych wspomnień. Odtąd stała się dla niego uosobieniem kobiecego piękna, utrwalonego potem w wielu wierszach. Ela była od niego starsza o dwadzieścia trzy lata i choćby z tego powodu ich związek nie mógł być trwały. Miał on jednak powab przekroczenia pewnego tabu i był ukoronowaniem marzeń tkwiących w Miłoszu od małego. Ela była mu kochanką-matką.

Miłosz przetłumaczył w połowie lat trzydziestych w Paryżu wiersz Baudelaire'a *Balkon*:

Matko wspomnienia, kochanie kochania,  
Ty, wszystkie moje więzy i wszystkie rozkosze!  
Pieszczot piękność przypomnisz, oto się odsłania  
Cisza domu, wieczorów uroki najśłodsze,  
Matko wspomnienia, kochanie kochania.

Odnoszę wrażenie, że czując się tak związany z tym erotykiem, myślał o swoim romansie z Gabrielą, która została również uwieczniona wcześniej w jego własnym

wierszu, *Pieśń*. Poeta wyjaśniał mi w publikowanym wywiadzie, że padające tam imię „Anna” po litewsku oznacza „Ona”, ale trudniej o powiedzenie czegoś w bardziej niejasny sposób. Nie od razu po swojej śmierci pod koniec lat sześćdziesiątych Gabriela/Ela przestała być w jego poezji bezimienna.

Po kilku latach od tamtych wywiadów Miłosz w przystępie zwierzeń opowiedział mi, jak na portierni bursy na Bouffałowej Górze pojawiła się dama w gęstej czarnej woalce i poprosiła o możliwość odwiedzenia siostrzeńca. W czasach studenckich poeta najpierw dzielił pokój w akademiku z dwoma kolegami, ale na wyższym roku dochrapał się jedyńki na ostatnim, czwartym piętrze. Już nie da się wyjaśnić, która scena z ich życia była pierwsza w kolejności. Przypuszczalnie ta w Krasnogrudzie, dokąd poeta jeździł z rodziną na wakacje począwszy od 1927 roku. Potajemny i pełen namiętności związek z Elą trwał jakiś czas, ale jak długo – trudno ustalić. W *Elegii dla N.N.*, jednym ze swoich najwspanialszych wierszy, napisanym na wieść o jej śmierci, wspomina rodzaj przebieralni, drewnianą budkę nad jeziorem Hołny. Zapewne również tam młody Miłosz czulił się ze swoją umiłowaną.

Jeżeli poświęcam tyle uwagi obu miłościom Miłosza, to dlatego, że intrygującą sprawą wydaje mi się przekształcanie ważnych elementów biografii w wersy poezji. Przypomina mi się uwaga Miłosza zawarta w jego liście do młodzietki Julii Hartwig, która przysłała mu do oceny swoje pierwsze wiersze: erotyka nie powinna być tematem poezji. Najwyraźniej w swoim ówczesnym przekonaniu on sam takich wierszy nie pisał, ale to tylko pozorna prawda. Wystarczy przypomnieć ewidentny erotyk bez tytułu z *Trzech zim* \*\*\* (*Ty silna noc...*) pisany moim zdaniem z myślą o Jadwidze, czy niepokojąco wizyjne *Bramy Arsenалу* z postacią młodej kobiety na granicy szaleństwa, oba napisane w tym samym 1934 roku, z tym że pierwszy z nich w Wilnie, a drugi już w Paryżu. Przyznam, że biedziłam się nad rozgryzieniem tego ostatniego. Miejsce jego powstania błędnie zasugerowało mi, że chodzi o paryski Arsenal, mieszczący bibliotekę, w której przez jakiś czas pracował Mickiewicz. Tymczasem chodzi o arsenal u stóp Góry Zamkowej z dużym pasem zieleni, dochodzącym do Wilii. Mieściła się tam Państwowa Biblioteka imienia Eustachego i Emilii Wróblewskich, obecnie miejsce zbiorów Litewskiej Akademii Nauk. „Ogrody lunatyczne”, po których krąży bohaterka wiersza, znajdują się nad brzegiem Wilii, nie Sekwany.

Podczas wielkiej powodzi w Wilnie w kwietniu 1931 roku ulica Arsenalska (dziś Vrublevskio) znalazła się pod wodą, która wdarła się do podziemi katedry. Zniszczenia były ogromne, a oczom zdumionych wilnian ukazały się szczątki króla Władysława IV, Aleksandra Jagiellończyka oraz żon Zygmunta Augusta, królowej Elżbiety i Barbary Radziwiłłówny. Czy ten fakt miał jakiś wpływ na kształt Miłoszowej wizji w *Bramach Arsenалу*? To pytanie otwarte.

Teraz Ela w wiecznym śnie spoczywa niedaleko mnie, na cmentarzu w Sopocie, razem z rodzoną siostrą Niną i cioteczną, Weroniką. W stulecie urodzin Miłosa zebraliśmy się przy tym grobowcu, składając kwiaty, a para aktorów Teatru Wybrzeże – Halina Winiarska i jej mąż Jerzy Kiszkiś recytowali wybrane wiersze jubilata.

Autorka zdjęć: Renata Gorczyńska  
[Część II szkicu w następnym numerze]



Ryszard Krynicki  
laureatem  
Nagrody Poetyckiej Silesius 2021  
za całokształt pracy twórczej

Serdecznie gratulujemy!

Redakcja i Zespół  
„Kwartalnika Artystycznego”

## ALEKSANDER FIUT

# Posłuchajmy Czesława Miłosza

Na ile Czesław Miłosz był człowiekiem XXI wieku? Retoryczne pytanie! Z pewnością nie miał w sobie nic z szacownych, nieco omszałych figur narodowego panteonu – kwitowanych jeśli już nie odruchem skrywanego znudzenia czy otwartego zniecierpliwienia, to darzonych trochę wymuszonym szacunkiem. Proteuszowy, wielokształtny, igrający z przeciwieństwami, nieustannie zaskakiwał młodzieńczą żywością umysłu, ciągłą gotowością do skonfrontowania się z coraz to nowymi wyzwaniami nowoczesności. W jego pisarstwie trwał nieustępliwy namysł nad dziejami europejskiej cywilizacji. W *Ziemi Ulro* wyznał, że już w wieku piętnastu lat został porażony odkryciem, że przyszło mu żyć w epoce porównywalnej z końcem epoki antycznej. Końcem epoki chrześcijaństwa? W każdym razie, jego zdaniem, okresem coraz intensywniejszego zasypywania przez kulturę europejską jej chrześcijańskich źródeł, a co za tym idzie – religijnego pustynnienia w społeczeństwach wywodzących się z tej tradycji, załamania się i atrofii dawnych systemów wartości, pogwałcenia elementarnych zasad etycznych, wreszcie degradacji oraz reifikacji suwerennej jednostki, oraz jej rosnącego spętania przez wszechobecne i wszechwładne Państwo. Jako naoczny świadek prawie całego poprzedniego stulecia, naznaczonego dwiema wojnami światowymi, ideologicznymi obłędami oraz zbrodniami faszyzmu i komunizmu, Zagładą, terrorem i uprzedmiotowieniem jednostki, nieustępliwie, wręcz natrętnie powracał do tych samych zasadniczych kwestii. Nade wszystko szukał odpowiedzi na fundamentalne pytanie: „*unde malum*, skąd zło”. Odpowiadał na nie rozmaicie – zależnie od momentu historycznego, w którym się znajdował, oraz przeobrażeń świadomości społecznej – stale je pogłębiając, cierpliwie rozpatrując z wielorakich perspektyw. Był z pewnością nie tylko genialnym poetą, ale także przenikliwym analitykiem świadomości społecznej oraz zmian kulturowych, jednym z najważniejszych myślicieli ubiegłego stulecia. Wiele z jego rozpoznań, zwłaszcza z ostatniego okresu życia, nic nie traci na aktualności. Oddaję mu więc głos, do minimum ograniczając komentarz.

\*

Był urodzonym ekologiem. Niespełniony biolog, wychowany w otoczeniu bujnej, nieraz jeszcze pierwotnej przyrody litewskiej, z niepokojem śledził zmiany

zachodzące w środowisku naturalnym wskutek działalności człowieka. W zeszytach szkolnych kreślił mapę dziewiczej krainy jezior i rzek otoczonych nieprzebytymi lasami, do której tylko nieliczni wybrani mieli prawo wstępu. Jako uczeń był namiętnym czytelnikiem *Pięcioksiągu przygód Sokolego Oka* Fenimore'a Coopera, ale przeżył wielkie rozczarowanie, kiedy przybył nad Wielkie Jeziora. Plastycznie przedstawiony przez amerykańskiego pisarza starodrzew został bowiem, co podkreślał w rozmowie ze mną, doszczętnie wykarczowany, a na jego miejscu wyrosły jedynie rachityczne laski. Musiał to mieć w żywej pamięci, przewidując zagrażającą planecie katastrofę klimatyczną. Już wiele lat temu, w 1996 roku, stanowczo stanął w obronie Puszczy Białowieskiej. Pytał wówczas całkiem zasadnie:

„Dlaczego nie włączono Puszczy do Parku Narodowego, jeżeli Białorusini zdobyli się na to w 1991 roku? Zdawałoby się, że skromny nawet zakres koordynacji z sąsiadem prowadziłby wtedy do takiego rozwiązania. Oczywiście argumentem przeciwników Parku jest potrzeba pieniędzy z eksploatacji lasu gospodarczego. Zysk przeciwko ochronie przyrody – to przecie stałe przeciwieństwo we wszelkich debatach toczonych w różnych krajach, ale świadomość zniszczeń dokonywanych przez człowieka datuje się dopiero od niedawna, podczas gdy chciwość zysku działała przez wieki, nie znajdując prawie żadnych granic (poza, tu i ówdzie, wołą monarchów). Nie z innego powodu znikły puszcze na wschodnim brzegu Ameryki, a obecnie każdego dnia ubywa dziewiczego lasu nad Amazonką, z groźnymi następstwami dla klimatu naszej planety”.

\*

Pozostawał bardzo wrażliwy na położenie kobiet. W wierszach, wiedziony, jak wyznawał, przez swoją *animae* potrafił się z nimi w zdumiewający sposób identyfikować, naśladować ich wrażliwość i sposób widzenia, kreślić pełne czułości, zapadające w pamięć ich subtelne portrety. Kobiet osobiście mu bliskich i spotkanych przez mgnienie, rzeczywistych i wywołanych z niebytu mocą wyobraźni, współczesnych i zobaczonych ze zmysłową wyrazistością w rozmaitych epokach. Równocześnie cały czas z uwagą, zwłaszcza podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych, obserwował stopniowe nasilanie się i wzrastanie ruchów feministycznych. A nawet, eksperymentalnie, użył metody krytyki feministycznej, interpretując *Nad Niemnem* Orzeszkowej w eseju *Rozbieranie Justyny!* Oczarowany kobiecią cielesnością, niezwykle wrażliwy na dziewczęce wdzięki, głęboko współczuł kobietom starzejącym się i prawdziwie podziwiał heroiczną walkę płci pięknej z upływającym czasem. Dlatego gwałtownie protestował przeciwko nie tylko podporządkowaniu kobiet różnym formom męskiej dominacji, ale również

przedmiotowego traktowania ich ciała. Przy całej sympatii dla ruchu feministycznego, w jego ocenie starał się wszakże zachować miarę i starannie wyważać racje, przeciwstawiając się ekstremizmowi. Zasadnie zatem dowodził, że

„W cywilizacji dwudziestego wieku, obfitującej w sprzeczności, nie najmniejszą z nich jest pojawienie się feminizmu właśnie kiedy kobieta, sprowadzona do jej ciała, jest przedmiotem handlu na niebywałą skalę. Pokazywanie jej ciała stanowi główną treść filmowego przemysłu, łącznie z porno, tudzież przemysłu ubraniego, pod dyktando wielkich domów mody, a razem są to olbrzymie pieniądze. Prostytucja przybrała nowe formy: sprzedawania swego wyglądu (modelka, gwiazda filmowa, gwiazda porno). Magazyny poświęcone kobiecej nagości przeszły całą drogę od *strip-tease*, czyli rozbierania się, aż do punktu, kiedy z niczego już rozebrać nie można, więc pozostaje tylko skierować kamerę między nogi”.

I zadawał prowokujące pytania:

„A co na to feministki? Czy głosząc równe prawa nie są ośmieszane przez to po prostu, że chcą być jak mężczyzna, podczas gdy zwycięstwo mężczyzny jest całkowite – on, jako dyktator filmu, telewizji i mody handluje kobietami – apelując do wymienialnych na pieniądź gustów mężczyzny. Czemu feministki nie podpalał hal i studiów filmowych (a są łatwopalne)? Czemu nie rzucał bomb na redakcje magazynów apelujących do samczego gustu? Czemu nie nawołują do bojkotu telewizji? Czemu nie zaczną kampanii przeciwko tyranii mody, szerząc wśród kobiet przekonanie, że jedynym strojem odpowiadającym ich godności jest taki sam dla wszystkich ciemny garniturek? Gdzież tam”.

\*

Urodzony w regionie wielokulturowym, charakteryzującym się różnorodnością oraz zmiennością tożsamości, wzorów zachowań, kulturowanych norm i postaw, był szczególnie wyczulony na wszelkie objawy i formy wykluczenia i dyskryminacji, nacjonalizmu i antysemityzmu. Świadek pogromu w Wilnie w latach trzydziestych, zagłady warszawskich Żydów, autor takich wierszy, jak *Campo di Fiori* czy *Biedny chrześcijanin patrzy na getto*, w liście do Jerzego Giedrojcia z 1979 roku wyznał: „Ja przez całe życie nie mogę się podźwignąć, bo uczciwy człowiek powinien był pójść do warszawskiego getta i tam zginąć”. Ostro zareagował zatem na antyżydowską nagonkę w PRL w 1968 roku. W wierszu *Moja biedna mowo* znieprawienie postaw i umysłów wyraził poprzez ukazanie znieprawienia języka, natomiast w wypowiedzi z tego roku, zaczynającej się od znamienego incipitu „Tak więc naród polski został gruntownie wrobiony w hańbę...” zawarł ostrzeżenie, które, niestety, nic nie traci na swojej aktualności:

„Prawdziwe diabelstwo rodzi się zwykle z tego co swojskie, bliskie, tak zwykłe, że aż niedostrzegalne; nie z tego, co ma obcą twarz i cudzoziemski akcent. Wydaje mi się, że Kościół katolicki w Polsce, jako ostoja prawdy i wolności wśród powszechnego kłamstwa, jest dzisiaj poważnie narażony na moralną porażkę. Większość kleru bowiem wywodzi się, wskutek swego pochodzenia, z ludowych ciamkań i mamlań, z bajd o czarownicach, wilkołakach, żydomasońskich czy syjonistycznych spiskach. Jego słaba odporność na prasłowiańskie, piastowskie, prawicowe pokusy ma długą historię. Co do ogółu polskich katolików, to – jak się zdaje – dotychczas słabo sobie uświadamiają, że wyznawana przez nich religia jest żydowska, że modlą się do Bogarodzicy, która była Żydówką, i do Chrystusa, który był Żydem. Jak też że cała polska kultura, w której pierwiastki miejscowe, słowiańskie są słabe, została zbudowana na łańskich przekładach z żydowskich ksiąg Starego i Nowego Testamentu”.

\*

Cudem ocalony z dwudziestowiecznych kataklizmów historycznych w całej twórczości rozmyślał nad naznaczoną tragizmem paradoksalnością polskich dziejów. Pozostawał, wedle określenia Stanisława Barańczaka, „patriotą krytycznym” – pełnym troski o los zbiorowy Polaków, a zarazem z pasją piętnującym przerosty nacjonalizmu, zbiorową megalomanię i mesjanistyczne urojenia oraz niechęć do rozliczenia się kompromitującymi kartami naszej historii. Domagającym się sprawiedliwego i obiektywnego wyważenia wzlotów i upadków, powodów do dumy, ale i powodów do wstydu, chwil chwały i chwil hańby. W jego ujęciu polskiej historii dominowało widzenie ofiar, a nie sprawców. Ale spoglądał na nią tyleż z zewnątrz, z emigranckiego oddalenia – co obdarzało go zbawiennym dystansem, pozwalając ująć zbiorowe doświadczenia w szerszym, europejskim czy amerykańskim kontekście – co z wewnątrz, dokładniej – z perspektywy mieszkańca ziem wschodnich Rzeczypospolitej. Nie przypadkiem pod koniec życia właśnie z takiego miejsca w geografii opisywał swoją *Wyprawę w dwudziestolecie*. Zawsze bliska mu była, niemal dotykalnie obecna, historyczna przeszłość, ale zarazem starał się wybiegać niespokojną myślą w bliższą i dalszą przyszłość. Jego diagnozy zasługują, także obecnie, na ponowną refleksję. Pisał:

„Czyżby historia każdego kraju miała swoje własne prawidłowości, swoje niezmiennie rytmy? Czyżby Polska to były serie krótkotrwałych zrywów natychmiast kończących się gniciem i rozpadem, i tak *da capo*? Jak w *Weselu* Wyspiańskiego, jak w *Tangu* Mrożka, wszystko ma zawsze być uwieńczone tańcem inercji? Czy jedynym, co stale powraca, ma być płas goryla Edka z reakcyjnym wujkiem? Wiele przemawia za tym, że tak jest. Zastanawiająca jest, bądź co bądź, niezwykle



szybka degeneracja rządzących grup, ich niezdolność do odnowy. A także los młodzieży, zawsze bohaterskiej i zawsze romantycznej, tak że, zaiste, nie darmo w naszym stuleciu język polski wzbogacił się o słowo »Syncyzna« przeciwstawione »Ojczyźnie«. Jakiegokolwiek jednak są analogie z przeszłością, fatalność, rzekomo ciążyąca nad krajami i narodami, jest tylko niebezpiecznym mitem. Fatalność ta zostanie prędzej czy później przełamana. Zanim to nastąpi, można przynajmniej wyciągnąć z dotychczasowych doświadczeń tę naukę, że od stu kilkudziesięciu lat wyraźny jest podział na tych, których nazwiska są wymawiane przez potomnych z szacunkiem, i na tych, którzy, jeżeli pozostali w czyjejs pamięci, to tylko jako symbole podłości albo niedołęstwa. Niestety, wśród pierwszych, z rzadkimi wyjątkami, są ludzie myśli i pióra. Niestety, wśród drugich są przeważnie gubernatorzy i politycy”.

\*

Polemizował z Charlesem Taylorem, któremu zarzucał zbyt uproszczone przeciwstawienie obecnego triumfu dziedzictwa oświecenia nad zmierzchem chrześcijaństwa. A zatem z jednej strony: obrony praw człowieka, wrażliwości na ludzką krzywdę, zrównania w uprawnieniach mężczyzn i kobiet, humanizmu i humanitaryzmu, z drugiej: zbrodni inkwizycji, konserwatywnego stanowiska wobec postępu, popierania idei sojuszu tronu z ołtarzem. Z pewną dozą ironii stwierdzał, że: „Obraz jasności rozumu pokonującej Ciemnogród jest u Taylora nieco idylliczny”, skoro „cechą ludzkich społeczeństw są struktury mieszane, w których religia i antyreligia występują w rozmaitych odmianach: i przeciwstawienia, i symbiozy”. Próbował zachować obiektywizm, dowodząc zasadnie: „Chrześcijaństwo jest zapewne winne wielu zaniechań, ale humanizm ze swej strony musi wziąć na swój rachunek niezliczone przykłady deptania godności ludzkiej, jak też śmierć wielu rzekomych czy rzeczywistych wrogów równości”. Stąd konkluzja: „Jeżeli rewolucja francuska i rosyjska były oświeceniowymi utopiami kosztującymi wiele ofiar, to koniec tych utopii pozostawia jedynie pustkę ekonomicznej globalizacji. Czego chcą tej globalizacji przeciwnicy, nie da się odgadnąć, ale niepokój rządów i państw, przeciwko którym staje coś ciemnego, chaotycznego, jest usprawiedliwiony”.

Równocześnie trzeźwo zauważał, że:

„Nie ma się co łudzić, Unia Europejska jest tworem oświeceniowym i jej konflikt z chrześcijaństwem może być jedynie przesłonięty, ale istnieje. Czyżby więc, idąc za myślą Taylora, należało przyznać rację zachodnioeuropejskim humanistom i wstydzic się chrześcijańskiego dziedzictwa? Przypomnijmy, że ich patronem jest Edward Gibbon – dla niego chrześcijaństwo było chorobą, która

w niewytłumaczalny sposób dotknęła imperium rzymskie i przyczyniła się do jego upadku. Czy jednak można wyobrazić sobie europejską literaturę i sztukę bez duchowych podstaw chrześcijańskich? Co z Dantem, co z muzyką Bacha i dziejami malarstwa? I czy dzieła św. Augustyna albo św. Tomasza z Akwinu nie należą razem z architekturą gotycką do samej istoty cywilizacji europejskiej? A humaniści nie są dzisiaj w równie dobrej sytuacji jak w wieku XVIII? Zapewne mogą powołać się na osiągnięcia nauki, ale też muszą wziąć na swój rachunek cierpienia człowieka, który utracił ład wewnętrzny. Cały XX wiek świadczy o załamaniu się optymistycznego przekonania o szczęściu, które przynosi cywilizacja techniczna, przez samo swoje istnienie. Olbrzymi duchowy kryzys naszych czasów najwyraźniej temu szczęściu zaprzecza i wystarczy zastanowić się chociażby nad ruchem New Age, żeby się o tym przekonać. Jeżeli rewolucja francuska i rosyjska były oświeceniowymi utopiami kosztującymi wiele ofiar, to koniec tych utopii pozostawia jedynie pustkę ekonomicznej globalizacji”.

\*

Szczególnie niepokoił go zrost religii z nacjonalizmem. W artykule adresowanym do anglojęzycznych czytelników już w 1992 roku zwracał uwagę na nasilanie się mesjanistycznych tendencji w ideologii rosyjskiej, dodając:

„Podobny mesjanizm – choć oparty na sprzeciwie wobec rosyjskiego – cechuje Polskę, kraj zwany niegdyś »Chrystusem narodów«. Pewne czynniki sprzyjają dziś odrodzeniu takich marzeń. Myślę tu przede wszystkim o atomizacji społeczeństw pod wpływem technologii, a także, jak w krajach, które przeszły przez system komunistyczny, o czymś, co można nazwać obumieraniem społeczeństwa w coraz bardziej wszechobecnym państwie. Zaczęło się poszukiwanie jakichś zrębów zwartości, ostatnich więzi zapobiegających całkowitemu rozpadowi wspólnoty”.

Trudno nie uznać tych słów obecnie za niemal prorocze!

Dalej wywodził:

„Problem religii w naszej części Europy łączy się blisko z problemem nacjonalizmu i często trudno nawet oddzielić religię od silnych uczuć narodowych. Zagadnienie to jest bardzo złożone i z czysto religijnego punktu widzenia nie daje się w pełni wyjaśnić. To prawda, że Kościoły chrześcijańskie troszczą się przede wszystkim o zbawienie jednostkowej człowieczej duszy i to mając na względzie ustalają pewną hierarchię zobowiązań. Jednostka żyje w rodzinie, a rodzina należy do pewnej społeczności, która poprzez fakt posiadania określonego języka jest społecznością narodową. Wiąż narodowa nierzadko chroni pewne wartości, które

inaczej nie oparłyby się wpływom państwa. W takich razach Kościół musi objawić się jako sojusznik ludu, który broni swojej narodowości przed ciemniznami [...]. W dziewiętnastowiecznej Polsce zaczęto praktycznie utożsamiać katolicyzm z polskością, ponieważ kraj znajdował się pod zaborem prawosławnej Rosji i protestanckich Prus. Być Polakiem i być katolikiem zaczęło znaczyć to samo [...]. Ten swoisty mariaż narodu z Kościołem doprowadził w okresie międzywojennym do dramatycznej sytuacji, gdyż Kościół uważał się za siłę polityczną. Rzucił na szalę swoje wpływy, wspierając prawicową partię Narodowej Demokracji i działając często przeciwko socjalistom i licznym mniejszościom narodowym. Pozycja duchowieństwa zmieniła się oczywiście w ciągu kilkudziesięciu powojennych lat, ale aspiracje narodowe wciąż znajdują schronienie w katolicyzmie. Owa komitywa religii i uczuć narodowych musi niepokoić część katolików, gdyż kryje w sobie wiele niebezpieczeństw – czego wymownym dowodem zbrodnie ludobójstwa popełnione podczas wojny w byłej Jugosławii”.

„Ale – dodawał – nie trzeba odwoływać się do aż tak rażących wypaczeń chrześcijaństwa. Nawet w swojej chrześcijańskiej, ludzkiej formie nacjonalizm zorientowany religijnie grozi zatarciem wyraźnej granicy pomiędzy tym, co boskie, a tym, co cesarskie. Przy czym cesarz nie musi koniecznie oznaczać władzy państwowej; może to być ogół społeczeństwa i presja zbiorowości. Wydaje mi się, że w dzisiejszej Polsce z niebezpieczeństwa tego zdają sobie sprawę katolicycy intelektualiści i przynajmniej część duchowieństwa”.

Gdzie indziej zauważał:

„Jednej możliwości nie można z góry wykluczyć: oto nauka odejdzie od redukcjonizmu i surowego scjentyistycznego materializmu, a jednak stan spraw religijnych zupełnie nie pomoże religijnej wyobraźni. Nauka będzie badać świat, który na powrót stanie się cudowny, ale za pomocą języka, który okaże się niedostępny dla odbiorców i nieprzekładalny na wizualność, na wzór tej, jaką kiedyś nauka potrafiła przyciągać neofitów ku swemu mitowi”.

Przewidywał przy tym trafnie gruntowną przemianę wrażliwości religijnej w skali całego globu:

„W tej sytuacji kolejne wyznania religijne będą coraz bardziej horyzontalne, staną się jakby zakładnikami lokalności, otoczenia narodowego czy społecznego i sprzymierzą się z siłami politycznymi. Wydaje mi się, że amerykański fundamentalizm mógłby być tu przykładem, a obawiam się, że Kościół katolicki w Polsce, choć pod wieloma względami odmienny, również zawiera pewne elementy, które wróżą

mu podobną przyszłość. A może powinniśmy spoglądać ku Ameryce Południowej? Ku Irlandii? Ku losom szintoizmu jako narodowej religii w Japonii?”.

\*

Autor zapomnianej już, wydanej po raz pierwszy w 1959 roku antologii *Kultura masowa*, stale się przemianami tej kultury interesował. Dostrzegał także problem tożsamości narodowej zagrożonej przez jej przemożny nacisk. Pisał:

„Wkraczamy w XXI wiek zadając sobie pytanie, co przetrwa z tożsamości narodowej w każdym z naszych krajów. Niegdyś sowieckie imperium zapowiadało, że będzie tolerować wszędzie kulturę »narodową w formie, socjalistyczną w treści«. Czyżby teraz wypadło nam tworzyć kulturę »narodową w formie, kapitalistyczną w treści«? I co może znaczyć taka formuła?”.

Nie brak dzisiaj pesymistów, którzy twierdzą, że kultura masowa prowadzi do zaniku języków narodowych, skoro angielski, nowa *lingua franca*, przenika wszędzie jako język mass mediów.

„Kultura masowa jest zwycięstwem Ameryki, która ją wynalazła, przegraną Rosji, która starała się, w imię ideologicznych założeń, zbudować tamę przeciwko inwazji zachodnich filmów i zachodniej muzyki. Jednakże wpływ Ameryki nie ogranicza się do kultury masowej. W ciągu XX wieku nastąpiło stopniowe przesuwanie się za Atlantyk centrów tak zwanej kultury wysokiej i jestem tego świadomy jako tłumacz na polski amerykańskiej poezji. Niebezpiecznym uproszczeniem byłoby wydzielić osobny obszar dla dóbr kulturalnych na poziomie prostodusznych kowbojów i szczyć się swoim przywiązaniem do dzieł wyrafinowanych. Pomędzy kulturą wysoką i kulturą masową zachodzą liczne związki, jedna działa na drugą albo bezpośrednio, albo drogą osmozy. Wpływy amerykańskie są więc wszechstronne i nie na wiele przyda się nieprzyjmowanie ich do wiadomości”.

Jego zdaniem, odzyskanie przez Polskę niepodległości nie tylko nie zlikwidowało tego zagrożenia, lecz nadało mu nowy, niepokojący wymiar:

„Tożsamość narodowa – argumentował – wydaje się więc teraz wystawiona na trudną próbę, trudniejszą niż wtedy, kiedy nasze kraje opierały się planowemu ujednoliceniu narzucanemu przez Moskwę. Jest to poważne wyzwanie, z którym musi uporać się inteligencja polska, czeska, litewska, ukraińska czy węgierska. Pewną pomocą może być analogia z samym początkiem XIX wieku, kiedy masy ludowe były uśpione i znały jedynie kulturę przekazywaną ustnie, a nieliczne grona wykształconych, czytających książki francuskie, starały się zasymilować obce wzory, czyli dostosować je w swoim rodzimym języku do miejscowych warunków. I jednak musimy uznać, że prorokiem naszych czasów stał się taki asymilator, Dostojewski, i że takiej asymilacji zawdzięczają swoją wielkość dwaj poeci krajów słowiańskich, Mickiewicz i Puszkina”.

Spotykając nowe wyzwanie, Ameryki i języka angielskiego, trzeba wierzyć, że podobnie twórcze przekształcenie form i tematów jest możliwe.

\*

Szczególnie ważne przesłanie zawarł w odczycie wygłoszonym w Osace we wrześniu 1983 roku. Mając przed sobą słuchaczy z całkowicie odmiennego kręgu kulturowego, przedstawicieli wysoko technologicznie rozwiniętego państwa, przyznawał, że wskutek „przyśpieszenia historii” cywilizacyjne zmiany w dwudziestym wieku „pod względem tempa nie miały sobie równych w żadnym poprzednim stuleciu”. Ale zarazem zadawał ważne pytanie: „Co jednak stoi za zwycięstwem technologii na skalę planetarną, jeśli nie zwycięstwo niewielkiego obszaru nad potężnymi kontynentami?”. Skutki tej dominacji, jego zdaniem, mogą być wielorakie i nieraz trudne do objęcia, zrozumienia i przewidzenia. Istotne jest zwłaszcza to, że

„Nauka nie zajmuje się wartościami ludzkimi. Świadomość, że nauka zagraża tym wartościom, ufundowanym w istocie na przeciągu wielu wieków przez religię, stanowi sam rdzeń europejskiego kryzysu intelektualnego w XIX stulecia, którego najlepszymi przykładami jest twórczość Dostojewskiego i Nietzschego. Kryzys ten miał zostać zuniwersalizowany i pod tym względem ludzkość w wieku XX odgrywała dramat, którego scenariusz został przygotowany dla pewnego ograniczonego obszaru geograficznego. Nietzsche przewidywał wszak »nihilizm europejski«, a nie »nihilizm światowy«. Ruchy rewolucyjne naszego stulecia wychodzą z założeń wypracowanych podczas wspomnianego kryzysu w Europie”.

Co więcej, „Doświadczenia historyczne dwudziestego wieku sprawiły, że upowszechniło się przeświadczenie, dawniej nieobecne, że cywilizacje są śmiertelne, »że sama Ziemia jest śmiertelna«. A zatem „Obce cywilizacje galaktyczne stworzone przez *science fiction*, które pojawiały się, wzrastały, rozpadały i ginęły w kataklizmach, są dowodem świadomości nieznannej naszym przodkom”.

Dotkliwość historii jako potęgi miazdzącej, przychodzącej z zewnątrz, jest szczególnie bliska mieszkańcowi Europy Środkowej. „W tym świetle Kafka wyraża istotę XX wieku. Patrzy on na bezradną jednostkę, stojącą wobec siły, która jest nadludzka o tyle, o ile nie została stworzona przez Boga, lecz przez człowieka, a jednak siła ta jest nadludzka, ponieważ nie da się wskazać nikogo, kto mógłby wziąć odpowiedzialność za jej wyroki”. Dodając: „Gdyby mnie zapytano, co jest najtrudniejszym problemem dla poety XX wieku, odpowiedziałbym: dowiedzieć się czy i jak można pokonać uczucie bezradności wobec samozwańczych wysłanników Historii”.

Dowodził dalej, że:

„W tym wieku kolonializm przypuszczalnie dobiega kresu. A jednak praktyki stosowane w koloniach przez panów, którzy nigdy nie posłużyliby się nimi u siebie, zostały przeniesione z wielkim zapalem do niektórych wysoko rozwiniętych krajów. Z tego powodu opowieść Josepha Conrada o białym człowieku w Afryce, *Jądro ciemności*, opublikowana w 1902 roku, nabiera znaczenia profetycznego. Podział społeczeństwa na rasę panów i na tubylców, którzy jako podludzie, zwierzyzna łowna, są poza prawem, położył fundamenty programowego ludobójstwa w Europie. Pomysł wydzielenia na kontynencie afrykańskim stref wpływu dla potęg kolonialnych niewątpliwie przyczynił się do zastosowania tej samej metody na kontynencie europejskim, wobec czego miliony tubylców stały się przedmiotem handlu politycznego. Pierwszy przypadek takiego handlu miał miejsce w ramach paktu podpisanego w 1939 roku przez dwu dyktatorów, Hitlera i Stalina, i ustanowił wzorzec, który należało obalić w wyniku drugiej wojny światowej, ponieważ wojnę tę wypowiedziano w imię wzniosłych zasad. Stało się inaczej, a Europejczycy, których zwycięzcy sojusznicy nie zapytali o zdanie, odkryli, że o ich losie zdecydowano ponad ich głowami. Podział na panów i tubylców, jak również strefy wpływów, tak typowe dla okresu kolonialnego, zostały odtworzone”.

Okazały się złudzeniem i spełzły na niczym próby zapobieżenia tym zjawiskom w skali międzynarodowej, nie spełniły pokładanych w nich nadziei ani Liga Narodów, ani Organizacja Narodów Zjednoczonych. Tym samym:

„Rozdźwięk między głoszonymi celami tych organizacji i ich szlachetnym charakterem z jednej strony, a działaniami ich członków z drugiej, może stać się nieustającym źródłem zdumienia, i trudno jest wyjaśnić, dlaczego wszyscy tak łatwo nauczyli się uznawać klęski tych organizacji za oczywistość. Dzieje się tak przypuszczalnie dlatego, że są to organizacje nie narodów, lecz rządów, a nasz wiek był świadkiem utraty wiary w rządy. Nie zanoszą się tymczasem na powstanie planetarnego parlamentu, w którym wybrani w wolnych wyborach deputowani z różnych narodów rozmyślaliby, jak żyć w pokoju”.

Przypominał, że „Wiek XX dokonał pewnych szczególnych odkryć, takich jak wojna wypowiedziana nie tylko armii innego kraju, ale także jego ludności cywilnej; rewolucja organizowana przez zawodowców, której rezultatem jest wszechwładne scentralizowane państwo; obóz koncentracyjny jako środek niszczenia milionów istot ludzkich, które nazwano wrogą rasą lub klasą”. Ale dwudziesty wiek to nade wszystko „stulecie nacjonalizmów”. Świadom, że samo to pojęcie może być wielorako rozumiane, dokonał szeregu wartych zapamiętania rozróżnień:

„Nacjonalizm bowiem wyrasta zarówno z pragnienia jednego narodu, by dominować nad innymi, jak i ze słusznego pragnienia podbitego ludu, by wyzwolić się spod obcej dominacji. Mamy więc nacjonalizm ciemieżców i nacjonalizm ciemieżonych. Również ten drugi wykazuje znaczną złożoność. Karmiony resentymentem i poczuciem niższości, wzywa on do zadośćuczynienia i często prowadzi do wypaczonego obrazu rzeczywistości. Z drugiej strony poczucie tożsamości narodowej wzmaga przywiązanie do tradycyjnych wartości i do historii własnego kraju, pomagając w ten sposób zachować łączność między pokoleniami i zrównoważyć ogólną tendencję czasów współczesnych do zamieniania istot ludzkich w jednostki statystyczne”.

\*

Jaka przyszłość czeka naszą planetę? Zachowywał daleko idącą ostrożność. Pisał:

„Zarysy wieku XXI są dla nas zagadkowe i tak być musi. Wszelkie przewidywania będą ekstrapolacją, to znaczy będą zakładać, że obserwowane trendy są trwałe, ignorując możliwość nagłych zwrotów. To mogłem sprawdzić w doświadczeniu. Jednak wróżenie z kryształowej kuli niesie jeszcze inne niebezpieczeństwo, a mianowicie takie, że przepowiednie mogą spełniać się same. Przewidując trzęsienie ziemi nie wpływamy na zachowanie planety, sprawy ludzkie tymczasem są wrażliwe na nasze wizje przyszłości, ponieważ historia w procesie powstawania składa się z niepoliczonych drobnych ludzkich działań”.

Pouczone mogą być, według niego, losy książki Raymonda Arona *Koniec wieku ideologii*. „Ukazała się mniej więcej trzy dekady temu” i zapewne „nie wszystkie jej założenia znajdowały wówczas potwierdzenie”. „A jednak – całkiem zasadnie ostrzegał – jesteśmy w istocie świadkami stopniowej erozji doktryn politycznych, które w danym momencie wyglądały jak nowe technologie, teraz natomiast przypominają puste skorupy. Ekstrapolując możemy oczekiwać, że ten proces doprowadzi do niczym nieprzesłoniętej nagiej siły politycznej i militarnej, która ukaże się bez ponętnych zasłon takiej czy innej doktryny”.

Co jest ukrytym powodem tego groźnego w społecznych skutkach procesu? Jego zdaniem:

„Erozja ideologii pojawia się, jak się wydaje, wraz ze swojego rodzaju chorobą, dotykającą metafizycznego rdzenia religii instytucjonalnych pod wpływem nauki i technologii. Można to zaobserwować zwłaszcza na przykładzie chrześcijaństwa. Powstała w ten sposób próżnia duchowa budzi poczucie głębokiego nieszczęścia, ludzie będą więc starali się ją zapełnić. Czym – możemy tylko snuć domysły.

Być może poszukiwaniami spoza ortodoksji religijnej, sztuką, także emocjonalnym podejściem do przeszłości swoich miast i krajów, wzmożoną lojalnością patriotyczną. Różne formy nacjonalizmu mają, jak się wydaje, przyszłość jako odpowiedzi na abstrakcyjny charakter wielkich wielonarodowościowych imperiów”.

Istotne i trudne do przewidzenia stają się także następstwa postępu technologicznego:

„Postęp w unifikacji planety jest przypuszczalnie nieunikniony, podobnie jak wzajemne zapładnianie się Zachodu i Wschodu. Nie mogę powiedzieć niczego o problemach Północ-Południe. Co do przewidywań dotyczących prób politycznej unifikacji ziemi, należą one do kategorii niebezpiecznych. Niestety najbardziej logiczny, ale jednocześnie najgroźniejszy byłby plan stworzenia jedyne planetarne państwa, a ponieważ mogłoby to nastąpić wyłącznie w drodze podboju, niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie, by się nad tym nie zastanawiać”.

\*

Już w 1995 roku, w eseju pod znamienym tytułem *Nowoczesność zwana też modernizmem*, sformułował kilka zasadniczych pytań, które brzmią dziś jak groźne *memento*:

„W jakim więc punkcie teraz jesteśmy, co się teraz odbywa pod powierzchnią politycznych wydarzeń? Ledwo to odgadujemy, a niektórzy (Amerykanin Fukuyama) dość ryzykownie mianują to końcem historii. Mnożą się niewiadome i jakoś straszno, bo jeżeli musimy się wyrzec oświeceniowego dziedzictwa, pozostaniemy bezbronni wobec Bogini Nocy i jej obskuranckich kohort. Czyżby naprawdę załamała się, zapożyczona z Biblii i zeświecczona, idea Historii jako ruchu od-do? Czyżby na jej miejsce przychodził obraz ludzkich społeczeństw jako zasadniczo nieruchomych, najwyżej poddanych kalejdoskopowym zmianom, w których nie dopatrzeć się żadnej linii przewodniej. A może, co bardziej prawdopodobne, zostaliśmy porażeni końcem widowiska, które zamiast buchnąć i zgasnąć wśród błyskawic i gromów, rozpełzło się w szarość, w błotniste nic? I tak skutecznie nas to poraziło, że długo nie będziemy zdolni ryzykować jakichkolwiek sądów o tym, do czego zmierzamy”.



## ANDRZEJ ZAWADA

### Niepamięć, niestety

Stałym tematem i wciąż bolesnym był dla Czesława Miłosza nacjonalizm. Nic dziwnego, doświadczał go nieustannie, przed wojną, w czasie wojny, po wojnie, wszędzie gdzie mieszkał i w każdym ustroju.

...„w Polsce [...] główną ideologią była (i bodaj jest) tak zwana ideologia narodowa i ten czy ów patriota nie zdawał sobie sprawy, że był *anima naturaliter endeciana*. Termin ten powstał w moim Wilnie uniwersyteckim [...]. Ojcowie Kościoła nazywali Platona *anima naturaliter christiana*, co [Henryk] Dembiński przerobił określając duszę polską jako endecką z natury” (*Rok myśliwego*).

Miłosz zapisał te zdania w 1987 roku, pod koniec słabnącej władzy komunistów, więc czas przeszedł, choć ze znakiem zapytania, oznaczał nadzieję na lepszą przyszłość ustrojową, w roku publikacji książki już spełnioną. Zatem trudno było wyobrazić sobie, również w roku 2004, kiedy szczęśliwi łączyliśmy się z upragnionym Zachodem i śpiewaliśmy *Odę do radości*, że po dekadzie niektórzy nasi rodacy znów wepchną nas – jak obrazowo powiedział w listopadzie 2020 Piotr Kraśko – „do furmanki jadącej na Białoruś”.

*Rok myśliwego* czytam ponownie na przemian z innymi lekturami, nowymi i starymi, jest wciąż ciekawy, przepełniony ważnymi tematami. Znajduję miejsca, które zostały mi w pamięci oraz kwestie, dla których użyłem ołówka. Chwilami mam wrażenie, że myśl pisarza zagłębia się w rozważania o procesach zbiorowej świadomości, o których współczesność już prawie zapomniała. Co nie oznacza, że nie oddziałują nadal na nasze postępowanie.

Analizy doświadczeń dwudziestowiecznych totalitaryzmów pewnie byłyby dziś pouczające i pożyteczne, ale znikają w zbiorowej niepamięci i żeby wyciągnąć z nich naukę, trzeba byłoby interesować się przeszłością. Jednak nie obserwujemy tej potrzeby. Bowiem, jak niejednokrotnie Miłosz stwierdzał, „odmowa pamiętania [...] jest naczelną cechą naszego wieku”.

Nie chcąc pamiętać, nieustannie zrywając ciągłość i negując wysiłki poprzednich generacji, nie będziemy uczyć się na błędach, więc pozostaje degradujący los nieuków. Żeby go nam oszczędzić, Miłosz w całej swej twórczości, w wierszach, esejach, wywiadach, wykładach, na licznych spotkaniach autorskich i konferencjach objaśniał i analizował specyfikę polskości. Próbował opisać ją całościowo w *Rodzinnej Europie*, na własnym przykładzie:

„W pewnym sensie mogę siebie uważać za wschodniego Europejczyka. Jak się zdaje, jest prawdą, że jego *differentia specifica* dałaby się sprowadzić do braku formy zewnętrznej i wewnętrznej. [...] Ale formę zdobywa się w społeczeństwach ustabilizowanych. [...] Forma potrzebuje chyba pewnej ilości powszechnie przyjętych pewników, jakiegoś tła konformizmu, przeciwko któremu można się buntować, niemniej określa on ramy silniejsze niż świadomość”.

Przywołując powyższy fragment, z pewnością nadmiernie skrócony, chcę wspomnieć, że w tym wciąż aktualnym wywodzie Miłosz przeprowadza opis polskości, starając się wskazać jej dwa wymiary: odrębność pierwiastka polskiego w kulturze europejskiej i stopień elementu europejskiego z kulturą polską. *Rodzinna Europa* jest próbą opisu zrównoważonego, poszukującego porządku, podniesienia chaosu do konstrukcji, umieszczenia magmy w formie.

Tak było w latach pięćdziesiątych, w *Zniewolonym umyśle, Dolinie Issy* i właśnie w *Rodzinnej Europie*, kiedy pisarz podjął skuteczny, owocny wysiłek objaśniania procesów i czynników tworzących powojenną polską świadomość. Ten wysiłek przybrał postać realizmu osobistego, czyli tworzenia dążącej do obiektywizmu narracji, w której zamiast budować fikcyjną postać, autor wziął na warsztat własną biografię, poświadczając prawdę literackiego opisu prawdą swego doświadczenia. W książkach tych nie mieliśmy do czynienia z pamiętnikiem ani dziennikiem, to realistyczne studia z koniecznymi elementami fikcji i artystycznej kompozycji. Subiektywizm został tu zobowiązany do obiektywizmu.

W latach osiemdziesiątych i później Miłosz stopniowo odchodził od zamkniętych form narracyjnych, nie przestając traktować swojej osoby jako przypadku reprezentatywnego dla epoki. „Przyjemność – wyznał w *Roku myśliwego* – jaką mam z tego pamiętnika: z dawną moją skłonnością do wyciskania ekstraktu (wielkie wydarzenia, prądy, idee) tym razem poddaję się tkaninie, która sama splata się z poszczególnych ludzi, dawnych i nowych wydarzeń, może przez to bliższa akcydensom (okrucinom) poezji”.

Cytowany dziennik czytałem wcześniej co najmniej dwa razy, a że nie sposób pamiętać lektury szczegółowo, znów trafiam na akapity i wywody uderzające siłą precyzji i głębi. Może bardziej niż kiedyś poszukuję literatury poważnej. To nie znaczy nudnej, realistycznej, dosłownej – raczej przenikliwej, opisującej i diagnostycznej. Jak najbardziej z wyobraźnią i poczuciem humoru, nawet nadrealistycznym. Jednak szukam książek, które zarazem rozumieją, nazywają i z którymi mogę rozmawiać. *Rok myśliwego*, jak zresztą całe dzieło Miłosza, zaspokaja tę potrzebę.

Wciąż wraca temat polskiej wewnętrznej niespójności lub co najmniej społeczno-psychologicznej pograniczności. W pewnym miejscu Miłosz wyznaje otwarcie:

„Polska mnie przeraża. Powiedzmy, że przerażała mnie przed wojną, podczas wojny i przeraża całe te dziesięciolecia po wojnie. Jak powinien zachować się schwytyany przez nią człowiek (urodzenie się tam czy język) jeżeli chce być rozumny, trzeźwy, spokojny, a przy tym uczciwy? Jeżeli uważa te bezustanne ofiary, konspiracje, powstania za zupełny nonsens, po prostu dlatego, że w »normalnych« krajach tego nie ma?»

Trudno uznać te pytania za nieaktualne.

\*

W nieco bardziej zróżnicowanej postaci jest to też pytanie o odrębność Polski jako części Europy Wschodniej lub – jak wolelibyśmy i jak chciał Miłosz – Europy Środkowej. W maju 1988 roku poeta odnotowuje wyjątkowe na owe czasy spotkanie poetów środkowoeuropejskich z rosyjskimi zorganizowane w Portugalii przez The Wheatland Foundation Getty. W obu grupach uczestniczyli autorzy zarówno krajowi, jak i emigracyjni.

„Starcie dwóch stołów (*panels*) w Lizbonie, środkowoeuropejskiego i rosyjskiego, należy odnotowane w »The New York Times«, zasługuje na uwagę jako pierwsza tego rodzaju konfrontacja od końca II wojny światowej. Z pojęciem Europy Środkowej goście z Moskwy zetknęli się po raz pierwszy, co tłumaczy ich gniew i bezradność. [...] Takie samo było stanowisko emigranta Josifa Brodskiego, nie nowe zresztą, bo znane od czasu jego polemiki z Milanem Kunderą”.

Stanowisko Brodskiego Miłosz dookreślił między innymi w dyskusji zorganizowanej i opublikowanej przez „Partisan Review” w 1992 roku. W obecności rosyjskiego poety powiedział:

„Jestem wielkim zwolennikiem Europy Środkowej. Mój przyjaciel Josif Brodski nie zgadza się ze mną w tej kwestii. To co nazywam Europą Środkową, on nazwałby Azją Zachodnią – to jego punkt widzenia”.

Na co Brodski odpowiedział pośrednio, analizując procesy zachodzące w Rosji, że „geografia Europy nie pozostawia historii wielu możliwości”.

Owa „geografia” to usytuowanie Polski „na skrzyżowaniu Azji i Europy”, jak to wieloznacznie ujął Tomasz Jastrun w tytule swego zbioru wierszy z 1982 roku. Wcześniej i przez wiele lat zagadnienie mentalnego pogranicza czy wręcz kulturowego rozdwojenia nie dawało spokoju Jarosławowi Iwaszkiewiczowi, czemu niejednokrotnie dawał wyraz w opowiadaniach, esejach, wierszach, a pod koniec życia w poemacie *Azjaci*. Z kolei Stefan Chwin ostrzegał niedawno przed *Potopem* Sienkiewicza jako ciasteczką zatrutym słodyczą polocentryzmu nasyconego fałszywą mitologią narodową.

Miłosz, entuzjasta Polski europejskiej, zawsze widział ostro, więc u progu odnowionej niepodległości krajów środkowoeuropejskich, w 1992 roku, niepokoił się ich losem, dostrzegając „populistyczne tendencje skierowane [...] przeciwko inteligencji”.

„Koncepcja Europy Środkowej była w pewnym sensie eksperymentem, zakładającym harmonijne współistnienie tych państw, a przynajmniej Polski, Czechosłowacji i Węgier. Dziś jednak zagubiliśmy się pośród partykularnych problemów i dotarliśmy do punktu, w którym nikt już nie wie, w jakim kierunku pójdziemy”.

Obserwując codziennie politykę, media i zachowania społeczne, trudno nie przyznać racji obu Noblistom, Miłoszowi i Brodskiemu, refleksyjnie podziwiając ich precyzyjną umiejętność przewidywania.

\*

Wracam do lektury *Roku myśliwego*, bowiem główne wątki, które stale zajmują pisarza, stanowiąc przez całe jego życie przedmiot uwagi i troski, są nadal żywotnymi kwestiami naszej rzeczywistości. Z racji okazjonalnego charakteru wypowiedzi, a po części też ze skłonności do praktykowanego impresjonizmu, większość owych kwestii pominię, choćby wciąż trudny i złożony temat naszego narodowego katolicyzmu, bowiem należałoby pisać obszerne glosy do wielu stronicy książki. Lecz skoro *Rok myśliwego* jest notesem poety, pozwolę sobie jeszcze na małą wzmiankę o poezji.

Niejednokrotnie słyszałem opinię, że ktoś nie czyta wierszy Miłosza, ponieważ są „trudne”. Próbuując nazwać swój czytelniczy kłopot, moi rozmówcy stwierdzali, że zniechęca ich swoista nadmiarowość, natłok obrazów i możliwych znaczeń. Ktoś stwierdził półzartem, że w tych wierszach „jest za dużo słów”.

Istotnie, styl Miłosza i jego optyka artystyczna rozmijają się z, nazwijmy to w ten sposób, powszechną praktyką poetycką. Zauważył to swego czasu Jerzy Pilch, który poetę czytał stale, cenił i u którego bywał w krakowskim mieszkaniu przy Bogusławskiego. W jednym z wywiadów stwierdził:

„To jest fraza czy wręcz model poezji kompletnie obcy dzisiejszym młodym i średnio młodym poetom. Miłosz nie jest dla nich źródłem inspiracji. Miłosz jest *démodé*”. (*Ważniejsze to, co napisałem...*)

W wierszach, esejach i wypowiedziach Miłosz nieustająco bronił prawa poety do wolności artystycznej. Nie różnił się w tym od kolejnych przychodzących po nim generacji. Rozmyślał o niezbędności tej swobody i o jej wciąż powracających ograniczeniach. Pisał w 1988 roku:

„*Inter arma silent Musae*. Jest w tym dużo prawdy, czyli że Muzy mają swoje rewiry: ogrody, następstwo pór roku, zakochane pary, muzyczne instrumenty. I pewnie samą dziwność istnienia. A poezja dzisiejsza [...] jest szukaniem, jak

zachować się ma człowiek w sytuacji niemożliwej, postawiony wobec kosmosu, którego nie rozumie ni w ząb, czyli im więcej rozumie, tym mniej rozumie”.

Niektórzy polscy autorzy wierszy wyśmialiby zarówno poetę, jak i tego, kto go cytuje, gdyby przeczytali o ogrodach i o zakochanych. Jednak dla dobra swego zdrowia i samopoczucia nie czytają Miłosza. Co do dziwności istnienia, to można być pewnym, że ją odczuwają. Wyszydzanie świata, pokrzykiwanie na brzydką rzeczywistość oraz moda na kontestacyjny kostium językowy mogą być podświadomym i artystycznie niezupełnie kontrolowanym wyrazem uniwersalnego bólu istnienia.

Miłosz ma dla nich radę, która jest prawdą nie do omińnięcia, za cenę niepowodzenia, może nie tylko artystycznego. Radę Kochanowskiego, Mickiewicza, Tuwima, Szymborskiej, Różewicza, Herberta, Zagajewskiego i wszystkich, którzy znają proporcję.

„Jeżeli ktoś poważnie odnosi się do swego powołania, powinien wiedzieć, że obowiązuje go ścisła zasada hierarchii, która polega na odrzuceniu wszystkiego, co jest poniżej najwyższych wymagań, to znaczy tego, co dla naszej intuicji ma cechy wartości pozornych, tandetnych”.

Autor *Nieobjętej ziemi* buntował się i bronił przed przyjmowaniem obowiązków publicznych, jednocześnie w swym długim życiu godził się na nie, niezmiennie przekonany, że jako kustosz języka wspólnoty, do której należy, ma „prywatne obowiązki”. Z właściwą sobie autoironią określił to fatum jako „szlachetność, niestety”.

Moja wierna mowo,  
może to jednak ja muszę cię ratować.  
Więc będę dalej stawiać przed tobą miseczki z kolorami  
jasnymi i czystymi jeżeli to możliwe,  
bo w nieszczęściu potrzebny jakiś ład czy piękno.

Szlachetność, niestety? Może lepsza od utraty mowy i zbiorowej pamięci...

Nakład 1000 numerowanych egzemplarzy

0001

# Świat

poema naiwne

napisał B. S. Kierka

cuw młn

Warszawa 1943.

## KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

### *Świat, Ziemia, teologia*

*Świat (poema naiwne)* Czesława Miłosza po raz pierwszy czytałem, będąc uczniem piątej klasy szkoły podstawowej w Toruniu, w znalezionym w domowej bibliotece *Ocaleniu* sygnowanym pieczętkami ojca. Nie wiedziałem, jak ważny jest to tom tak dla autora, jak i poezji polskiej, gdy po dziesięciu latach bycia w awangardzie, osiągnął duchową i myślową równowagę, znalazł drogę i wskazał kierunek. Widzimy obecny w życiu rodziny porządek Natury i Boga i działające przeciw niemu chaos, rozpad i trwogę, które w groźnych błyskach dają znać o swojej obecności. Jesteśmy w szczęśliwej krainie dzieciństwa, ale Piekło jest blisko, tuż obok.

Po stronie jasnego świata jest pochwała istnienia i spełnienie, z zaznaczeniem, że jest rzeczywistość zewnętrzna (historia) i wewnętrzna, tu przedstawiona w związku z pismami świętego Tomasza. Bez metafizyki i *sacrum* zanika harmonia między porządkiem ducha i natury, a także historii, bez czego nie ma Europy, gdyż nie pogański materializm, ale chrześcijaństwo jest jej kamieniem węgielnym i główną podstawą. Dominują wyobrażenia chrześcijańskie, chociaż z różnymi domieszkami i ingrediencjami, także z obrzeża herezji.

Jakie znaczenie ma umieszczenie *Świata* między *Campo di Fiori* i *Głosami biednych ludzi*? Kim są Giordano Bruno, Goethe, Abelard i co znaczą takie zwroty i frazy jak: „rzeka zmiennych światła i nietrwałych cieni”, „wysokie kopce termitów”, „nadzieja cyniczna”, „ogień, piołun i kurz”, „strażnik-kret / Z małą czerwoną latarką przypiętą na czole”, czy „jałowe pole”? Te wiersze wprawiły w zachwyt, uruchomiły wyobraźnię i budziły niepokój?

Pochłaniałem pełne światła i kolorów zwrotki przypominające rysunki ze szkolnego bloku, wypowiedziane w znanym „wileńskim” języku, domowe i bliskie. Dlaczego: *Poema naiwne*? – nie byłem świadomy tej archaizacji. Wiersze dla dzieci i jednocześnie coś o tyle więcej, może, nad czym zastanawiałem się wiele lat później, traktat metafizyczny lub dydaktyczno-filozoficzna powiastka. Obrazy i obrazki umieszczone w zwykłej i zarazem niezwykłej przestrzeni, w podwójności spraw prostych i skomplikowanych, w zagadkowym przenikaniu, łączeniu się i związku. Powrót do kraju dzieciństwa i pochwała punktu widzenia dziecka. Może zapis wtajemniczenia? Czuję, że wiele dzieje się za tymi słowami, coś wzniosłego

i ważnego, złączonego z tym, co powszednie i zwyczajne, ale nie potrafiłem tego nazwać w jego głębi i doniosłości. Było to jak wprowadzenie w rzeczywistość, jaka powinna być: naturalną i fantastyczną, otwartą i tajemniczą, przyjazną i niepokojącą, dostępną i zamkniętą na dwa spusty.

W szerokiej dolinie, w drodze ze szkoły do domu, pod chmurami, wśród łąk i drzew, przed furtką z gładką klamką, na ganku z widokiem na las, wodę, pola i aleje. Wszystko było swojskie, przysposobione, związane ze sobą, pełne piękna, spokoju i olśniewających zaskoczeń.

Dwa zegary, chodzący i stojący, płynący i jakby zatrzymany czas, rytm posiłków, ojciec pracujący w polu, matka krzątająca się po kuchni i wnosząca światło, schody, płomień lampy, sofa, obrazy, książki i ojciec-czarodziej wprowadzający w ich krąg.

Na dworze barwne klomby, maki, piwonie i żyjące w nich żuczki, ziarna, zapachy, cętki światła, a za lasami i za górami Europa, kolorowe i sławne miasta, połyskujące wieże, strumienie, gaje, rzeki, mosty, zamki, kościoły, zatoki, równiny, planety i gwiazdy.

I umieszczone w środku jak szczyt lub punkt kulminacyjny trzy cnoty teologiczne. Wiara, która jest widzeniem rzeczywistości, co jest konieczne, uwagą na szczegóły i rządzące nimi prawa, doświadczaniem ran i obserwowaniem światła, które daje moc i wędrujących wokół cieni. Nadzieja to brama do ogrodu, do którego wejść nie można, ale który na pewno istnieje, świadomość, że ziemia jest stworzeniem i mówiące prawdę zmysły, których trzeba używać dobrze i mądrze, wiedząc, że ogarnia się nimi i poznaje tylko część. I miłość, która jest, jak mówi święty Paweł, najważniejsza, tak prosto i pięknie opisana, że nauczyłem się tego wiersza na pamięć i umiem go do dziś. Widzieć siebie jako rzecz najbliższą i obcą, obecną wśród wielu innych, we wspólnocie przyjaciół i wtedy jest spełnienie (motyw franciszkański), ten poryw z ostatniej zwrotki: użyć – służyć, „łuna” i „służenie”, jak w natchnieniu i wzlocie, nie tylko w „rozumieniu”, bo: „Nie ten najlepiej służy, kto rozumie”. Medytacja, modlitwa i wyznanie, zaskoczenie, wyrzucenie z siodła i osadzenie w sednie. Miłość to nie ja, ale On i ja, w bliskości, przenikaniu i jedności, tak w mówieniu, jak i w działaniu.

Jest rok 1943, nie można wrócić do Wilna i Litwy, Warszawa w gruzach, nie ma wolnej Polski, jest wszechobecne zło, zniszczenie i śmierć. I w tych realiach mówi



o wierze, nadziei i miłości, daje im wyraz, przypomina złudność i zwodniczość poznania, jakie niosą zmysły i świadomość, pokazuje, ile znaczy pokorne wycofanie się, abdykacja ja, w domyśle na rzecz Boga i służenie Jemu. Tak jak miłość w kręgu rodziny istnieje miłość Boga w okręgu świata: bezinteresowna, wielka, dana za nic, osłaniająca, ofiarująca wszystko i ta rodzinna jest kształtowana na jej podobieństwo.

Tamten świat dzieciństwa i ten wojenny, jedno i drugie jest prawdą. Jak mówi Samuel Beckett w rozmowie z Tomem F. Driverem: „Pływać jest prawdą i tonąć jest prawdą. Jedno nie jest prawdziwsze od drugiego”. Jest więc pochwała życia i świata i wskazanie zła i tragizmu, które obecne są od początku. Snują się cienie i diabeł, który jest Księciem, ale rzeczywistym Królem jest Bóg. Nihilizm i bezbożność to czarna matnia i dół, bez wyjścia. Jest ład istnienia i błogosławieństwo i jest przekleństwo odrzucenia. Z jednej strony – *sacrum, sanctum* i *numinosum* i z drugiej – demonizm i desakralizacja, i dialogiczność tych stref, ich wielogłosowość rozpięta między Fatum i Rozwiązaniem. To kwestia tożsamości, korzeni i źródeł.

Chłoniemy opisy i wydarzenia: zachód słońca, las, ścieżka, nadciągająca ciemność, smugi barw i różnokolorowe błyski, drzewa i ptaki: głuszcze i gołąb, zakorzenie i wzlot, mrok, czerń i ocalające światło, trwoga i strach, ciemne chaszcze, noc, zagrożenie, bezdomność, głód, śmiertelne niebezpieczeństwo, opuszczenie, lament, wołanie, prośba o ratunek i odnalezienie, zjawienie się ojca, świt, blask, szczęście bujnej zieleni i nieba, zarysy i kształty, powrót do harmonii i ładu ziemi, która jest jak poemat, widziana w mądrej i uważnej obserwacji, w pokorze i wierności. Jest obecność i światło, dzięki któremu wszystko wraca, ale nie można wpatrywać się w nie bezpośrednio, bo wtedy wiele się straci, oślepi i doświadczy łez. Jest jak demiurg-artysta, którego poznajemy przez to, co stwarza:

Niechaj przykłąknie, twarz ku trawie schyli  
I patrzy w promień od ziemi odbity.  
Tam znajdzie wszystko, cośmy porzucili:  
Gwiazdy i róże i zmierzchy i świty.

Jak bajka czy czytanka z elementarza i opis życia dziecka: bliższa i dalsza okolica, pole, rzeka, szkoła, śmiertelne niebezpieczeństwo, podwórko, dom, noce i dnie, ojciec, matka, brat, siostra, książki, obrazy i słowa. Mało szczegółów, ale tak wszystko przedstawione, że jasno istnieje w naszych głowach. Świat widziany przez dzieci taki, jaki był, choć już prawie nic po nim nie zostało. To co widzą i czują – świetlista

*summa* określona jednym słowem. Jak sen, marzenie i wspomnienie, tęsknota i punkt wyjścia.

Niedające spokoju słowa, trzymane w ryzach, bo jednak jest to stylizacja, aliteracje, powtórzenia, rymy, rytmy i gry słów, ale też pisane jakby wolną ręką, w powrocie do siebie i tamtego czasu, co tylko w nich rzeczywistych i wolnych jest możliwe. Doświadcza tego podmiot, ktoś dorosły i z nim my.

Mały świat w makówce i wielki, niezmierny jak kosmos. Literatura i rzeczywistość, Hektor, rydwan, kurz i latający nad nimi książkowy mól. Wojenny kurz, zgliszczka i ruiny Warszawy, które symbolizują zdradę, rozpacz, nienawiść, gorycz, zwątpienie i śmierć i w nich, czy obok nich wiekuiste światło poezji. Ziemia to ziarno, na którym stoi dom, umieszczone w makówce, która rośnie w ogrodzie.

A więc zwrot do Biblii, tak ustawiony jest ten wczesny drogowskaz. Po społeczno-politycznym *Poemacie o czasie zastygłym* (1933) i zaplątaniu w ideologię, powrót, wcale nie prosty i oczywisty, do początku i głównego nurtu. Zaczyna budować dzieło na wzór formy Biblii: wiele głosów mówiących pod natchnieniem Boga albo diabła, labirynt świata, jego trakt i czeluść. Widoczne to jest w języku, stylu, składni, obrazowaniu, frazeologii i leksyce, w repetycjach, powiązaniach, uzupełnieniach, odniesieniach i polifonii. Także w nim samym jest ten przebieg – dwugłos i dwubiegunowość, co sprawia, że mamy do czynienia ze sprzecznościami i paradoksami, pokusami, grzesznością i podszeptami złego, także z nutami herezji. Jego wielcy mistrzowie – Adam Mickiewicz i Oskar Władysław Miłosz to przecież bogate i zawile duchy, w efekcie mistycy. Religia, wiara, metafizyka, Tajemnica, eschatologia stanowią istności, które dla nich są rzeczywiste, widzialne i dotykalne, można powiedzieć, że domowe.

Zobaczmy, jak szybko gasną i znikają poeci i pisarze, którzy nie wchodzą głębiej i intensywniej w tę strefę; dobrze to widać w literaturze polskiej, choćby tej współczesnej i równie wyraźnie w powszechnej, na przykład XX wieku.

Ta problematyka obecna jest u Miłosza od debiutanckiego wiersza – *Kompozycji*, do, jakże wyraziście, utworów ostatnich. Przecież Szetejnie i Wilno to prawie czysta metafizyka, coś najbardziej realnego i jednocześnie duchowego. Wysnuwa z niej tak ważne tematy i problemy, jak: prawda i kłamstwo, charakter polskiego katolicyzmu, jego narodowo-polityczny wymiar i słabość, bo przecież na jakim poziomie jest nasza biblijstyka, teologia czy filozofia. Ale są kolędy i poezja, których

katolicyzm jest fundamentem i głównym nurtem. To po tej stronie znajdują się epifanie, widzenia i iluminacje opisane w tylu wierszach, poematach, traktatach i w prozie.

Coś i Nic, Nicość. Jak w krainie Becketta. Zestawmy *Czekając na Godota* i *To*; są w nich: bezdomność, samotność, wykluczenie, rozpacz i strach. A krytyka kościoła i religijności, u jednego i drugiego, tam, na zielonej wyspie i tu, nad Wisłą. Powojenny agnostycyzm, marksizm i materializm i wicie gniazda z biblijnych obrazów i fraz. Świat nie jest zdesakralizowany, zdesakralizowane są głowy, serca i duch dwudziestowiecznych artystów. Nieważne są dla nich następujące po sobie wojenne masakry, obie makabryczne, totalitarne reżimy i miliony ofiar? Takie było zapotrzebowanie, ale czy dziś nie jest podobne? Mimo, że największa poezja europejska jest metafizyczna, że nie ma wielkich powieści i dramatów bez odniesienia do *sacrum* od czasów starożytnych do T.S. Eliota, Becketta i Miłosza. U nas ten wymiar jest u najwybitniejszych: Conrada, Brzozowskiego, Leśmiana, Stanisława Ignacego Witkiewicza, także na przykład w eseistyce Błońskiego, czy w myśli filozoficznej Kołakowskiego.

Gdzie jesteśmy? Dokąd zaszliśmy? *Świat* ukazał się w Warszawie w kwietniu 1943 roku w jednym egzemplarzu wykonanym przez autora, napisany granatowym atramentem, prawie kaligraficznym pismem i sygnowany: B. B. Kózka. Bibliofilskie wydanie oryginału opublikowało w 1999 roku w nakładzie tysiąca numerowanych egzemplarzy Wydawnictwo Literackie. Czy dziś ktoś napisze coś podobnego?

\*

*Ziemię Ulro* dał mi do czytania Jerzy Andrzejewski w końcówce lat siedemdziesiątych i było to jak blask gromu. „Coś pośredniego między esejem, wyznaniem i wykładem”, rzecz o „wyobraźni religijnej”, a więc tak na tamte, jak i obecne czasy, niesłychana. Ulro, słowo wzięte z Blake’a, to kraina duchowych cierpień, jakie znosi człowiek okaleczony, przestrzeń wyobraźni wydziedziczona przez naukę, w której znajdują się źródła największych plag XX wieku – komunizmu i narodowego socjalizmu, esencji diabelstwa.

Kim byłeś? Kim jesteś? – te pytania pojawiają się od razu na początku. Odpowiedź na nie niemożliwa jest bez opowiedzenia swoich duchowych przygód. Ale kogo to dziś interesuje? Co jednak będzie, gdy w decydującej chwili dowiedzą się, że są to sprawy najważniejsze? Póki co medialne pasma literackie nastawione są na *profanum* pod znakiem polityki, seksu i sensacji. Z jednej strony, powtórzmy,

są prawa rynku, rozgłos, sława, nagrody i pieniądze, a z drugiej wymagania najwyższe. My wiemy, że na to pierwsze szkoda czasu. W gospodarstwie polskiej literatury widać wyraźnie, co zostało, trwa i ma wpływ.

Jej główną postacią w XX wieku jest Miłosz. Kto jeszcze się liczy? Leśmian, Stanisław Ignacy Witkiewicz, może Gombrowicz, wybór jest niewielki. Ale czy nie są to dzieła wybitne tylko na krainę Ulro, w której powstały? Miłosz radzi, że trzeba wiek dojrzały połączyć z młodością, kiedy wchodziło się bardziej świadomie w literaturę, wrócić do tamtych myśli, zamierzeń i marzeń, nawet gdy były wtedy niejasno odczuwane: „Tylko tak zawrzemy przymierze ze swoją pasją, poddamy się jej, i długie godziny pracy będą lekkie”. To warunek konieczny, na ostatni odcinek drogi, który może okazać się decydujący.

Pokazuje linię prowadzącą od Dostojewskiego do Sartre'a i Gombrowicza, który w *Dzienniku* stwierdza, że Miłosz odarty jest z wiary w jakiejkolwiek wartości, jest w nim czarny pesymizm i ekstatyczny zachwyty. Czy to możliwe do połączenia w jednym dziele? Jak mają się do tego gry formą, parodia, pastisz, satyra, groteska i związane w jeden supeł śmiech i okrucieństwo? Błazenada? Czyż nie mamy tego u Witkiewicza? Ale główną cechą ich natury jest dwoistość, jeśli nie biało-szaro-czarno-kolorowa wieloistość, do tego podszyta myślą filozoficzną, bez której uwzględnienia nijak nie wnikiemy w ich twórczość. A to jest rzadkie wśród pisarzy polskich, bardzo rzadkie.

Miłosz to jednak jest też jeszcze inna droga, której tamci tak dobrze nie znają i chętnie po niej nie chodzą: Biblia, w której jest zakorzeniony i której stał się w późnych latach tłumaczem. To z niej jest jego inkantacja, rytm, tok, słownictwo i dyscyplina. Miał skarb, ale nie mógł z niego otwarcie korzystać, tak jak jego wielki krewny – Oskar Władysław Miłosz, poeta, prozaik i dramaturg, autor „poematów metafizycznych” prozą, którego nazwał się czeladnikiem. Tak bardzo różny od Apollinaire'a, Bretona, Michaux i im podobnych, istniał na marginesie ówczesnej literatury. Jego „duchowym mistrzem” był Goethe, obok którego stawał Dantego, więc trudno łączyć go poważnie z artystycznymi awangardami, które dziś wydają się płaskie, pospolite, a nawet wulgarne. Przypomina, co znaczy „prawidłowo stosowana hierarchia”, bez której literatura zamienia się w przedszkolny plac zabaw. W polskiej na szczycie jest Mickiewicz, co może dziwić, bo tak bardzo jest u nas zbanalizowany, okrojony i pokiereszowany. Nic dziwnego, skoro jego główną księgą, w której rozczytywał się prawie całe życie, była Biblia. Jest poetą religijnym, mistykiem, a to w Polsce są groźne i niebezpieczne etykiety: zauważmy,

jak chyba najwyższy wzlot poezji polskiej – liryki lozańskie i *Zdania i uwagi* omi-  
jane są przez, zdawało się, poważnych znawców i egzegetów. Chwalić *Kwiaty zła*,  
to się opłaci, ale *Zdania i uwagi*, czy to nie jakaś parafrańszczyzna? I tak toną, za-  
tapiając innych, całe pokolenia. Wiem, jaka jest znajomość Biblii i metafizyków  
wśród współczesnych polskich poetów i pisarzy, o krytykach nie wspominając.  
A tu największy wieszcz oznajmia, że Jakub Böhme, Swedenborg i Saint-Martin są  
prorokami, i chrześcijaństwo prorokami stoi. I tak jest, choć tyłu, a jest ich legion,  
z niedowierzaniem odnosi się do jego i naszej religii. „Każdą swoją linijkę jemu za-  
wdzięczam”, mówi Miłosz i dodaje, że „żaden z nowoczesnych poetów, czy polskich,  
czy francuskich, czy angielskich, czy rosyjskich nie dorównuje mu prostotą i potęgą  
słowa” – warto z tego wyciągnąć wnioski. Porównuje jego taktykę z bojami, któ-  
re prowadzili Blake i częściowo Goethe. Zagadka Mickiewicza, zagadka Miłosza –  
to sedno polskiej literatury i nie tylko polskiej.

Głębia dnia codziennego, ład i absurd istnienia, obcowanie żywych z umar-  
tymi, działanie dobra i zła, człowiek wobec nieszczęścia – czy nie są to też tematy  
Becketta, najuczciwszego, jak ogłasza, pisarza XX wieku. Czyż i on nie był tym, któ-  
ry szedł naprzód zamaskowany, w myśl kartezjańskiej maksymy „*larvatus prodeo*”?  
Romantycy byli rozdwojeni, poeci i pisarze XX wieku też – a jak toczy się to w wieku  
XXI, który, jak oznajmili wizjonerzy, jeśli nie będzie religijny, to koniec jego będzie  
straszny.

Duchem metafizyki O. W. M. jest Rytm, a sednem jego „poematów metafizycz-  
nych” filozofia przestrzeni. Przyszłość poezji „pojmował jako przemianę i poety,  
i jego poezji”. U niektórych żydowskich kabalistów jednym z imion Boga jest Miej-  
sce. I ważny jest Ruch, poruszanie się, przechodzenie od jednego s t a n u do dru-  
giego. Jesteśmy w Wilnie i w Litwie gniazdowej, ze Wschodu wędrujemy do Egiptu  
i wracamy z powrotem, krążymy na obrzeżach Dublina lub w jakimkolwiek innym  
s w o i m miejscu, na zewnątrz i wewnątrz i wtedy pisanie nie jest trudem się  
na przepadłe: „Tak oto »poruszam się, więc jestem«, zmienia się w »kocham, więc  
jestem«, bo odczucie ruchu i miłość są tożsame, jako pogoń za miejscem miejsc”,  
mówi Miłosz. Można żyć bez widzeń, epifanii i iluminacji, ale jakie to biedne życie.  
Przypominany przygody Pascala, Swedenborga, Mickiewicza, O. W. M., ich wizje  
i nawrócenia i przechodzimy do Becketta.

Stwierdza, że chlubą Zachodu jest, że wydał takiego pisarza jak on. „Teraz  
w skali masowej nastąpiło uświadomienie sobie nowej sytuacji metafizycznej  
człowieka, która określa dużymi literami wypisane: NIE MA. Żadnego głosu

przemawiającego ze wszechświata, żadnego zła i dobra, żadnego spełnienia oczekiwań i żadnego Królestwa”, a więc jak pułapka, kozi róg czy dół. I Beckett mówi: *Endgame*, czyli koniec gry lub zabawy, widząc w nim punkt wyjścia do kolejnej Końcówki, fakt, że wielce kontrowersyjnej dla naszego myślenia i odczuwania, ale przecież kolejna może już być inna, trzeba tylko, nie tracąc wiary (bo jak to inaczej nazwać?), ciągle próbować, z nadzieją jak Winnie, że najlepsze dopiero będzie. Dlatego w *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* napisał: „Pasja ta sama, choć wezwania znikąd. / I tylko w zaprzeczeniu dom swój miała świętość” – to są jego główne wersy o Beckettcie.

\*

*Traktat teologiczny* przeczytałem 26 lipca 2001 roku na Bogusławskiego, przed publikacją w „Tygodniku Powszechnym”. Gdy zacząłem, po chwili wyszedł do drugiego pokoju i wrócił, gdy już prawie kończyłem. Poprosił o opinię, którą wygłosiłem bardzo entuzjastyczną i raczej chaotyczną, będąc pod dużym wrażeniem. Stwierdził, że jest to zadanie jakby ponad siły i możliwości współczesnego poety. Nie przeciwstawia w nim siebie innym i nie stawia się ponad nimi, ale, na pożegnanie, raz jeszcze pokazuje kierunek, w którym warto iść, co w postępującym chaosie i zagubieniu jest rzeczą bezcenną.

To umieszczone w już ostatnim jego tomie dziękczynienie, próba ofiarowania nowego poetyckiego języka i odkupienie grzechu samolubnej pychy, wielkie zadanie dla człowieka i poety, zapis upadku i opis nadziei przywrócenia. Nie wynoszenie się nad innych, ale solidarność i miłość, tożsamość z Bogiem i z ludźmi. W kompozycji *Drugiej przestrzeni Traktat* poprzedza *Czeladnika*, który jest chyba największym jego wyznaniem wiary i świadectwem drogi. Powiedział, że napisał mu się sam, w sposób mediumiczny, nie bardzo rozumie, co w nim jest i nie jest to utwór „teologiczny”, tak jak *Traktat poetycki* nie jest „poetycki”. Po dekadach katastrofального zastoju czy blokady we współczesnej poezji otwiera możliwość, a nawet konieczność mówienia o teologii, czyli prawdzie i rzeczach ostatecznych, która obecna była od początku, zawsze u największych poetów.

„Dlaczego teologia?” – „Bo pierwsze ma być pierwsze”. Mocniejsza jest linia wyznania wiary niż wątplenia, gdyż żyć prawdziwie możemy nie w rojeniach i fantasmagorii, ale w tym, co jest, w rzeczywistości. Są to prawdy jasne i proste, wyrażone, podobnie jak w *Świecie*, w przejrzysty sposób.

Ci, którzy piszą, wiedzą jak trudne jest ustalenie stylu i języka, gdy mówi się o tajemnicach wiary: o Trójcy Świętej, Grzechu Pierworodnym i Odkupieniu, w na wskroś zlaicyzowanym kręgu literatury i coraz bardziej pogańskim świecie. W napięciu obserwowałem to poruszanie się w „miejscu środkowym” właśnie u Miłosza i Becketta, w całości ich dzieł, wykraczające poza „tak zwane zjawiska literackie”. Czy otrzymali dar i łaskę i zostali uratowani z piekielnej otchłani nieistnienia? Wierzę, że tak.

Są tacy („małpoludy” z „wykrzywionymi w szyderczym grymasie gębami”), którzy to wyśmiewają, hołdownicy obwiązujących mód i pilni łowcy nagród – mowa o tym jest też w *Czeladniku*. Być jednym z nich czy kimś o świadomości modlącego się dziecka? Stać po stronie diabła, czyli kłamstwa, czy po stronie świętych „zabobonnych”? Dla mnie od początku sprawa była jasna, choć tak jak każdy chodziłem też w kręgu „ciemnego światła”. Wtedy domyślałem się i czułem, a dziś coraz bardziej jestem przekonany, że ten wybór to sprawa życia i śmierci, rzecz ostateczna.

Nie pozory i złudzenia, struganie bożków, kadzenie i służenie im, ale widzenie rzeczywistego ładu, hierarchii i porządku. Jeżeli na pierwszym miejscu postawimy to, co nie jest w rzeczywistym ładzie, hierarchii i porządku świata na pierwszym miejscu, wtedy popadniemy w chaos, zamęt i kłamstwo. Te miary nie powinny być naszymi miarami. „Nagroda Nobla jest w sam raz dla mniejszych. / Nie daliby jej komuś, kto przekazuje dar niezrozumiały”, przestrzega w *Czeladniku*. Po co pracować i angażować się nawet za wielkie sumy na własną zgubę? Współczesna literatura jest tego świadectwem: zagoniona w śmiertelną pułapkę, rozpaczliwie szuka wyjścia, a jeżeli ma jeszcze tyle sił, żeby walczyć, to staje w szranki, a walka toczy się na śmierć i życie. Miłosz daje świadomość tej sytuacji. Rzeczywistość ukazuje właściwą hierarchię, to znaczy sens, który jest niemożliwy bez „absolutnego punktu odniesienia”. Mógłbym podać długą listę tych, którzy wyśmiewali wtedy Miłosza, a jeśli żyją, to śmieją się z tych, którzy tak jak on myślą – pokazują swoją beznadziejność, dobrze zostali nazwani.

Zapisałem z boku: język = rzeczywistość = sens = absolutny punkt odniesienia i przy tym obstaję. Czy warto myśleć i mówić innym językiem? Czy warto trudzić się inaczej?

Wraca do „kraju lat dziecinnych”. Wspomina chrzest w wiejskim kościele katolickiej parafii, przyzwyczajenie zwracania się do Matki Boskiej, chyba jednak tej biednej Ostrobramskiej, a nie wyniesionej na „złoto ołtarzy”, na biało ubrane

dziewczynki przystępujące do pierwszej komunii, a także dziecięce poczucie grozy w „kamiennym porządku świata”, poszukiwanie tajemnicy i schronienia, marzenia, sny i pomysły. Znamy to z własnych doświadczeń.

Jak mówić dziś o głównym nurcie swojego życia, który przez długi czas był jak nurt podziemnej rzeki, skryty i tajemny? Podaje formułę: „ani za świątobliwie, ani zanadto świecko”, „między abstrakcją i zdziecinnieniem”. Potrzebne jest uchwycenie tonu, wypracowanie toku, dotarcie do złotego środka, żeby „można było rozmawiać poważnie o sprawach naprawdę poważnych”. Przeciwnieństwem jest czczą gadaninę o sprawach niepoważnych bądź poważnych pozornie i na to naprawdę szkoda czasu. Gra toczy się o wszystko i trzeba grać uczciwie. Raz po raz odzywa się w nim głos oświeceniowego racjonalisty i pobrzmiewają heretyckie nuty.

Co byłaby warta tajemnica nieopancerzona przeciw rozumowi? Do lotu potrzebne są dwa skrzydła: rozum i wiara, bez nich daleko nie polecisz. On to dobrze wie, ale głównie chodzi o wyraz, „niewystarczalność ludzkiego języka”. Przywołuje Mickiewicza, który „pisał szyfrem”, bo „taka jest zasada poezji, / dystans między tym, co się wie, / i tym, co się wyjawia”. Ważna jest treść, ważniejsza od formy – jest ziarnem w jej łupinie, a to „jak będą bawić się / łupinami, nie ma większego znaczenia”.

Powiedzenie „Ja” oznacza odłączenie, bunt, wykrzyczenie Bogu „Nie” – tak przecież mówi do Niego Luciferos, nosiciel ciemnego światła, nasz przeciwnik i oskarżyciel. U Miłozza „Tak” to Bóg i życie, a „Nie” to „cień rzucony przez wolę oddzielnego istnienia”, strefa diabła. Widzimy, ile jest na ziemi zła, obserwujemy je codziennie i doświadczamy w takim nasileniu, że czasami wydaje się, że jest to „przedsionek piekła”. Ale są na niej także promienie „piękna i dobroci”, a więc jednak nie jest przedsionkiem piekielnych czeluści, w nim nie mogłoby ich tyle być.

Ciągle jesteśmy pośrodku, a właściwie pomiędzy:

Grzech świata mógł być zmazany jedynie przez nowego  
Adama, którego wojna z Księciem Tego Świata  
jest wojną przeciw śmierci.

Pojawia się Ewa i do miłości niebieskiej („nie ja”) zostaje dodana miłość ziem-  
ska (ja + ja + inne ja), która ściąga Adama w „monotonne koło narodzin i zgonów”.  
Obietnica miłości ziemskiej jest obietnicą śmierci. Ale obok Ewy stoi ta, która



„otrzymała i przyjęła wezwanie, / aby stać się matką Boga”, nowa Ewa, która urodzi nowego Adama:

Kto pokłada ufność w Jezusie Chrystusie, oczekuje Jego  
przyjścia i końca świata, kiedy pierwsze niebo i pierwsza  
ziemia przeminą i śmierci już nie będzie.

Po tej mistycznej kulminacji, Miłosz jakby zamazuje ślady, kluczy, myli tropy i świadomie bądź nie popada w sprzeczności: mówi, że religia wynika z litowania się nad ludźmi, którzy są za słabi, żeby słuchać „zgrzytliwego obrotu piekielnych kół”, ale skoro je słyszą, to przecież tym bardziej powinni przyłgnąć do Boga, do Jego miłości, mocy i miłosierdzia. Widzimy, że gra rozgrywa się pomiędzy „Tak” i „Nie” jak między dwoma biegunami i nie wszystko można wypowiadać. Bierzymy ją nie z naszego litowania się nad ludźmi, ale z miłości do nich i wtedy innego znaczenia nabiera: współczucie, litość, zrozumienie.

„Tak naprawdę nic nie rozumiem”, mówi, nazywając siebie człowiekiem rytuału i jednodniowym mistrzem. Co znaczy wyznanie, że w religijności nigdy nie postąpił poza Księgę Hioba? Mało to czy dużo? Mówi o swoich winach i nie złorzeczy Bogu na zesłane na niego nieszczęścia, które traktuje jako karę i w wielkiej pokorze dziękuje za nią. Jest w tym jakaś osobista tajemnica, bo wspomina „niejasną odpowiedź” Boga na dzień i noc ponawiane pytanie: Dlaczego?

Ten tajemniczy, „zakryty” fragment skontrapunktowany jest z innym, jakby w trosce o symetrię kompozycji, choć sprawa jest pewnie o wiele głębsza: przyznaje, że trudno jest mu wierzyć w duszę nieśmiertelną i mówi o bliskiej śmierci, religiach, literaturze i życiu osobistym. I tu, od rozdziału 19 do ostatniego 23, słyszymy najmocniejsze akordy. Przywołuje obrazy Piekła i Sądu Ostatecznego i wyznaje, że ma w sobie „tyle niewyjawionego zła”, że nie wyklucza tego, że znajdzie się w Piekle.

Rozdział 21 jest napisanym szyfrem „rachunkiem sumienia” i jednocześnie dziękczynieniem za serie cudownych ocalań: „Jakby zastępcze powołanie było potwierdzone i Pan Bóg żądał ode mnie dopełnienia dzieła”. Jesteśmy tu blisko ostatnich utworów Mickiewicza, mistycznych wzlotów Norwida i Słowackiego, na rzadko spotykanej w poezji wysokości i w jej przepastnej głębi.

„Miejcie zrozumienie dla ludzi słabej wiary”, mówi i nie możemy nie znaleźć w sobie takiego zrozumienia, będąc ludźmi zagubionymi i poszukującymi, chcącymi tak jak on wysławiać Piękną Panią, Pośredniczkę między naszymi zasługami a łaską, grzechami a miłosierdziem, obojętnością a miłością, prosząc Ją o cud i w codziennych błaganiach zapewniając o wierności.

GARY SNYDER

## Wiersze

w przekładzie Andrzeja Szuby

### „Ten szlak nie jest szlakiem”

Pomknąłem Autostradą,  
A potem zjazdem  
Wyjechałem na szosę,  
By dotrzeć do drogi bocznej,  
A boczną dojechałem  
Do bardzo nierównej drogi  
Gruntowej i tam stanąłem.  
Ruszyłem pieszo szlakiem,  
Ale szlak był wyboisty  
I w końcu zniknął –  
Otwarta przestrzeń,  
Świat przede mną.

## Lata

Wydaje się, że lata pędzą  
coraz szybciej i szybciej  
pracuję w pocie czoła  
chłopcy rosną  
sadzimy jabłonie czereśnie.

Latem boso,  
zimą w gumowcach.

Delikatne chłopięce ciała,  
miękkie brzuchy, maleńkie sutki.

Przez listowie igliwie  
przebija się nowa trawa  
zasadzimy kilka drzew więcej  
popatrzymy jak nocą obraca się niebo.

## Wzajemnie

Cieszyć się życiem  
we wrześniowy poranek,  
przechodzić strumień w bród  
boso – podwinięte nogawki,  
buty w ręku, plecak,  
słońce, lód na płyciźnie,  
góry północy.

Migotanie i szept lodowatej wody potoku ruch  
kamieni pod stopą, małych i twardych jak palce u nogi,  
kapiący nos,  
lekko na duszy,  
muzyka potoku i serca,  
zapach słońca na żwirze.

Składam przysięgę.

Składam przysięgę na wierność ziemi  
Turtle Island,  
istotom, co na niej żyją,  
jednemu ekosystemowi  
pod słońcem  
z całym jego bogactwem wzajemnie  
radośnie przenikających się przejawów.

## Serce puszczy

Chłodna  
  polana.  
Nigdy nie widzieliśmy  
Takich drzew czy  
                  kwiatów.  
Nadzy  
Pod gołym niebem  
                  kochamy  
                  się.  
Nikt nas  
Nie zobaczy.  
Z dala  
  Od  
Zgiełku.

Julia Hartwig

NA CZESC MOICH BRACI

Dziękowaliśmy Bogu żeśmy się uchronili w czasach klęsk  
rodzina która mogła się siebie doliczyć  
Wyszliśmy z tego i udało się nam żyć dalej  
Jeden brat powrócił po dwóch latach z surowej Północy  
nie do rozpoznania na zdjęciu zrobionym podczas postoju  
w Białej Podlaskiej :widmowa bladeść na głowie sowiecka czapka uszatka  
Obok niego dwaj towarzysze z obozu jednego z najcięższych  
Jogła  
Wepchnięto ich do nor wykopanych w ziemi  
i obleczone w niemieckie mundury  
żeby nie budzili współczucia miejscowych  
Osłabł tak że współtowarzysze wywelekali go siłą z legowiska  
i ciągnęli trzymając pod ramiona ku rzece  
gdzie pracowali przy spalwianiu drzewa  
Nogi zostawały mu z tyłu gubił w drodze wypchane papierem chodaki  
Nie pozwolili mu odstać więc przetrwał  
Pamięta im to  
Dzięki nim jego opowieść o naturze ludzkiej  
brzmi bardziej krzepiąco niż inne  
Kiedy chorował wynosili go na powierzchnię  
żeby mógł podziwiać zorzę polarną  
Mówili: głupi ten Hartwig ale uszanowali w nim artystę  
Drugiego brata lekarza sadzano na odwróconym stołku  
przesłuchując ze zbrodni leczenia rannych z "Parasola"  
Fagas o zatartych rysach twarzy zabierał go z kliniki na Nowogrodzkiej  
i seanse ciągnęły się z przerwami przez długie miesiące  
Nie przeszkadzało to między jednym przesłuchaniem a drugim  
wzywać go do chorych dostojników  
był bowiem jednym z najlepszych w swoim zawodzie

JULIA HARTWIG  
Na cześć moich braci

Dziękowaliśmy Bogu żeśmy się uchronili w czasach klęsk  
rodzina która mogła się siebie doliczyć  
Wyszliśmy z tego i udało się nam żyć dalej  
Jeden brat powrócił po dwóch latach z surowej Północy  
nie do rozpoznania na zdjęciu zrobionym podczas postoju  
w Białej Podlaskiej: widmowa bladość na głowie sowiecka czapka uszatka  
Obok niego dwaj towarzysze z obozu jednego z najcięższych  
Jogła  
Wepchnięto ich do nor wykopanych w ziemi  
i obleczone w niemieckie mundury  
żeby nie budzili współczucia miejscowych  
Osłabił tak że współtowarzysze wywlekali go siłą z legowiska  
i ciągnęli trzymając pod ramiona ku rzece  
gdzie pracowali przy spławianiu drzewa  
Nogi zostawały mu z tyłu gubił w drodze wypchane papierem chodaki  
Nie pozwolili mu odstać więc przetrwał  
Pamięta im to  
Dzięki nim jego opowieść o naturze ludzkiej  
brzmi bardziej krzepiąco niż inne  
Kiedy chorował wynosili go na powierzchnię  
żeby mógł podziwiać zorzę polarną  
Mówili: głupi ten Hartwig ale uszanowali w nim artystę  
Drugiego brata lekarza sadzano na odwróconym stołku  
przesłuchując ze zbrodni leczenia rannych z „Parasola”  
Fagas o zatartych rysach twarzy zabierał go z kliniki na Nowogrodzkiej  
i seanse ciągnęły się z przerwami przez długie miesiące  
Nie przeszkadzało to między jednym przesłuchaniem a drugim  
wzywać go do chorych dostojników  
był bowiem jednym z najlepszych w swoim zawodzie

a prawość była jednym z powodów dla których go dręczyli

( Z własnej już chęci leczył Frymasa Tysiąclecia

który lubił z nim pogwarzyć na korytarzu

z daleka od podsłuchu pytając za każdym razem

Co słychać panie Walenty

Z wdzięczności za powrót brata z obozu

ślubował odbyć pieszą pielgrzymkę do Częstochowy

Kiedy z niej powrócił powiedziano mu:

Może pan zapomnieć o kierowaniu instytutem

Nie przyjął tego jako klęski

Przybiegał do nas w roku sześćdziesiątym ósmym

przybiegał w stanie wojennym niepokojąc się czy nas nie wzięto

Pamiętam jak spotkany na warszawskiej Pradze

podczas okupacji niemieckiej pogroził mi tylko palcem

zgadzając jakieś kurierskie zadanie

Karmił mnie kiedy chodziłam na uniwersytet podziemny

( bo Przyszedszy kiedyś rankiem do mieszkania które mi wyznaczono

zobaczył goły siennik i łyżkę wetkniętą w garnek z zaschniętą kaszą

Nie umiem nakreślić portretu moich braci



a prawość była jednym z powodów dla których go dręczyli  
Z własnej już chęci leczył Prymasa Tysiąclecia  
który lubił z nim pogwarzyć na korytarzu  
z daleka od podsłuchu pytając za każdym razem  
Co słyhać panie Walenty  
Z wdzięczności za powrót brata z obozu  
ślubował odbyć pieszą pielgrzymkę do Częstochowy  
Kiedy z niej powrócił powiedziano mu:  
Może pan zapomnieć o kierowaniu instytutem  
Nie przyjął tego jako klęski  
Przybiegał do nas w roku sześćdziesiątym ósmym  
przybiegał w stanie wojennym niepokojąc się czy nas nie wzięto  
Pamiętam jak spotkany na warszawskiej Pradze  
podczas okupacji niemieckiej pogroził mi tylko palcem  
zgadując jakieś kurierskie zadanie  
Karmił mnie kiedy chodziłam na uniwersytet podziemny  
bo przyszedłszy kiedyś rankiem do mieszkania które mi wyznaczono  
zobaczył goły siennik i łyżkę wetkniętą w garnek z zaschniętą kaszą  
Nie umiem nakreślić portretu moich braci



Od lewej: Julia Hartwig, Walenty – brat, Helena – żona Edwarda, Edward – brat,  
Ludwik – ojciec, Zofia – siostra i jej mąż Władysław, Helena – siostra

## Kartka z Pensylwanii

Serdeczne pozdrowienia dla czytelników „Kwartalnika Artystycznego” przesyła z Pensylwanii córka Julii Hartwig, malarka Danielle Lehtinen. Kiedy Pan Redaktor Naczelny Krzysztof Myszkowski wyraził zainteresowanie opublikowaniem na setne urodziny Mamy czegoś z rodzinnych archiwów, rozłożyłam bezradnie ręce, bo przecież, wedle życzenia Rodziców, archiwami opiekuje się Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, i ostatnio też Brama Grodzka w Lublinie. A ja, na czas pandemii, po drugiej stronie oceanu, gdzie maluję i wystawiam...

Mimo to, znalazło się rozwiązanie. W pracowni od lat trzymam dużego rozmiaru album, 30 × 45 cm. Zawiera wycinki z prasy i wywiady z Mamą, które to sumiennie przesyłała mi Mama z Warszawy. Znalazł się, pośród wywiadów, maszynopis wiersza pt. *Na cześć moich braci*. Bracia Mamy to lekarz internista i endokrynolog Walenty Hartwig – mój ukochany Wujek Walek, i fotografik Edward Hartwig – również kochany Wujek Edek.

Jedna z moich ulubionych fotografii z Lublina, przekazanych mi przez Mamę, wraz z odręcznym opisem na odwrotnej stronie fotografii, przedstawia Mamę w wieku lat trzynastu, wraz z rodzeństwem, w Ogrodzie Saskim. Data, „do góry nogami”, 15 IX 1934.

Wydawało mi się, że to zdjęcie jakoś pasuje do tego wiersza: niefrasobliwe czasy przed wojną, bracia i siostry z ojcem, wygodnie siedzący na ławce, wszyscy ubrani elegancko, może niedzielnie. Zdjęcie, być może robione aparatem Dziadka, fotografika, Ludwika Hartwiga. Tak wyglądała nasza lubelska rodzina zanim świat, w którym razem dorastali i żyli, bezpowrotnie przestał istnieć.

A jednak musiał ten sfotografowany świat być jakimś odnośnikiem do normalności, która była domyślnym tłem dramatycznych wydarzeń opisywanych w wierszu.

Mama cieszyłaby się, tak jak zawsze się cieszyła, że Jej wiersze, i historia naszej rodziny, nadal trafiają do Państwa rąk i serc.

Życzę miłego czytania i oglądania.

Danielle Lehtinen  
née Anna Daniela Międzyrzecka  
córka Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego

## KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

### Daleko, blisko

Po raz pierwszy spotkaliśmy się w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, po raz ostatni 19 października 2015 roku. 14 września 2016 odleciała z Danielle do Pensylwanii, 26 października napisała list (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” nr 92), a 1 stycznia 2017 kartkę, do której dołączyła zapisy z notatnika („Kwartalnik” nr 93). Zmarła 14 lipca 2017, pogrzeb odbył się na Starych Powązkach 13 września.

W przestrzeni tego czasu wydaje się niezmienna, określona w jakby na stałe ustalonej postaci, z trwałego materiału i wrażliwego ducha. Była w jakiś ogólny sposób przewidywalna, choć gdy patrzyło się uważnie, widziało się skalę przeciwności, ich gry i kompozycje, meandryczny świetlisto-ciemny tok, powagę, humor, oddalenie i bliskość, rygor i fantazję.

Wyrastała z pnia Miłosa, stanowiąc odwrotność Szymborskiej, która inaczej była z nim złączona. Zaznaczała dystans do Różewicza, którego ceniła za wiele wierszy, a Herberta darzyła respektem i rodzajem zakłopotania, przez lata się przyjaźnili. Miała przejrzysty system wartości i znakomite rozeznanie w hierarchii, co dziś, niestety, jest rzeczą rzadką.

Lubiła rozmowy, ciekawiły ją argumenty i uzasadnienia, zwracała uwagę na pojedyncze słowa i sformułowania. Dawała się przekonać także w od lat ugruntowanych postanowieniach, jak na przykład zdarzyło się z przekładami wierszy Samuela Becketta („Kwartalnik” nr 68), czy publikacją części listów od Ksawerego Pruszyńskiego („Kwartalnik” nr 85).

Trudno ją opisać: była naturalna i jednocześnie świetnie przysposobiona, panowała nad emocjami i dawała im bezpośredni wyraz, dostępna w bliższym kontakcie i bezpiecznie zdystansowana, odrębna w swojej strefie i żywo współodczuwająca, zajęta wspomnieniami i zainteresowana bieżącymi wydarzeniami. Jej otwartość zależała od tego, z kim miała do czynienia, czy była w przyjaźni, znajomości, porozumieniu czy w ich braku. Wracała do Lublina, zaglądała do albumów, listów i dawnych zapisów, interesowały ją sny. Żyła w rytmie, którego nie burzyły nawet podróże, co najwyżej zakłócały, i tak pod kontrolą. Nie była wylewna, choć

potrafiła być czuła i serdeczna, wymagająca i pobłażliwa dla słabości i uchybień, skupiona na chwili i obecna w przeszłości.

## Powrót do domu dzieciństwa

Wśród ciemnego milczenia sosen – krzyk młodziutkich, nawołujących się brzoź.  
Wszystko jest jak było. Nic nie jest jak było.  
Przemów do mnie, Boże dziecko. Przemów, niewinna trwogo!  
Nic nie rozumieć. Wciąż inaczej, od pierwszego krzyku do ostatniego westchnienia.  
A jednak to też było życie. I chwile szczęśliwe wychodzą ku mnie z przeszłości jak panny z kagankami oliwy.

(z tomu *Chwila postoju*)

W „Kwartalniku” żegnała męża Artura Międzyrzeckiego, Czesława Miłosza, Wisławę Szymborską, Tadeusza Różewicza, publikowała szkice o Witoldzie Lutoślawskim, Jarosławie Iwaszkiewicz, Zbigniewie Herbercie, Jerzym Andrzejewskim i Tadeuszu Konwickim. Do każdego numeru dawała nowe wiersze, ukazało się ich ponad sto, ponadto przekłady, listy, fragmenty dziennika, odpowiedzi na ankiety, autorskie wkładki z fotografiami z rodzinnego archiwum, wspomnienia, szkice i recenzje, można do tego wracać. Ukazywały się książki i tomiki, z których każdy był napisany jakby z innego miejsca, mocno w jej wewnętrznej i zewnętrznej rzeczywistości zakorzeniony: *Jasne niejasne; Gorzkie żale; Zapisane; Spojrzenie*. W ostatnim liście stwierdziła, że jej nowe wiersze zawierają „zapytania poetyckie, które odnoszą się do szczególnego tematu (»meta«), podjętego z powagą należną tematowi”. Była wybitną tłumaczką literatury francuskiej i amerykańskiej, przełożyła m.in. listy Fryderyka Chopina i z Joanną Guze *Dzienniki Delacroix*, napisała świetne monografie Gerarda de Nerval’a i Guillaume’a Apollinaire’a, w których chyba się kochała.

Prawdziwe bogactwo, codzienna i świąteczna obecność.

Jej metafizyka i religia dobrze zawierają się w powiedzeniu: „Bóg jest daleko, ale Jego wysłannicy są blisko”.

Było w niej światło, i ciemność. Dwa potężne wstrząsy, o których nie mówiła: śmierć matki i śmierć narzeczonego w przeddzień ślubu, a przecież także przeżycia lat wojny, okupacji i powstania.

Jej najbliżsi byli w jej sercu, snach i wierszach, tak jak coś, co istniało w ukryciu, ponad nimi.

## Dowód na istnienie

Wszystko pogubiłam  
nie ma już nic  
miejsca straciły swoje miejsce

Więc nic?

Jednak po zagubieniu  
jednak po oczyszczeniu  
zostaje  
niewyobrażalne

i komuś czy czemuś  
o tym wiadomo

(z tomu *Bez pożegnania*)

PIOTR SZEWC

## Słowa wędrowały

Dążcie do tego co w górze słowa wędrowały  
z daleka przez krzewy cierniste i wyschnięte  
koryta rzek nad Sitnem biała chmura sunie jakby  
rozlała się bańka mleka minął kwartał albo dwa  
i wiatr wytarł długim rękawem plamę spadł  
śnieg para koni idzie stępa furmanka terkocze  
kopyta stukaniem odmierzają czas dziadek patrzy  
spod kaszkietu daleka droga przed tymi którzy  
jeszcze nie usnęli zboża dymią Granicznik poi  
pastwiska łykiem wody póki słońce wysoko  
pszczoly składają kwiatom obietnice

2020

## Cztery ursusy

Ropa oleje smary choć pamiętają wczesnego  
Gierka to nie takie proste zmyć je z siebie raz  
na zawsze cztery ursusy mówiliśmy traktory  
pod nimi na lata zostały liszaje wypalonej trawy  
ale odrosła szybciej niż mogliśmy się spodziewać  
od rana warkot silników hałas zaczepianego pługa  
stukanie młotka głośne zamykanie burt przyczepy  
traktorzyści wchodzili do domu powiedzieć dzień dobry  
i uzgodnić z dziadkiem plan pracy przy okazji toczyło się  
życie sąsiedzkie wiedzieliśmy że ta wychodzi za mąż  
a tamtemu umarła matka traktory odjechały teraz jak pies  
Cygan łowię w nozdrza zapach spalin rozmiękła ziemia  
odstania odcisk opon

2020

## Miejsce

Nie pamiętam który to był rok ani miesiąc  
babcia poprosiła mnie abym pojechał w sprawie  
o której też nie pamiętam do kuzynki Winusi  
z Kolonii Sitno naprzeciwko szkoły rolniczej  
skręciłem w lewo droga prowadziła na małe  
wzniesienie tam zatrzymałem rower w oczach  
uwięzły mi kwitnące maki rozgrzane powietrze  
podnosiło dachy Zamościa a po prawej stronie  
pośród zagonów jak barwinek położyła się  
Kornelówka słowa koniec i początek rozumiałem  
nie tak samo jak dzisiaj zajmował mnie kamyk  
promyk kształt liścia wtedy one szukały dla siebie  
miejsca

2020

## Winusia

Jeszcze jedna nitka po której ja pajęczek  
z ósmego piętra wspinam się albo schodzę  
nie tak jednak nisko żebym pod stopami  
poczuł najtwardszy grunt mówiliśmy na nią  
Winusia pan Zawiła mówił Wienia a ona  
ma rzadkie imię Wienisława bratem jej dziadka  
Jakuba był mój pradziadek Piotr tu ani rusz  
w głąb nitka się urywa moja mamusia wszystko  
wiedziała słyszę przez telefon i prawie widzę  
uśmiech zakłopotania teraz siwiuteńka miała  
rude włosy przyjeżdżała na rowerze tak ciciu  
wlecze się za nami to czego nie wiemy rośnie  
jak jemiola i nikt nam nie powie co z tym zrobić

2020



## Włókna

Dzień dobry powiedział wchodząc po drewnianych schodach  
pan Zawila chodźcie chodźcie zaprosiła go babcia usłyszałem  
oboje choć jestem w innym miejscu i w innym czasie bezsenna  
noc zbliża rozłączone dźwięczy znajomymi głosami ze swego  
głębokiego wnętrza jak fala wyrzuca na brzeg fragmenty i strzępy  
daj panu Zawile wody Piotrusiu mówi babcia czuję teraz a może  
mi się zdaje bo chyba zasypiam jakby ktoś ze mnie wyjmował  
pojedyncze włókna na przykład zagon lnu po drugiej stronie drogi  
jednak nie dałbym głowy że lnu bo mogła to być gryka albo hałas kół  
i stukot kopyt dziadek ściąga lejce żeby wypełniona grabiną furmanka  
nie wjechała zbyt szybko na podwórze oto powtarza się to co miało  
zdarzyć się tylko raz ale czy ja potrafię podać mu dłoń

2 VIII 2020

## Reczka

Jednak grykę nie len uprawiał  
pan Zawila prostuję co wykrzywiła  
pamięć na przywitanie ścisła dłoń  
była duża ciepła i twarda nawykła  
do ciężkiej pracy z upływem czasu  
osłabł panu Zawile wzrok dlatego  
nie byłbym pewny czy zauważył  
dzikiego gołębia gdy przeleciał  
nad zagonem a to nie mniej jest ważne  
niż sama reczka bo tak mówił na grykę

2020

## Gwóźdź

Miał być hak wbity za kredensem w ścianę  
ale zastąpił go gwóźdź trudno uwierzyć  
a to starszy ode mnie brat co roku pędzel  
z prosa okrywał go warstwą kanarkowej  
farby obrósł nią jak patyną obrasta cukiernica  
cichy członek rodziny niemy świadek piania  
kogutów i przechodzenia lata w jesień wszystko  
widział wszystko słyszał po pracowitych dniach  
spoczywały na nim babcine fartuchy obaj rdzewiejemy  
obaj pamiętamy choć kalendarz zniknął i stróż  
Sroka nadaremnie nocą stuka kosturem we drzwi

2020

## ZBIGNIEW MENTZEL

### Tortury

Na wakacjach w Zagórze Miłosz złowił swoją pierwszą rybę. Ojciec zabrał go na wycieczkę do gospodarstwa, gdzie przed wojną w dużym stawie hodowano liny i karasie. Staw był zarośnięty, brudny, miejscami pokrywała go gruba rzęsa. Z drewnianego pomostu jakiś mężczyzna łowił ryby. Miłosz wypatrzył na wodzie spławik jego wędki zrobiony z korka od butelki. Długo czekał, aż spławik się poruszy. Przez kilkanaście minut ani drgnął.

– Chodźmy już... – ojciec, zniecierpliwiony wziął Miłosza za rękę, ale on nie dawał się od pomostu odciągnąć.

– Pewnie sam chciałby coś złowić. Niech spróbuje... – powiedział mężczyzna i pozwolił Miłoszowi potrzymać swoją wędkę.

Ojciec poczęstował mężczyznę papierosem, podał mu ogień, obaj zaciągnęli się dymem i właśnie wtedy Miłosz po raz pierwszy przeżył – TO. Spławik drgnął, zanurzył się do połowy, a potem zaczął znikać pod wodą. Miłosz poderwał gwałtownie wędkę, żyłka naprężyła się, a on w całym swoim ciele poczuł dreszcz. Dreszcz, który nie przestał go przenikać aż do chwili, kiedy wyciągnięta z wody ryba zaczęła trzepotać się na pomoście. Miała oliwkowy grzbiet, złociste łuski, czerwone płetwy. Piękna.

Mężczyzna podniósł rybę, wyjął z niej haczyk i pokręciwszy z uznaniem głową powiedział:

– No, no, ale d z i a b n ą ł s z t u k ę.

Tamtego lata pod koniec wakacji do Zagórze przyjechał Witek, syn pani Ginterowej, pracującej w sanatorium jako intendentka. Miłosz bał się tej pewnej siebie kobiety o surowym spojrzeniu i donośnym głose. Ale matka potrzebowała towarzystwa i często zasiadała z nią przy kawie na werandzie. Pani Ginterowa miała swój ulubiony temat do rozmowy: jak wychowywać dzieci, żeby w y s z ł y n a l u d z i.

– Swojego Witka – mówiła, zaciskając wąskie usta – zawsze trzymałam krótko. Jak tylko coś przeskrobał, dostawał ode mnie w skórę. Biłam go czym popadło: pasem, kijem, różgą, aż robiły mu się na ciele krwawe pręgi. A kiedy zaczynało mi

być chłopaka żal, tłumaczyłam sobie: przecież bijesz tylko po nogach, krzywdy mu nie zrobisz, niech zapamięta, to dla jego dobra.

Witek przyjechał z Warszawy na rowerze. Nosił harcerski mundur: spodnie ściągnięte szerokim pasem z metalową klamrą i bluzę z mnóstwem plakietek zdobytych przez siebie sprawności.

Kiedy Miłosz dopytywał się, co znaczy każda z nich, Witek wyliczał znudzonym głosem:

– Samarytanin, sanitariusz, higienista...

Chętnie za to pokazywał, jak robi fałszywe węzły. Brał dwa kawałki sznurka i zaczynała się abrakadabra. Miłosz z uwagą patrzył mu na palce, ale poruszały się tak szybko, że nie mógł za nimi nadążyć. Pętla za pętlą, pętla za pętlą, coraz mocniejszy, coraz bardziej skomplikowany węzeł powstawał na sznurku, żeby za jednym pociągnięciem obu jego końców – zniknąć.

Drugiego dnia po przyjeździe, Witek na skraju lasu pod Zameczkiem rozbił namiot z wojskowych pałatek. Miłosz pomagał mu, przytrzymując maszty i naprężając linki. W namiocie unosił się zapach wilgotnego brezentu. Przez okrągłe przysłonięte moskitierą okienko wpadało do środka trochę światła. Kiedy obaj rozkładali nadmuchiwany materac, Miłosz poczuł nagle na plecach rękę Witka, która szybko przesunęła się niżej i wśliznęła za spodenki i majtki.

– Co ty? – zapytał, bardziej zdziwiony niż przestraszony.

Witek nie cofnął ręki.

– Tortury. Wezmę cię teraz na tortury... – powiedział dziwnym głosem i tak te słowa zabrzmiały, jakby Miłosz miał poczuć się przez niego wyróżniony, że zaraz dozna wtajemniczenia w coś, co przeznaczone jest tylko dla dorosłych. Witek skończył szesnaście lat. Miłosz miał dopiero dziewięć.

– Tortury, tortury... – usłyszał znowu, a między jego pośladki Witek wciskał palce coraz głębiej.

– A może ty byś mnie potortuował? – zaproponował po chwili, rozpinając metalową klamrę harcerskiego pasa. W spodniach sterczało mu coś sztywnego, coś, co podobne było do kończyny małego dziecka nienaturalnie wykrzywionej na bok, jak po chorobie Heinego-Medina.

W okienku namiotu Miłosz nagle zobaczył twarz siostry, która na moment zajrzała do środka.

– Widziała? – zapytał go Witek.

– Nie wiem.

– Mogła widzieć. I teraz głupstw naopowiada – zaniepokoił się na dobre.

Ale Wanda chyba niczego nie widziała, a może o tym, co zobaczyła, nie chciała mówić. Następnego dnia Witek wziął Miłosza na tortury znowu. Tym razem

ściągnął mu majtki, kazał odwrócić się do siebie tyłem i nie oglądać tak długo, aż mu na to pozwoli.

– A gdybym się obejrzał?

– Wtedy stanie się coś strasznego.

Dlaczego mu uległem? – Miłosz wiele razy będzie się później nad tym zastanawiał. Dlaczego nagi od pasa w dół posłusznie stałem bez ruchu kilka minut, nie wiedząc, co robi za moimi plecami? Dlaczego się nie obejrzałem? Dlaczego nie uciekłem z namiotu do rodziców?

Być może zdjął Miłosza strach. Czytał niedawno w *Klechdach sezamowych* opowieść o Górze-Cmentarnicy pełnej skamieniałych ludzi, którzy wbrew surowemu zakazowi obejrzałem się tam kiedyś za siebie.

A może nie? A może raczej pomyślał, że jeśli naskarży rodzicom na Witka, pani Ginterowa od razu dowie się o wszystkim i zbije syna do krwi różgą?

A może, po prostu, bardzo chciał mieć zestaw do wędkę, który Witek obiecał mu w nagrodę, jeśli zniesie jego tortury i nikomu o nich nie powie?

Dotrzymał słowa. Przed wyjazdem dał Miłoszowi deseczkę, na którą nawiniętych było kilka metrów cienkiej żyłki razem ze smukłym spławikiem z topolowej kory i ciężarkiem z łożowanej taśmy. I tylko jedno w tym zestawie w ogóle nie pasowało do całej reszty. Zamiast małego haczyka numer czternaście lub piętnaście, na jaki łowi się płotki i karasie, do żyłki przywiązany był haczyk numer jeden, największy ze wszystkich wędkarskich haczyków, stosowany do połowu czarnej ryby – sumów i węgorzy.

Przypominał Miłoszowi haki w sklepach mięsnych.

GRZEGORZ WRÓBLEWSKI  
Cukinie, wiersze dla Pufinka

(fragment)

\*

Ciemna energia  
i ciemna materia  
Szałas  
Miliardy lat  
po Wybuchu  
Wiedza ukryta  
hodowla i tempo  
rozszerzania  
Przemieszczające się  
nad minerałem  
punkty żarówki  
Szybowanie i bezruch  
bezstan energia  
Pufin w cukiniach  
hodowla ukryta  
wiedza energia  
nadzy osadnicy

\*

Trzcina myśląca?  
Pandawa wiedział jak  
działają na dwunożnego  
mgły zawiesiny  
Wiedział bez uruchamiania  
dysku  
Kropla śliny może  
zdegradować megalit  
Trzcina myśląca  
Pachnące poduszki  
Otworzył w pałacach  
okna bezradność  
selekcja cukinie  
nie boją się w nas  
zamieszkać to będzie  
ich szansa i przedłużenie  
Chcą z nami do końca  
żeby przedłużyć  
przygodę z ultrafioletem  
zabawę bez precedensu  
żeby przedłużyć  
bieganie chomików  
w klatce

\*

Może dziuple się  
otworzyły i wyszliśmy  
ponownie w opakowania...  
Shanty Town  
Ile czasu spaliśmy?  
Milczenie zamiast  
statystyk (czy oszukaliśmy  
larwę i piaski?)  
Wymieszaliśmy się z tymi  
których nigdy wcześniej  
nie przechwyciła  
śpiączka?  
Cukinie musiały wiedzieć  
kto powstał a kto tego  
jeszcze nie zaznał  
Pełzaczce mogą być  
znerwicowaną  
formą przejściową



## PETER FABJAN

### Kilka impresji o charakterze Thomasa Bernharda

*Pochwała strachu* – brzmiał tytuł jednego z artykułów wstępnych w tygodniku „Der Spiegel”, nawiązujący do *Ceny strachu*, słynnego filmu sensacyjnego z Yves'em Montandem. Tezą artykułu jest, że wielu wybitnych artystów i myślicieli, których dzieło przeszło próbę czasu, we wczesnym dzieciństwie zaznało głębokiego lęku przed porzuceniem. Później, w czasie dojrzewania, kiedy szukali własnego miejsca w społeczeństwie, stało się to źródłem niesłychanej energii. Także fakt, że ktoś nie zna ojca, i z tego powodu zachowuje dystans do własnej rodziny, jak również i do społeczeństwa, postrzeganego jako obce, może predestynować do ponadprzeciętnego, tak samo jak niezaspokojona żądza wyróżnienia się i zdobycia powszechnego uznania.

Tak jak całkowicie ogłuchły Beethoven skomponował *Dziwiątą Symfonię*, Bernhard wywiódł swe dzieło z sytuacji wewnętrznej głuchoty, nie czując, tak jak inni, własnej egzystencji.

Pisarz-komediant, Thomas, lubił w towarzystwie przedstawiać się pod wieloma postaciami, raz występując jako clown, innym razem śmiertelnie poważny, wykorzystał cały wachlarz zachowań, poczynawszy od chwytającej za serce uprzejmości aż do bezgranicznej pogardy. Inszenizował się dla innych, każdy dzień był dla niego przedstawieniem.

Kiedy odwiedzał swe wydawnictwo we Frankfurcie, mówiono: „To jest figura”. Gdziekolwiek się pojawił, przyciągał uwagę wszystkich: zabawiał dowcipem, swoim krytykanctwem, niewyczerpaną grą skojarzeń. Legendarny był jego wdzięk. Miał zdecydowane poczucie smaku i wyczucie dystansu – w pewnym sensie wciąż uważał, czujny, by się zanadto nie zbliżyć.

Narzucił sobie ogromną dyscyplinę artystyczną, wyrastającą z przeświadczenia, że wrzucono go w obcy mu świat, w którym, aby nikt go nie dotknął, nie zaatakował, musiał wyrobić sobie posłuch. Czyż nie mówił: „Ja zawsze maciłem spokój innych”, a także: „Jestem małym ptaszkiem, co w ciemnym lesie woła”.

Okazywać wdzięczności nie potrafił. Ludzi, którym był coś winny, musiał w sobie zniszczyć, by ich się pozbyć, jak się wyraził. Nie odnosiło się to do zmarłych, dziadka i Hedwig Stavianicek, ale do [mojego] ojca już tak, nawet do mnie. Gdyby jednak dziadek żył dłużej, spotkałby go z pewnością ten sam los.

W bliskim kręgu przyjaciół i rodziny, nadzwyczaj podatny na zranienie, odpychał od siebie, a jego życzliwa uwaga mogła błyskawicznie przeobrazić się w lodowatą pogardę. Raz okazywał współczucie, raz pouczał, potem znowu

wykazywał zainteresowanie, a nawet natrętną ciekawskość. Do jego wnętrza mało komu udało się naprawdę dotrzeć. W kłopotliwych sytuacjach zachowywał się jak dziecko, któremu należą się specjalne względy i ma być chronione, najczęściej zresztą przez osobę płci żeńskiej i znacznie starszą. Poza kręgiem zaufanych osób jego najlepszą obroną był atak, przez pomówienia wprowadzał drugiego na pozycje, zmuszające do obrony. W relacjach z nim pomagała mi od czasu do czasu podstawowa reguła lekarska, zalecająca by unikać „mechanizmu przeniesienia”. To znaczy w żadnym wypadku nie pozwalać sobie na spontaniczną reakcję emocjonalną, bo to natychmiast oznacza zerwanie kontaktu, a druga strona często przecież walczy o prawdziwy kontakt. Trudne do zrozumienia zachowanie Thomasa niejednokrotnie tłumaczyłem sobie jego losem we wczesnym dzieciństwie, zdominowanym chyba przez lęk przed opuszczeniem i zawirowania w relacji z matką.

W jednym z listów matka pisze o tym, iż czuje, że kilkumiesięczny dzieciak – oddała go do domu opieki, aby móc zarabiać na życie swego ojca – patrzy na nią z wyrzutem podczas odwiedzin. W tej instytucji regułą było, że matka mogła widywać dziecko raz w tygodniu, ale nie wolno jej było wziąć go w ramiona – aby zapobiec denerwującym otoczenie płaczom dziecka po rozstaniu.

My, rodzeństwo, wcześniej doświadczyliśmy jego zazdrości. Był mistrzem upokarzania, co w ostatnich latach życia wzmogło się z powodu choroby, z czasem coraz łatwiej było go rozdrażnić. Na zawsze zachowam wspomnienie, jak wołał, „Peter!”, słabym, niezdecydowanym głosem, z okna swego mieszkania, kiedy szedłem do mojego, w sąsiednim domu. Odwracałem się wtedy w jego kierunku. Innym doświadczeniem były słowa: „Johannes w *Wymazywaniu* to ty!” Johannes w tej powieści ginie wraz z rodzicami w wypadku samochodowym. Demoniczna strona charakteru Thomasa skazywała ludzi na śmierć, w tym co napisał – a czasem nawet jego samego.

Od bliskich krewnych wymagał, by go kochali, z drugiej strony jednak stanowili dla niego zagrożenie, stąd brał się ten dystans, którego zawsze skrzętnie strzegł. Nie interesowały go losy czy okoliczności, w danym wypadku wchodzące w grę, lecz raczej szukał – i znajdował – odpowiedzialnych za wszystko i obarczał ich winą.

Nasz ojciec odznaczał się głębokim poczuciem sprawiedliwości. Obdarzał uczuciem tych, którzy w jego oczach na nie zasługiwali. Ale instynktownie kierowała się ona w pierwszym rzędzie ku tym, z którymi łączyło go pokrewieństwo krwi. Natomiast od sprawiającego problemy pasierba wymagał posłuszeństwa.

Żył z fantomem, więcej: z demonem u boku. Kiedy spostrzegłem, że Thomas, aby mógł poczuć, iż żyje, musiał mieć reakcję Przeciwnika, i zrozumiałem, że tych, których już nie potrzebował, którzy zaczynali mu ciążyć, odrzucał od siebie, nie mogłem wykluczyć porównań z zachowaniem wręcz wampirycznym.

Po opublikowaniu [poematu] *Mein Weltenstück*, ojciec dostrzegł i docenił talent swego pasierba – od tego czasu śledził jego życie z podziwem, nieznacznie krytycznym. Jednakże Thomas chciał do końca widzieć w nim jedynie tego, kto we wczesnym dzieciństwie z surowością, a nie uczuciem, reagował na jego trudny charakter. Dopiero dużo później w ich rozmowach dochodziło czasami do zgodnych opinii.

Siostra wraz ze mną odbieraliśmy go jako chodzącego z głową w chmurach, związanego z nami więzią uczuciową, ale i potrzebą dystansu. Nasze uczucia wolno nam było okazywać tylko na jego żądanie, wymagał ich od nas i przez całe życie musieliśmy przekonywać go o nich. Niełatwa sytuacja.

Tłumaczył Marek Kędzierski

## Przypis

Kilka dni przed śmiercią, w lutym 1989 roku, Thomas Bernhard kazał bratu zawieźć się do notariusza, gdzie w stanie wzburzenia sporządził testament, w którym na ustawowy okres lat siedemdziesięciu zakazał inscenizacji i druku swych utworów w Austrii. Kolejny etap porachunków pisarza z własnym krajem, ze swymi krajanami i z własną rodziną. Ale nie ostatni! Ponieważ jego brat, brat przyrodni – a „przyrodni” to słowo-klucz do określenia relacji łączącej Bernharda z rodziną, jak i z krajanami (przyrodni syn Austrii!) – Peter Fabjan, ustawowy wykonawca testamentu, posłuszny woli brata był przez lat dziesięć, potem jednakże postanowił zakaz publikacji i wystawiania praktycznie unieważnić. W trosce o dobro brata. To doskonały przykład łączących ich relacji. Thomas, nieustępliwy, głośny, zapalczywy, rzadko ustępował, Peter, cichy, ugodowy, spokojny, stawiał jednak na swoim.

Peter Fabjan (ur. 1938), choć wcześniej wypowiadał się na temat charakteru i temperamentu Thomasa (m.in. w długiej rozmowie na łamach „Kwartalnika” 62 (2/2009)), dopiero teraz, w dniu, w którym autor *Wymazywania* obchodziłby dziewięćdziesiąte urodziny, opublikował o nim książkę, w której spokojnie i taktownie uściśla to, co niecisłe, i prostuje to, co Bernhard poprzekręcał w *Autobiografiach* i innych fikcjach. *Moje życie u boku Thomasa Bernharda (Ein Leben an der Seite von Thomas Bernhard: Ein Rapport)* ukazało się w Suhrkamp Verlag, wydawcy większości olbrzymiego dorobku twórczego pisarza, w tym zakończonej niedawno edycji dwudziestu dwóch tomów dzieł zebranych.

Fabjan stał u boku – i w cieniu – brata przez całe życie. W ich relacjach nie brak spięć, nawet „zerwań”. Skłonny do kompromisu, towarzyszył Thomasowi na każdym etapie biografii i kariery, był *au courant*, stał obok. A począwszy od lat siedemdziesiątych wziął na siebie niewdzięczną rolę lekarza „domowego”. I, kiedy inni medycy dawali Thomasowi trzy lata życia, jemu udało się je wydłużyć o całe dziesięciolecie.

Trzydzieści dwa lata po śmierci brata wciąż jeszcze stoi obok. Założył międzynarodową fundację z siedzibą w Wiedniu, w jednej z wiejskich rezydencji Bernharda otworzył muzeum, był też współzałożycielem Archiwum Bernharda w Gmunden, odgrywa rolę mecenasa w licznych projektach.

Książka Fabjana nie jest ani biografią pisarza, ani autobiografią jego brata – towarzysza podróży, doradcy i antagonisty, nadwornego lekarza i przybocznego szofera – tylko dość luźnym – ale jakże pożytecznym – zbiorem zapisków i notatek. Rzetelnie i uczciwie komentuje życie Bernharda – oraz własne: „w związku” z Bernhardem.

Tylko tyle i aż tyle – a to już tyle, biorąc pod uwagę skalę dezinformacji w bernhardowskich wypowiedziach na temat rodziny. Książka uzupełnia brakujące ogniwa, koryguje pomysły krytyków, podając argumenty znane tylko naoczniemu świadkowi. Przede wszystkim

jednak wnosi ciepło i zrozumienie, nobilituje pobłażliwość wobec wybryków wielkiego autora. I nie odmawia mu prawa do ranienia innych, tłumacząc, że robił to z potrzeby – lub braku – miłości.

W krajach języka niemieckiego książka Fabjana osiągnęła wysoki nakład i doczekała się mnóstwa recenzji. Fakt, że w odróżnieniu od Thomasa, Petera styl nie ponosi, ma swoją wartość pozytywną, ponieważ pozwala przyrzeć się prawdzie faktów. Polska znajduje się w czołówce entuzjastów austriackiego mistrza wycinki i przesady, z tego powodu powinno się *Moje życie u boku Thomasa Bernharda* wydać także u nas.

W konkluzji książki padają słowa: „Przez Thomasa z czułością dręczony”... Czuły oprawca. W tę czułość trzeba Peterowi wierzyć na słowo.

Marek Kędzierski

## MIROSŁAW DZIENÍ

### Pomocnica

CNN pokazuje masowe groby  
w Nowym Jorku. Białe trumny  
w grafitowej ziemi. Widzimy

to z drona. Technika bliska  
śmierci – rzecz można jej  
pomocnica.

Bielsko-Biała 11.04.2020  
Wielka Sobota

### Tak samo

Listki powoju na kracie  
balkonu. Kwietniowe słońce ożywia  
umarłe. Wschodzi czułość. Zaraza  
wciąż blisko nas – w wiązkach  
wiadomości, w pąkach oczu

skulonych przez strach. Trwamy.  
Kosiarki nie dają spokoju trawie,  
tak samo jak życie wirusom.

Bielsko-Biała 28.04.2020

## Campo di Fiori, maj'20

Oglądam Campo di Fiori przez internetową kamerkę. Puste stragany, komandosi w maseczkach i Giordano w kapturze. Właśnie przejechała śmieciarka wzdłuż zamkniętych okien. Mężczyzna

z pieskiem szybkim krokiem opuszcza plac. Uliczne latarnie stoją jak stały, pokorne przeznaczeniu, wolne od zarazy.

Bielsko-Biała 1.05.2020

\*\*\*

Byłem narratorem Męki Pańskiej w pustym kościele przy sinym słońcu. Słowa łapały powietrze, dławiły się nim. Zapach nardu w prezbiterium blisko wykręconego mikrofonu. Jezusa znowu skazano (ile to już razy?). Mateusz z gracją zatacza kamień i stawia straż.

Byłem narratorem Męki Pańskiej w pustym kościele. Na ławkach przesuwiał się cień. Wirusy kłębiły się wokół nas. Całowały gwoździe, lizały światło wypowiedzanych słów.

Kilka dni później klęczałem na betonie za zamkniętymi drzwiami kościoła. Chłód szarpał policzki. Z krzyża tryskała radość.

Bielsko-Biała 3.05.2020

## W odpowiedzi na wiersz Michaela Krügera

W poprzednim numerze „Kwartalnika Artystycznego” (109) ukazał się wiersz pana Michaela Krügera pt. *Warszawa, marzec* w tłumaczeniu Ryszarda Krynickiego. Wiersz ten opublikowała wcześniej (21 listopada 2020 r.) „Gazeta Wyborcza” z rekomendacją niejakiego Andrzeja Zagozdy, z pewnością wybitnego znawcy poezji. Dzieło to w lekcji Tłumacza-Paula-Celana brzmi, jak następuje:

### Warszawa, marzec

Bóg w swojej nieskończonej dobroci  
stworzył małego człowieczka,  
pana K, który rozsiadł się na tablicy Sądu Ostatecznego  
i kontroluje rzeki w raju.  
Pan K jest tak mały, że jeśli  
chce się go właściwie zrozumieć,  
to trzeba się położyć na ziemi.  
Teraz w samym centrum miasta  
buduje sobie pomnik, z kurzu,  
pomyślany na całą wieczność,  
choć przecież musi wiedzieć,  
że wieczność już jutro przeminie.  
Pytanie, skąd bierze ten kurz,  
ten nieskończony szary kurz,  
który każe zapomnieć  
o Polski wielkości i blasku.

Nie ukrywam, że wiersz ten zrobił na mnie ogromne wrażenie – tak mocne, że zainspirował do poetyckiej repliki.



## Warszawa, kwiecień

*Michaelowi Krügerowi, niemieckiemu poecie,  
Ryszardowi Krynickiemu, jego polskiemu tłumaczowi  
i Krzysztofowi Myszkowskiemu, ich łaskawemu wydawcy*

Bóg w swojej nieskończonej mądrości  
stworzył i nadczłowieka,  
wielkiego pana Krü, co pragnie szczęścia maluczkich –  
zwłaszcza swoich malutkich, niezaradnych sąsiadów,  
którzy nie radzą sobie z kontrolą rzek w swoim kraju,  
skłonnych do wylewania.

Pan Krü jest tak ogromny i ma tak wielki umysł,  
że aby go zrozumieć, trzeba się unieść nad ziemię,  
a i wtedy nie zawsze pojmie się jego myśli.

Teraz w centrum Europy, nareszcie j e g o Europy,  
buduje sobie pomnik – pomnik trwalszy od spiżu,  
bo zbudowany ze słów – pełnych miłości i troski  
o swoich małych sąsiadów, jak zwykle tak nie-... to znaczy:  
n i e s z c z ę s n y c h, zagubionych, naiwnych, otumanionych.

Pytanie, skąd pan Krü bierze te wszystkie słowa –  
te pełne miłości słowa? – Czyżby dyktował mu je  
z zaświatów Pan Cogito – dawny jego przyjaciel?  
(Ten raczej, jak Marek Tulliusz, z jękiem przewraca się w grobie.)

A więc pewnie je bierze z tego szarego pyłu,  
który do dziś się unosi nad tą niewdzięczną ziemią  
i nie pozwala zapomnieć, że przecież kurz i robactwo,  
a zwłaszcza ludzką m a ł o ś ć tak łatwo można wytepić  
środkami chemicznymi, a przy okazji odzyskać  
oślniewający blask – blask niemieckiej wielkości.

*Antoni Libera*

## Odpowiedź na list Antoniego Libery w sprawie tłumaczenia *Bereniki*, opublikowany w 108 numerze „Kwartalnika Artystycznego”

Nie wiem, czy akurat ja powinienem wypowiadać się w tej sprawie, ale czynię to, ponieważ nikt inny tego dotąd nie zrobił.

Antoni Libera w jednym tylko ma rację: że opublikowane w numerze 107 (3/2020) „Kwartalnika Artystycznego” tłumaczenie fragmentu pierwszego aktu *Bereniki* Racine’a nie jest w całości, lecz tylko w części dziełem Wisławy Szymborskiej. Co do reszty się myli. Może wynika to z braku dobrej woli, może ze zwykłej niewiedzy, a może jednego i drugiego, bo jak się zdaje całą wiedzę o tej sprawie czerpie jedynie z internetu, a to zdecydowanie za mało, żeby móc wygłaszać kategoryczne opinie.

Po kolei:

1) Nie jest prawdą, że jest to „tylko przeróbka, zwana formalnie opracowaniem lub adaptacją oryginalnego tłumaczenia Kazimierza Brończyka”. Już z przytoczonego przez Liberę tłumaczenia Brończyka, w którym wyłuszczone są fragmenty zachowane przez Wisławę Szymborską w jej pracy nad tekstem sztuki wynika, że nie była to zwykła, stylistyczna przeróbka przestarzałego i miejscami naciąganego przekładu tego tłumacza, ponieważ znaczne partie tekstu *Bereniki* poetka musiała przełożyć na nowo.

2) Sprawa ta, wbrew temu, co pisze Antoni Libera, nie jest dobrze znana „znawcom Racine’a w Polsce”, w tym jemu samemu. Gdyby była mu dobrze znana, nie napisałby, że jest to „przeróbka z 1962 roku”. Gdyby nie opierał całej swojej wiedzy o sprawie na tym, co znalazł w internecie oraz na jednym zdaniu ze wstępu do wydania tragedii Racine’a w 242 tomie drugiej serii Biblioteki Narodowej (Ossolineum, 1997) – a zajrzał na przykład do archiwum poetki w Bibliotece Jagiellońskiej, wiedziałby, że Wisława Szymborska pracowała nad tekstem tej sztuki nie w 1962 roku, lecz trzy lata wcześniej, a konkretnie: w lutym 1959 roku, na zamówienie Marty Stebnickiej, która w imieniu Komitetu Dni Krakowa zaproponowała jej „gruntowne przepracowanie na scenę starego przekładu *Bereniki*”. Sztuka miała być wystawiona w krakowskim Barbakanie w ramach Festiwalu Dni Krakowa, do czego jednak nie doszło, ponieważ, jak pisze urzędnik z Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej w Krakowie, w odpowiedzi na list Szymborskiej, „nieoczekiwane trudności finansowe zmusiły Stowarzyszenie do odstąpienia od tego zamiaru”. Stowarzyszenie

Festiwalu Dni Krakowa obiecało jednak, że wypłaci poetce należne honorarium, nie wykluczało także wystawienia *Bereniki* w późniejszym czasie. Ostatecznie jednak wycofało się ze swoich obietnic, pod pretekstem, że zamówienie Marty Stebnickiej nie miało formalnego charakteru.

Sprawa wróciła po trzech latach, kiedy to wystawienia *Bereniki* podjął się Teatr Powszechny w Warszawie, w reżyserii Adama Hanuszkiewicza, który zresztą zagrał w tym przedstawieniu rolę Tytusa, a rolę Bereniki powierzył Zofii Rysiównej. Premiera sztuki odbyła się 10 lutego 1962 roku, i w programie teatralnym jako autor przekładu występuje Kazimierz Brończyk, a Wisława Szymborska jako autorka adaptacji (*notabene* internetowa Encyklopedia Teatru Polskiego udział Szymborskiej całkowicie pomija). Jak się zdaje, dopiero po premierze Stowarzyszenie Autorów ZaiKS podjęło się formalnego załatwienia sprawy i zaproponowało jej dwa procent tantiem za opracowanie przekładu. W swoim liście do ZaiKSu z 15 maja 1962 roku Wisława Szymborska wyraża zgodę na owe żalosne dwa procent, zastrzega jednak, że nie może zgodzić się na niższą stawkę, bowiem, jak pisze: „W rzeczywistości praca moja nad tekstem była bardzo gruntowna i gdyby nie mój spóźniony refleks, powinna bym była wystąpić właściwie o współautorstwo przekładu. Porównanie obu tekstów, jeśli ktoś naprawdę by sobie zadał ten trud – wykazuje to dość wyraźnie. Z tych roszczeń jednak rezygnuję”.

Mam nadzieję, że ktoś kiedyś opublikuje w całości ten przekład. Żeby to nastąpiło, dobrze byłoby jednak odnaleźć, jeśli się zachował, maszynopis Szymborskiej i porównać go z rękopisem, którego, wbrew swemu zwyczajowi, nie wyrzuciła do kosza i pozostawiła w swoich papierach.

Brak tutaj miejsca na dłuższy wywód, ograniczę się do jednego prostego przykładu. W tłumaczeniu Brończyka początek pierwszego aktu brzmi następująco:

#### ANTIOCH

Przystanijmy tu chwilę; pałacowe dziwy  
Nowe, widać, twym oczom, a cud to prawdziwy.  
Ściany onej komnaty ustronnej, wspaniałej  
Widzą często sekretne Tytusa zapały;  
Bo kiedy mu się uda ujść z oczu dworowi,  
Tutaj zwykł swoje serce otwierać królowej.  
Drzwi te wiodą do jego pokojów, tamtemi  
Zajść można do władczyni palestyńskiej ziemi.  
Idź do niej tedy; powiedz, że, natrętnie może,  
Proszę ją o poufne widzenie w pokorze.

Natomiast w wersji Szymborskiej (wzorem Antoniego Libery wytłuszczam zachowane przez nią partie przekładu Brończyka):

Przystańmy tu na **chwilę**. Cesarskie pokoje  
przepychem niezrównanym dziwią oczy twoje.  
Ta ustronna komnata, te wspaniałe ściany  
niejeden słyszą sekret tu wypowiedziany;  
tutaj z dala od dworu i [w] chwili sposobnej  
Tytus wyznaje miłość królowej nadobnej.  
**Te drzwi wiodą do jego pokojów. Tamtemi**  
wejść **można do władczyni palestyńskiej ziemi.**  
**Idź do niej tedy. Powiedz, że proszę w pokorze**  
**o poufne widzenie** – choć nie w porę **może**.

Nie zawsze, tak jak w tym przypadku, poetka musi tłumaczyć na nowo większą część tekstu, czasami dominuje stary przekład Brończyka. Niezależnie jednak, jak to wygląda procentowo, myślę, że Wisława Szymborska miała prawo uważać się za współautorkę przekładu, w którym grano *Berenikę* w Teatrze Powszechnym w Warszawie w 1962 roku.

*Ryszard Krynicki*

PS Tak się składa, iż w tym samym numerze „Kwartalnika”, w którym ukazał się list Antoniego Libery, znajdujemy też jego tłumaczenie, czy też (jak sam to nazywa) przekład *Fugi śmierci* Paula Celana. Nie chciałbym mieszać obu tych spraw i może napiszę o tym kiedy indziej. W każdym razie, tego, co Libera zrobił z *Fugą śmierci* nie można nazwać ani przekładem, ani tłumaczeniem. Niestety (jak mówi Antioch, schodząc ze sceny).

## Odpowiedź Ryszardowi Krynickiemu

Ryszard Krynicki przyznaje wprawdzie że „w jednym mam rację” – tj. że przeróbka czyjegoś tłumaczenia nie jest przekładem autorskim – po czym stwierdza, że „co do reszty się mylę”.

Przepraszam, co do jakiej „reszty”? Oczywiście, można założyć, że mylę się we wszystkim, o czym NIE mówię, ale udowodnić to byłoby trudno.

Moim celem było zwrócenie uwagi czytelników KA, że Redaktor Naczelny, podpisując przeróbkę tłumaczenia Szymborskiej jako jej „przekład”, wprowadza ich w błąd. I to wszystko, żadnej „reszty” w moim liście nie ma. Owszem, jest jeszcze reminiscencja mojej rozmowy z poetką, która źle wspominała cały tamten epizod i jednoznacznie oświadczyła, że jest z efektu niezadowolona.

Tymczasem R. K. snuje rozbudowaną historię tej adaptacji – jej zamówienia przez M. Stebnicką, pracy nad nią, niedoszłych realizacji itp. – jakby miało to cokolwiek wspólnego ze wskazaniem przeze mnie błędu. Owszem, historia ta ma związek z opublikowanym przez Redaktora fragmentem, ale jako potencjalne wprowadzenie wyjaśniające jego status. Ta historia mogłaby być opowiedziana – czy wręcz powinna – przy okazji *p r e z e n t a c j i* rzeczzonego ustępu i powinien to zrobić Redaktor albo osoba przez niego wskazana (np. biegły w sprawie R. K.). Rzecz w tym, że tego nie zrobił. Ale R. K. nie ma pretensji do niego, że zaniedbał wyjaśnić, tylko do mnie, że wykazuję uchybienie.

Zastosowany tu chwyt erystyczny polega na odwróceniu uwagi od zasadniczej i jedynej sprawy, jaką jest popełniony błąd, i stworzeniu wrażenia, że myli się nie ten, kto go popełnił, lecz ten, kto na niego wskazał. Proszę zwrócić uwagę, ile zarzutów stawia mi R. K.: brak dobrej woli, niewiedza, nikczemne korzystanie z internetu, ogólny brak kompetencji. Co więcej, nie są to wcale zarzuty, tylko pomówienia, bo żadna z tych „tez” nie jest ani udowodniona, ani w ogóle udowodnialna. Inaczej mówiąc, celem nie jest tu żadna „prawda” o jakimś stanie rzeczy, tylko zdezawuowanie przeciwnika. Chodzi o to, by przykleiło się do niego tych kilka łatek (w rodzaju „co do reszty się myli”, czyli we wszystkim, nieprawdaż?) i by tak zostało to zapamiętane przez publiczność. – Może i Naczelny się potknął, ale cóż to jest w porównaniu z beźmiarem ignorancji i złej woli jego krytyka!

Stare jak świat. I znane też z niedawnej przeszłości. Pytanie tylko, dlaczego wyrafinowany tłumacz Celana angażuje się w taką akcję i przeprowadza ją w taki sposób, w dodatku pół roku po publikacji?

*Antoni Libera*

## KAZIMIERZ BRAKONIECKI

## Widnoksiąż (3)

Pod koniec lat siedemdziesiątych czytałem z najwyższą uwagą wybór pism Jaspersa w opracowaniu R. Rudzińskiego. Przeniknęła ta lektura do mojego debiutanckiego tomu nie tylko cytatem, ale i chyba pewną koncepcją transcendencji-immanencji, która u tego egzystencjalisty jawiła się jako przejawy „szyfrów transcendencji”. Nie szukałem w wykładni potwierdzenia procesu umownego symbolizowania rzeczywistości, ale zwrotnej relacji konkret-symbol, co u mnie nazywało się konkretem metafizycznym, co pchnęło mnie do poetyckiej metafizyki doświadczalnej, czyli po-etyki świata realnego: immanentna fizyczność to jest zaszyfrowana transcendentna duchowość. Jaspers odrzucał kantowskie rozróżnienie na zjawiska i byty wsobne, na fenomeny i świat absolutny (substancjalny). Jest tylko jeden i to ten świat. Zaświat nie jest bytem absolutnym. Strasznie to dla mnie, byłego neoplatońskiego manichejczyka, katolicko-chrześcijańskiego gnostyka, było ważne. Być w pełni tu i teraz w doświadczeniu całym sobą i życiem; stawać się wewnątrz świata, interpretując ten świat jako zarazem indywidualny i całościowy, konkretny i symboliczny, fizyczny i metafizyczny bez tego nieszczęsnego podziału na tzw. duszę i ciało, materię i ducha. Zjawiskowość świata jest jego egzystencjalną esencją, a Obejmujące (*das Umgreifende, Englobant*), które ogarnia w sobie i sobą podmiot i przedmiot, jest zarazem światem i transcendencją. Egzystencja nosi w sobie transcendencję, która nie jest zaświatami, absolutem, Bytem, lecz komunikacją

pozwalającą na interpretację szyfrów (sensów) i momentów zwrotnych w dziejach jednostki i całej ludzkości. Sposób, w jaki pojedynczy człowiek doświadcza transcendencji jest tym samym, w jakim doświadcza samego siebie w swojej podstawie bytowej nad słuchującej, szukającej znaków inicjacyjnych (wielka rola poezji). Dlatego istnienie człowieka i istnienie transcendencji w równym stopniu wyrażone są szyframi. Tak to sobie dla siebie wyrozumowałem.

Sprowadziłem później trzy książki Jaspersa w wersji francuskiej: *La foi philosophique face à révélation*, *Introduction à la philosophie*, *Strindberg et van Gogh*. *Swedenborg*, *Hölderlin*. Jaspers startował jako psychiatra i może dlatego jego filozofia jest tak psychologicznie wnikliwa: Świat jest tajemnicą i każdy jest dla siebie samego tajemnicą. Szyfry transcendencji objaśniają głębię rzeczy. Nie są poznaniem. Ich prawda spoczywa w ich stosunku do egzystencji. Jako egzystencja nasza myśl porusza się przez przedmioty, które nazywamy szyframi nastawionymi w stronę transcendencji. Ale szyfry te to nie są przedmioty, rzeczy, fakty, chociaż ich treść często uchodzi za należącą do świata rzeczywistego. Szyfry nie są nigdy rzeczywistością transcendencji, lecz możliwym jej językiem. Szyfrem było kiedyś wcielenie Jezusa, a teraz to objawienie nie jest już objawieniem. Szyfry boskości: Jedyny Bóg, Bóg osobowy, Bóg-człowiek. Szyfry istnieją, działają jedynie dla kogoś, kto jest osobistym i wierzącym ich interpretatorem. Jedynie wolność odnosi się do transcendencji. Szyfry ujawniają to, co pojawia się jak egzystencja. Przekraczanie szyfrów to doświadczenie mistyczne: podmiot/przedmiot; Bóg i człowiek; świat i człowiek zlewają się w Jedno.

Jezus został unicestwiony jak Sokrates, ponieważ brutalna prawda jest nie do zniesienia: tak, Jezus był nie do zniesienia dla obrońców władzy, ponieważ ujawniał ich straszne niesprawiedliwości. Nie do zniesienia dla nas, gdyż nie zajął się polepszaniem warunków życia, ustanawiając się królem, nie obiecał szczęścia na ziemi: dlatego masy wołały od niego Barabasa.

Panteizm: wszystko jest Bogiem, Bóg jest wszystkim.

Teizm: Bóg osobowy interweniuje, kieruje, działa w świecie.

Deizm: Bóg poza światem, który stworzył, nie interweniuje.

Panenteizm: Bóg jest poza światem, ale działa i objawia się w każdym bycie świata, jest wewnątrz i na zewnątrz świata, jest transcendencją immanentną. To chyba mój obecny pogląd, przy czym taki Bóg nie jest ani osobowy, ani miłosierny, jest Zasadą kosmogoniczną. Taki Bóg nie jest historyczny: nie zbawia ludzi ani narodów. Jego działanie nie jest moralne w naszym rozumieniu, lecz ontologiczne. Wydaje się nam ono przypadkowe, chaotyczne, irracjonalne, tragiczne. Ale to jest nasz osąd. Taki Bóg nie ma celu ani wybranego przedmiotu działania. Staje się wszystkim, będąc niczym.

„Wielkość człowieka zasadza się dokładnie na tym, kim on się staje, doświadczając sytuacji granicznych”.

„Filozofować to być w drodze. Pytania w filozofii są bardziej istotne niż odpowiedzi i każda odpowiedź staje się nowym pytaniem. Jedynie doświadczenie osobiste zezwala na spostrzeżenie tego, co może znaleźć filozofia w świecie”.

„Dowody i ich zaprzeczenia wskazują tylko to: Bóg dowiedziony nie jest Bogiem, bo stałby się jedynie pewną rzeczą w świecie”.

Absolut/Bóg nie jest bytem, ale moją decyzją, z którą identyfikuję się w pełni. Bóg i wolność są nierozłączni, bo najwyższa wolność odnosi się do wolności: im bardziej człowiek jest naprawdę wolny, tym bardziej jest pewny Boga. Kiedy jestem rzeczywiście wolny, to jestem pewny, że istnienia nie zawdzięczam sobie/ że się sam nie stworzyłem.

Prawda pojawia się, kiedy są dwa podmioty, dwie osoby; tylko w komunikacji istnieje życie i sens. Filozofia znajduje swój sens w terażniejszości. Jest tylko jedna realność: tu i teraz. Każdy dzień jest cenny, chwila może zdecydować o *wszystkim*.

„Jednostka tylko wtedy jest w pełni wolna, jeśli otoczona jest wolnymi ludźmi”. Jako kontrast zapisuję rozważania o buddyzmie S.-Ch. Kolma (*Le bonheur-liberté*, 1982): „Według Buddy nie ma znaczenia dla twojego nieszczęścia lub szczęścia fakt czy wierzysz, czy nie wierzysz w Boga. Zajmij się sobą. Bóg jest niewinny. Zajmij się swoją psychiką. Strzała, a nie tym, kto ją wystrzelił. Nikt nie może być zbawiony/ocalony przez innego”.



## STEFAN CHWIN

### Dziennik 2021 (2)

Czwartek, godzina 20.53. Samotny wędrowiec

Siedzimy przy wigilijnej wieczerzy, a mnie ta sprawa ciągle gryzie. My w ciepłe, przy wysokiej choince, iskrzącej się od bombek, on w zimnie, po drugiej stronie ulicy, pod wiatą od rowerów.

– Odłóż coś dla niego – mówię do K. – Ona kiwa głową, ale zajęta ustawianiem kolejnych dań na wigilijnym stole, wyraźnie odkłada sprawę na później. A kiedy Wigilia się rozkręca, kiedy mała Ola wpatruje się w stare bombki z czasów dzieciństwa jej ojca, cała sprawa znika, roztapia się, jak śnieg w ciepłe żartów i naszej gadaniny. Są wszyscy: obaj synowie – Marcin i Adam – Magdalena z Olą i my, siedzimy przy dużym, owalnym rozłożonym stole, na którym, a jakże, dwanaście, a nawet więcej potraw. K. w czerwonej sukni, my odświętni, w garniturach, podawanie talerzy, widelców i rozlewanie kompotu z jabłek, gruszek i śliwek, smakowanie sałatki z gotowanych warzyw, którą wczoraj zrobiliśmy z Adamem, dzielenie się opłatkiem przy dźwiękach „Mazowsza”, kosztowanie śledzi po wileńsku i w occie, smażonego karpia, pstrąga w galarecie, specjalność, z której K. może być dumna, ależ to wszystko dobre, mocne, krzepiące – przysypuje tę obecność za oknem, po drugiej stronie ulicy.

Śmieszność katolickiej obłudy, w której się wychowaliśmy, zostawiając przy stole miejsce dla samotnego wędrowca, ale w żadnym polskim domu katolickim nie widziałem nigdy na tym miejscu rzeczywistego samotnego wędrowca, którego ktoś by naprawdę zaprosił z zimna na ciepłą wigilię.

– Odłóż coś dla niego – powtarzam do K., ale wigilia nas zatapia uczuciem spokojnej sytości. Teraz Ola wchodzi pod choinkę i spod kolczastych gałązek wyciąga prezent po prezencie, odczytując nasze imiona wypisane flamastrem na kolorowym papierze. Jeszcze jesteśmy w stanie zapełnić miejsce pod choinką stertą pudeł, pudełek i paczek, które K. i A. przygotowali wczoraj dla wszystkich. Każdy dostaje po kilka prezentów, rozpakowywanie jest całym rytuałem odgrywanego zdziwienia, zachwytu, radości, bo naszą publicznością jest mała Ola, dla której prezenty przywozi w latających srebrnych saniach św. Mikołaj, a tam, po drugiej stronie ulicy Rakocznego, pod szklaną wiatą dla rowerów, leży samotny wędrowiec na dmuchanym materacu pod warstwą brudnych koców i kołder, którego przyprósza na biało sypiący ukośnie, wigilijny śnieg.

Ogarnia nas senne zmęczenie, wigilijny spokój, leniwie rozmawiamy o wszystkim, co nas łączy i oddala, dania słodkie K. rozstawia na białym obrusie, chińska zastawa, talerze z ryżowymi plamkami słońca, kluski z makiem i roźdzynkami, a on tam leży po drugiej stronie Rakoczego, co mi trochę doskwiera, chociaż mogę sobie powiedzieć, że przecież inni też mu pomagają, więc ja teraz wcale nie muszę.

Moja chęć zaniesienia czegoś z naszego stołu bezdomnemu z drugiej strony ulicy Rakoczego, wcale nie budzi entuzjazmu. – Kto tam leży? – pyta nas Ola – ale zbywamy gadaniną to pytanie jakbyśmy chcieli, żeby sprawa znikła, bo po co dziecko ma o tym wiedzieć, że pod rowerową wiatą leży obsypany śniegiem stary, bezdomny człowiek w wełnianej czapce.

Wcale nie chcemy, żeby ta sprawa zabrudziła nam wigilię, która powinna pozostać czysta jak świeżo odprasowany obrus na naszym owalnym stole. I tak mijają godziny w ciepłe, a moje postanowienie, by wyjść na mróz, roztopia się w miłej atmosferze, która nie potrzebuje niemiłych incydentów.

Dopiero następnego dnia, w pierwszy dzień Świąt, po obiedzie, udaje nam się zmobilizować dobre chęci. – Adam mówi: – On by wołał coś mocniejszego niż resztki ze świątecznego stołu. Daj mu! – Pewnie to prawda, ale K. mówi: – Jemu pewnie tam zimno, więc zaparzę mu gorącej herbaty w słoiku. – Do plastikowego pudełka wędruje opłatek w bibułce, trochę sałatki jarzynowej, śledź po wileńsku, ciasto, kluski z makiem, pomarańcza z naciętą nożem skórką. K. owija płócienną ściereczką słoik pełen gorącej herbaty, żeby nie wystygła po drodze, bo robi się za oknem coraz zimniej.

– Pójdę z tobą – mówi do mnie K. – Nie, zostań. Pójdę sam – odpowiadam pakując do torby plastikowe pudełka i słoje gorącej herbaty. – Dokąd idziesz, dziadek? – pyta mała Ola, ale znowu zbywamy jej pytanie, jakbyśmy chcieli, żeby dziecko nie było zaplątane w tę sprawę – wstydliwą – dlaczego właściwie wstydliwą? Ale właśnie jakoś dziwnie wstydliwie gaśnie ta sprawa w naszej gadaninie.

– A czy on ma łyżkę, widelec, nóż? – pyta K. – Ma, ma – odpowiadam. – Sam widziałem, że ma – ale do pudełka i słoika na wszelki wypadek K. dodaje białe plastikowe nóż, widelec i łyżkę.

W korytarzu zapinam się pod szyję, ciepły szalik, gruby płaszcz, czapka z daszkiem, na twarz maska covidowa, potem zjeżdżam na dół windą. Na ulicy pustka, chuchnięcie mrozu w twarz, nie ma nikogo. Domy szczelnie zamknięte, jak pojemniki pełne choinkowego światła, okna zamknięte, na balkonach tandetne świetlkowe iluminacje pulsują i gasną z paskudną monotonią, ale ja jeszcze nie przechodzę na drugą stronę ulicy, tylko skręcam do całodobowego. Kupuję piersiówkę zębówką, chowam do kieszeni.

Godzina piąta po południu, ciemno, na ulicy Rakocznego nie ma ani jednego auta. Przechodzę po pasach, skręcam w lewo, podchodzę do wiaty. Jest tam, czy go nie ma? Ostrożnie zaglądam pod szklany dach. Widzę: leży pod kupą kołder, gałganów, płatów folii, papierów, szmat, które mają go osłaniać przed śniegiem. Cała wiatą pełna pakunków, worków, paczek, puszek, on leży na wznak zagrzebany pod kupą kołder i patrzy w niebo. A niebo bez jednej gwiazdy, zaciągnięte chmurami, tylko poświata miasta je od dołu różowi.

Podchodzę bliżej między pakunkami. – Zjesz coś? – pytam. Do diabła, co jest? Postanowiłem mówić do niego „Pan”, bo to żaden mój ziomek, dlaczego więc od razu go tykam? – Coś odpowiada, ale niewyraźnie. – Żubrówki się napijesz? – Podrywa się z kołder, ma rozwianą białą brodę, wełnianą czapkę na głowie, policzki sino-czerwone, oczy zmrużone, z białymi rzęsami, piersiówkę chwyta od razu w rozczapierzone palce i chowa ją pod puchową kurtkę. – A herbaty gorącej chcesz? – pochylam się nad nim. Kiwa głową, coś mamrocze, odwijam szmatkę płócienną, podaję słoik z herbatą. Parzy w palce! Od razu wyciąga spod gałganów czarny termos, przelewa herbatę ze słoika. – A zjadłbyś coś? – Przelewając gorący płyn, wymrukuje: Daj! – Podaję, bierze, odkłada, a tu widzę, że pod ścianą wiaty ma kilkanaście rozgrzebanych paczek ze świątecznym jedzeniem. Ciasta, pomarańcze, banany, batony, czekolady, soki owocowe, wafle! A więc, inni mu też przynieśli? Z okna nie widziałem nikogo. Drobnie rozczarowanie, że nie jestem jedynym, który udziela pomocy? – No, trzymaj się – mówię do niego. Nie zimno ci? – coś tam odmrukuje, wychodzę spod wiaty, mijam kosz na śmieci, a w koszu aż się piętrzą porozdzierane pakunki ze świątecznym jedzeniem, którego on nie jest w stanie skosztować, tak tego dużo dostał od ludzi.

Wracam do mieszkania. – I co – pytają mnie A. i M. – Nic. Wziął wszystko, a czy zje – nie wiem, bo mu ludzie dużo naznosili. Ale żubrówkę wziął od razu. – To ty mu żubrówkę dałeś? – dziwi się K. – A żubrówkę. Wyglądał na zadowolonego – Ola patrzy zdziwiona: – O kim oni mówią? – Ale nie wyjaśniamy.

– Wiesz – K. dokłada sobie sałatki na kobaltowy talerz – przecież to chodzi przede wszystkim o nas. Robimy to dla siebie. Prawda? – To prawda. K. ma rację. W gruncie rzeczy chodzi przede wszystkim o nas. I żeby się trochę wywyższyć nad innych? Bo ilu mu daje, a ilu nie daje? No, przecież większość nie daje.

Większość siedzi teraz w ciepłe przy świątecznym stole i ma gdzieś starego bezdomnego, który leży po drugiej stronie ulicy przysypany proszącym śniegiem i patrzy w niebo. Wywyższyć się? A niby czemu nie, jeśli wywyższenie sprawiedliwe? Zrobić coś, czego nie potrafi i nie chce zrobić większość? Zawsze w życiu kierowałem się tą zasadą. Zrób coś, czego nie chce czy nie potrafi zrobić większość. Udowodnij sobie, że umiesz i chcesz zrobić coś, do czego większość nie jest zdolna.

Od dziecka Ignąłem do mniejszości, najlepiej czułem się jako mniejszość, bo właśnie dobro i piękno jest po stronie tych, którzy są nieliczni? A większość jest zawsze nieciekawa, chociaż jest skałą i korzeniem naszego bytu na Ziemi? I bez niej byśmy sobie nie poradzili?

Środa, godzina 4.32. Siedemdziesiąt dwa

... a więc siedemdziesiąty drugi sylwester. Ładnie, nie ma co! U nas, na Morenie, na dziesiątym piętrze naszej betonowej wieży. A więc jednak udało nam się dojechać do tej stacji.

Nie wychodzimy z domu, covidowa godzina policyjna od 19.00 do 6.00, ale po co mielibyśmy wychodzić z domu? Za oknem rozbłyski, fontanny ognia na czarnym niebie nad zatoką, iskry zielone i czerwone – jak co roku.

Siedzę przy komputerze i kadruję zdjęcia do dziennika i książki o Gdańsku. Słyszę, jak K. mówi do siebie:

– O, nie! Żadnej depresji! W takich ciuchach nie będę! – Po paru minutach wchodzi do pokoju przebrana, mówi: „Zapnij”, jest w kremowej sukni balowej z liśćmi tataraku i kwiatami, w której była w zeszłym roku na balu w Villi Eva, gdzie świętowaliśmy nowy rok. Ależ to zbiegło – pstryk i znik!

Zaciągam suwak. K. układa suknię na biodrach, jest w butach starodawnych, czarnych, z guziczkami, które dostała od Oli P.

– Zrób mi zdjęcie – prosi.

Biorę komórkę, robię zdjęcie. Owalny stół, nakryty szydełkową serwetą, płonąca świeca, szopka z drewnianych figurek, którą dostaliśmy od Mamy, patera szklana z kawałkami babki cytrynowej, dwa zielone kieliszki do wina, dwie szampanówki, talerze, talerzyki, porcelanowa deseczka z gotyckim napisem, którą K. przywiozła z Tallina. Marmurowy aniołek czytający książkę. Szklana kula z pozytywką od Darka i Andrzeja, w szklanej kuli śnieg i dzieci na sankach w czerwonych czapczkach. Korzenne przysmaki, które upiekła Magdalena. A w kącie choinka, rozświetlona, wielka, sięgająca czubem bombkowym do samego sufitu, pod sufitem na ciemnej belce wokół całej kuchni światła kolorowe, w przedpokoju na belkowaniu z obrazem wigilijny jarmark, który urządziliśmy z myślą o małej Oli.

Na zdjęciu w komórce roześmiana K. stoi przy stole z uniesioną szampanówką. Rozsyłamy zdjęcie do Olków krakowskich, do znajomych, do rodziców Magdaleny, do rodziny z Wyszogrodu. W zamian dostajemy podobne zdjęcia z wielu odświętnych mieszkań – razem z życzeniami.

A potem tańczymy. Ja w granatowym garniturze, w białej koszuli z czerwoną muszką, którą dostałem od Krysi Janiszewskiej. K. w swojej sukni kremowo-

-tatarakowej. Gra nam radio „Pogoda”. Przeboje Presleya, Chubby Checker, tanga argentyńskie.

Tańczymy sami w pustym mieszkaniu, a za oknem błyski, grzmoty i wystrzały sylwestrowe, tańczymy i tańczymy, aż K. mówi: – Muszę odpocząć. – Więc odpoczywamy, a potem znowu tańczymy. Ciągłe widzę przed sobą tę dwudziestoletnią dziewczynę z jasnymi włosami, na której punkcie dostałem bzika. Właśnie w przeświadczeniach Internetu znalazłem jej zdjęcia sprzed pięćdziesięciu lat i choć nic się nie zmienia to, co jest w nas, jest dobre, dziecięce! K. uśmiecha się. Boże drogi, tyle lat, ani jednej sekundy znudzenia, ciągle między nami iskrzy, ciągle zaczepki, dotknięcia, żarty, dobre słowa, bliskość, choć i niedobre rzeczy się przydarzają, ale po cóż o nich teraz – przy sylwestrze!

K. wyjmuje szampana z lodówki, ale ja mówię: – Nie nalewaj mi! Nie mogę – Od dwóch lat jestem wegetarianinem z przymusu. Lekarz każe – żadnego alkoholu, ani kropli, żadnego mięsa, sama trawa, ledwie wytrzymuję, bo od dziecka byłem zachłannym mięsożercą.

– Ach, wiesz – prosi K. – ja też całego szampana nie wypiję. Zostawmy go na przyszły rok.

– Przyszły rok? Czy w ogóle będzie przyszły rok? – Ale mówię: – W przyszłym roku, tak jak zawsze przed balem, wypijemy z Paprotkami, Krasowskimi, Drożyńskimi może w Villi Eva. To schowaj z powrotem do lodówki.

K. nalewa do szampanówek białe wino, ja do swojej wlewam trochę wody.

Włączamy telewizor z odliczaniem. Na ekranie Bajm, Doda i Rodowicz.

– Okropne – mówi K. Śmiejemy się z tandety sylwestrowej, która wcale nam nie przeszkadza. Z kieliszkami w rękach czekamy na północ.

Nowy Rok wybucha za oknami spazmem tryskających w powietrze iskier. Powietrze drży. Dzwonimy do Marcina, Magdaleny i Oli, do Adama.

Spełniamy toast. Obejmujemy się. Przytulamy. Płacemy jak dzieci.

Sami. W pustym mieszkaniu.

### Niedziela, godz. 19.42. Nieprzenikniona Tajemnica

Prawdziwą świętość ducha osiągamy, gdy w głębokim wzruszeniu na widok nieprzebranego ogromu świata wypowiadamy szeptem najświętsze słowo ludzkiego języka „Nie wiem”, które zatrzymuje nas na progu Tajemnicy, ale nigdy go nie przekracza, wiedząc, że każda wiara Tajemnicę zniekształca.

Żeby poniżyć ludzi inaczej myślących i umieścić się ponad nimi, oni używają takich słów jak „płytki agnostycyzm”. Tymczasem przy prawdziwym obcowaniu z Tajemnicą każda głęboka wiara okazuje się nieskończenie płytka.

Bo robi wszystko, żeby zabić w sercach ludzi najświętsze słowo „nie wiem”, choć to tylko ono otwiera nas na Tajemnicę. Nieprzeniknioną Tajemnicę zastępuje natarczywą, nieznoszącą sprzeciwu Opowieścią, pełną snów, promieni, grzmotów i obrazów.

Kochankowie Opowieści wmawiają sobie, że stają w obliczu Tajemnicy, tymczasem naprawdę stać w obliczu Tajemnicy, to nie znać żadnej odpowiedzi na pytania podstawowe, być zatem otwartym na nieskończoną tajemnicę bez żadnych narracyjnych ograniczeń. Prawdziwie stać w obliczu Tajemnicy znaczy nie wiedzieć, co to jest Wszechświat i co to jest Materia, czy Wszechświat powstał kiedykolwiek, czy raczej istniał zawsze i nigdy nie przestanie istnieć, czy jego istnienie ma jakiś cel, czy raczej ono samo w sobie jest swoim celem i nie należy szukać dla niego jakichś uzasadnień poza nim samym. Obcować z Tajemnicą to zupełnie nie wiedzieć, czym jesteśmy we Wszechświecie, nie wiedzieć, czy istoty do nas podobne istnieją gdziekolwiek poza Ziemią, nie wiedzieć, czy jako gatunek będziemy istnieć na Ziemi długo, czy też za jakiś czas zupełnie znikniemy, a nasze miejsce zajmą inne gatunki, może od nas lepsze, może gorsze, czy po śmierci przedostaniemy się na drugą stronę, czy też żadnej drugiej strony nie ma. Jedno wiemy z całą pewnością, bo astronomia nie pozostawia wątpliwości. Ziemia, na której żyjemy, jest śmiertelna, bo jej gorący rdzeń kiedyś wygaśnie tak, jak kiedyś wygaśnie Słońce.

Utrzymywanie w sobie odwagi stania w obliczu niczym nieprzesłoniętej Tajemnicy jest najpiękniejszym doświadczeniem życia. Dusze poczciwe chowają się w ciepło Opowieści. Dusze odważne tego nie potrzebują. Cieszy je życie w blasku Tajemnicy nieprzeniknionej. Wieczne zawieszenie w pytaniu bez odpowiedzi. Kto naprawdę obcuje z nieprzeniknioną Tajemnicą, nie czuje przerażenia, lecz uczucie niewysłowionej wzniosłości i dumy, że należy do ludzi prawdziwie dorosłych, którzy potrafią obywać się bez żadnych Opowieści, choć mogą je podziwiać jako wspaniałe wytwory ludzkiego ducha.

Żyć ze słowem „nie wiem” w sercu, najświętszym słowem ludzkiego języka, w niczym nie przeszkadza nam żyć na Ziemi uczciwie, godnie i pięknie, nie krzywdząc innych, a nawet im pomagając. Właśnie blask nieprzeniknionej Tajemnicy zachęca nas do takiego życia, by wielkiej, wspaniałej Niewiadomej przeciwstawić własną formę życia, które nie potrzebuje żadnych uzasadnień, żeby być dobre.

Jest tylko jeden kłopot. W chłodnym blasku nieprzeniknionej Tajemnicy potrafi żyć tylko niewielu ludzi. Reszta musi się karmić taką, czy inną, Opowieścią. Nie jest to zresztą żadna tragedia. Chcą się karmić Opowieścią, mają prawo. Prawdziwa tragedia zaczyna się w chwili, gdy ci, którzy muszą się karmić Opowieścią, bez tego nie potrafią żyć, zmuszają tych, którzy nie muszą się karmić Opowieścią, do karmienia się Opowieścią. Zdarzało się to już niejedną raz w ludzkiej historii.

Tragedią jest to, że ci, którzy się karmią Opowieścią, jeśli widzą człowieka, który potrafi żyć bez karmienia się Opowieścią, widzą w nim zagrożenie, dlatego czasem nawet zabijają go za to, że potrafi żyć bez karmienia się Opowieścią. Nie mogą mu tego wybaczyć. Bo skoro on umie żyć bez Opowieści, może Opowieść nie jest Prawdą, do czego nie można dopuścić.

W normalnym świecie ci, którzy muszą karmić się Opowieścią, potrafią zgodnie żyć obok tych, którzy nie muszą karmić się Opowieścią, bo wolą obcować z nieprzeniknioną Tajemnicą bez narracyjnych ograniczeń, której nie przesłania żaden haftowany gobelin Opowieści. Tylko czy taki świat kiedykolwiek, gdziekolwiek istniał? Czy kiedykolwiek powstanie? Czy jest w ogóle możliwy? I dlaczego tych, którzy potrafią żyć bez Opowieści w chłodnym blasku nieprzeniknionej Tajemnicy, jest zwykle dużo mniej od tych, którzy nie potrafią tak żyć?

Niedziela, godz. 2.43. Gdzie ona się znajduje?

Dzisiaj przy śniadaniu gadaliśmy sobie o naszej podróży do Meksyku i smakowitym epizodzie, który nam się przydarzył w sławnym mieście Guadalajara na meksykańskim uniwersytecie.

Zawieziono nas tam wcześniej, jakiś kwadrans przed dziewiątą rano. Spotkanie ze studentami miało być o dziesiątej. Staliśmy na nagrzanym, betonowym balkonie betonowego pawilonu w porannym słońcu, patrząc na dziedziniec z wysokimi palmami. Po drugiej stronie ulicy, za paroma kaktusami saguaro, na parkingu, stał żółty bus dowożący dzieci do szkół, taki sam, jaki widzieliśmy z okna hotelu w Dallas, kiedy jeździliśmy z Adamem po Stanach.

Do sali na pierwszym piętrze zeszło się około stu studentów i studentek meksykańskich z różnych kierunków. Przez godzinę mówiłem im – tak jak mnie poproszono – o Polsce i współczesnej polskiej literaturze. Przedemną, w pierwszym rzędzie krzesel, siedziało kilku meksykańskich profesorów oraz przedstawicielka polskiej ambasady, która czuwała nad wszystkim. Przy stole obok mnie siedziała K.

Po wykładzie przyszła kolej na pytania. Po dłuższej chwili ciszy jeden ze studentów podniósł rękę.

– Proszę bardzo, proszę pytać – zachęciłem uprzejmie.

Student był śniady, krępy, z lekka przygarbiony, trochę podobny do Maradony, w przyciasnych, poszarpanych džinsach, z czarnym czubem włosów, w tiszczycie z białym nadrukiem „Club Leones Negros de la Universidad Guadalajara” na piersiach.

Rozejrzał się po sali z dziwnym uśmieszkiem, jakby szukał dla swojego zachowania aprobaty kolegów i koleżanek. Podobne uśmieszki dostrzegłem na wielu twarzach, dalszych i bliższych.

– Proszę pana – powiedział student – pan tak dużo mówił o Polsce. Ale – jego uśmiezkowi towarzyszyły zmrużone oczy – czy może nam pan powiedzieć, gdzie się ta Polska znajduje?

Po jego słowach wśród studentów zabrzmiały ciche śmiechy, tłumione dłonią przykładaną do ust.

– Czy ta Polska – kontynuował student, lekko pochyliwszy się do przodu, z rękami na oparciu krzesła – Czy ta Polska, o której pan mówił, jest częścią Rosji?

Przedstawicielka ambasady powiedziała coś cicho do jednego z meksykańskich profesorów, który szybko wyszedł z sali, po czym wrócił z wielką, zrolowaną mapą pod pachą. Mapę rozwinął i zawiesił na metalowym stojaku obok czarnej tablicy, na której wypisano kredą po hiszpańsku tytuł mojego wykładu. Była to duża mapa świata. Obie półkule, wszystkie kontynenty i wszystkie oceany.

Wstałem zza stołu i podszedłem do mapy. Nie było na niej zaznaczonych państw, tylko morza, góry, rzeki, wyżyny i równiny, pustynie i bagna, więc palcem wskazałem miejsce pod maleńką, niebieską plamką Bałtyku.

– O, tu, proszę państwa, tu jest Polska, z której do państwa przyjechałem. Tutaj, dokładnie w tym miejscu – dotknąłem mapy czubkiem paznokcia. – Polska nie jest częścią Rosji, tylko niepodległym państwem. Znajduje się w Europie.

– Ale gdzie? Za Uralem, czy przed?

– Przed. Jak patrzeć od strony Paryża i Berlina to przed.

Student skinął głową, po czym usiadł, rozglądając się dumnie po sali. Potem nastąpiły kolejne pytania. Polska współczesna, z której boeingiem 707 przyleciałem do sławnej Guadalajary, nie interesowała ich zupełnie. Pytali tylko o Polskę komunistyczną. Chcieli wiedzieć wszystko o cenzurze w PRL. Jak działała, czy była ostra, co robili pisarze w komunizmie, jak sobie z radzili z cenzorami. To ich ciekawiło.

Po paru minutach wyczułem, że wściekle nienawidzą swojego, meksykańskiego rządu, który uważają za podłą dyktaturę, wrednie tłumiącą wolność słowa.



KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

## Fragmenty murów obronnych (7)

Jej oczy patrzące na mnie, zaciekawione, badające, uważne. Nasze groby są w niebie, tam jesteśmy, na dobre i na złe.

Kim byłbym bez ich słów i milczenia, zagrzebany w pustce dni i nocy, poraniony i zostawiony na pośmiewisko diabłów. Niemy, w niemocy, bez miłości. Na bezludnej wyspie król ciszy i samotności, wypatrujący okrucich z nieba. Wśród iskier, błysków i promieni, w ciemności, w szarości, w blasku.

Szczałki wydobywane ze schowka, skarby wyrzucone na brzeg. Ożywiające drobiny. Z chaosu do spełnienia, w wiązках i smugach lśnień, wystawiony na próbę, w tym świetle, jak w domu.

I nie obłąd, rosnący, ale spokój wśród słów, które przychodzą i lokują się w środku, dodawane do siebie i usuwane, z obrazami drogi przed sobą. Służenie im i radowanie się, nie welon żałobny, pogrzebowe *funebre*.

Głowa jest jasna, coraz bardziej jasna, jakby już była gotowa, przygotowana. Gdy opuszcza go duch, wszystko obraca się w proch. Dlatego nie tańczy, jak grają, i nie mówi, jak chcą, nawet nie udaje. Uczą, jak trzymać się z daleka. Zastawiają sidła, obmyślają zasadzki i czekają. Chcą, żebym skończył, żeby to już się skończyło, te historie bez nich na pierwszym planie, choć przecież z ich udziałem.

W nowych ograniczeniach rzadko wyruszam dalej. Wychodzę, gdy nie ma deszczu i chodzę utartymi szlakami, z coraz większą przyjemnością i upodobaniem, a może też pożytkiem. Dlatego będę ciągnął to dalej, po ich śladach, moich i ich.

Omijając rafy i mielizny, przechodząc przez cieśniny i przesmyki, w każdym razie nie zawracając i nie cofając się, twardo do przodu, bez odwrotu. W setkach prób, wśród wichrów i nawałnic, ze słowami, które mam, z nimi i z nadzieją, że najlepsze dopiero będzie.

Klejąc kolejną końcówkę i po raz kolejny zaczynając od poprzedniego lub nowego miejsca. Między tym, co zostało, krążąc tam i, dziękując każdego dnia jak za wielki dar. Pozbywając się, tracąc i raz po raz znajdując, aż do zaniku, gdy już zamilknie lub ja stanę się nim, milczący.

W ponawianych obrotach, jak w kołowrocie, w nawrotach, okrążeniach i znowu na wprost, do przodu, sam, z nim i z nimi, w jednym kierunku. W mysiej dziurze lub w kabinie kosmicznej rakiety mknącej w dal. W pustce i nie w pustce, w powiśnięciach i nie w powiśnięciach, w zamknięciu i nie w zamknięciu, w małym i w wielkim, w stworzonym i w niestworzonym, w wyobrażonym i w niewyobrażalnym.

Badając rdzeń i sens, dociekając.

Czy może zniknąć pustka? I czy nic może stać się mniejsze, choćby nie wiadomo jak było rozprzestrzenione? Czy może istnieć próżnia, gdy w niej jeszcze jest coś, najmniejszego? Czy mogłoby powstać nic z drobin mniejszej niż ziarnko?

Czy można pytać na próżno? I czy można na próżno odpowiadać?

W jakim duchu i rygorze?

Jak w tunelu, który nagle kończy się światłem, tak jak nagle zaczyna się ciemnością. W czerni, przekręcanej na opak, w głosach, w liniach i w kawałkach, odwróconych na drugą stronę. Zmienionych czy przemienionych? Łączących się czy oddzielonych od siebie, odrzucających się i rozdzielających, z jednej strony słabnących i zanikających i z drugiej silniejszych i wzmocnionych lub z innymi przeobrażających się i tak ustalonych, żeby nie były zanadto rażące, mimo wszystko.

Gasnące i żyjące w ukryciu, świecące i wyrzucone na zewnątrz, osobne i obecne w innych, służące im, pomagające i psujące szyki, rozsiewające się i siejące, jakby z nową mocą. Na dobre i złe, na gorsze i lepsze, na najlepsze i najgorsze, obficie i szczerze. Z pustki jak z ciemnego wora, wywinięte niczym ze świetlistego rąbka, na świat.

Gdy zamyka oczy, widzi szarość, która zaraz zmienia się w ciemność i migające w niej błyski. I gdy otwiera, od razu jest światło, rosnące, rozlewające się wokół i płynące z góry. I to co widzi przed sobą, znane od dzieciństwa, takie jak wtedy i inne.

Czy zniknie, gdy to się skończy? Czy jest ze sobą powiązane, a jeśli tak, to jak? Czy w pewnej chwili zostanie zabrane, bez odwołania? I zjawi się na ich miejsce coś innego, jeszcze bardziej wspanialszego i potężnego. Coś lub ktoś.

Katowane i krzyżowane każdego dnia, w szale i w obłędzie, wykręcane, zniekształcane, zdeptywane, jakby już nie były sobą, udręczone, wzgardzone i opuszczone. Skruszone na miazgę, suche i sypkie jak popiół. W męce przekazujące, co mają do przekazania, zamknięte w blokadzie, jak w okrążeniu. Nie w prawie, nie na swoim, pełnące po bagnisku, kryjące się wśród obcych, bez zasięgu. Zamskowane, fałszywe i w sztucznym blasku, w nowych szatach, jakby rozwiązujące i zawiązujące, pogrzebane, zmierzające do celu, w świetle.

Na skraju otchłani, na krawędzi. Stworzone w górze i z piekielnej matni, dziecka i starca, anioła i demona. Z wolną wolą i bezwolne, prowadzące na stracenie i na zbawienie, rozdwojone, działające przeciw sobie, w drodze i na bezdrożach.

W otwartej przestrzeni i w zamknięciu, pokazane i schowane, w ruchu i trzymane w miejscu, w dążeniu i w zaniechaniu, w izolacji i w towarzystwie, możliwe do użycia i niemożliwe, odwrócone i nie do odwrócenia. Nic więcej nie jest potrzebne, gdy to działa i gdy w tym się jest.

Zmienne i stałe, ani takie same, ani inne, jak światło. Obecne dokoła i sunące przed siebie, od przeszkody do przeszkody, w wirach i szybkim nurcie, wiadomo skąd i wiadomo dokąd.

I to, co jest przeciw, szarpie, kłuje, nęka i udaje, że jest dobre, coś podobnego, pogrążające się w gęstniejącym mroku. Rozjuszony, zajadły i zdecydowany na wszystko, oprócz prawdy. Diabli z nim i jego splendorem, bogatymi ubiorami i nagością, zastawą, ucztą i bankietem, do czasu.

Jak w jamie grobowej, bez wyjścia, daj Boże, z odrobiną nadziei, ostatnią deską ratunku. Ileż to razy do góry, pod górę i w górę, na szczyt i zaraz w dół, jak na złamanie karku, do dołu.

Tyle robił, żeby być kimś, aż zaczęło się, w drugą stronę, być nikim, oczyszczanie się i ogołacanie, jak najmniej sobą, w nowym wydaniu kimś innym. Zanikając i znikając, wyzbywając się resztek, drobin i drobinek z tamtej ciemności, jak niczego.

Stare klęski, odsyłające do nowych bitew ze sobą i z innymi, takimi jak ja i zupełnie innymi, w szerokim zakresie. Z ostrymi cięciami i skrótami, a nie raz z przesadą, w drugą stronę, czego nie daje się uniknąć, żeby, nie przestawać, ale ciągnąć dalej, do końca.

W kręgu tych samych słów, które powtarzane w kółko, stają się jak własne. Coraz sprawniej nimi się posługując, lepiej używając, głębiej doświadczając i bardziej przeżywając, wiele czasu i sił na to stracił. Zawsze jednak jest nie tak, jak powinno, nie ostatnia i nie ostateczna, kolejny wariant, mniej lub bardziej nieudany, większe lub mniejsze fiasko.

Próba, fiasko, próba, fiasko i znowu, próba i fiasko, cały ciąg i ciągi wijące się jak węże, bez końca, prawie już doskonałe, rozbite na części, ułożone najlepiej jak jest to możliwe, można powiedzieć, że malownicze, do kręcenia się w nich lub zwiedzania, wielkie fiasko, z uporem składane i z uporem rozbijane, na proch. Z opisami przechodzącymi w opowiadania i opowiadaniem zmieniającymi się w opisy, to w jedną, to w drugą stronę, płynnie lub z problemami, formowane, uzupełniane, skracane, zawiązywane w węzeł.

Jak u innych, próbowane na sobie i w sobie, z pasją i w zniechęceniu, pozbywanie się i wyrzucanie, dążenie do minimum, w większych lub mniejszych zrywach, na ile jest to możliwe. Jakby na przekór sobie, ale też i tym, którzy prowadzą ataki. Ze wsparciem i bez wsparcia, tak jak się da i co się uda, co jest dane.

Opowiadając o nim, mówi o sobie, a opowiadając o sobie, mówi o nim, tak więc o sobie i o nim razem i coraz bardziej jest to nie do rozdzielenia. Co jest zmyśleniem, a co zapisem stanu rzeczy i wypadków? Nie wiadomo, choć zawsze na pierwszym planie jest rzeczywistość, zewnętrzna i wewnętrzna, ważniejsza od nawet najbardziej wymyślnych zmyśleń.

O nim czy o sobie opowiada? Bardziej o sobie czy jednak bardziej o nim? Może o sobie-nim? Co za dziwne stworzenie? Ani jeden, ani drugi, ktoś ulepiony z jednego i drugiego, między nimi, jak duch. Wcielony w obu i oni wcieleni w niego, wkomponowani, bo jednak to dzieje się w toku, w zmierzaniu do końca, na szczęście coraz już bliższego. W ten sposób docierają do innych, do siebie i do innych, w tej wymianie.

*Ja i nie-ja* zawsze to więcej niż samo *ja*, zostawione sobie. Pośród napięć, mozołów i sprzeczności, bo jak ich nie ma, to znaczy, że jesteśmy na złej drodze. W punkcie wyjścia i wejścia na dobrą, świetlisty męczeński szlak.

Topole i wiszące na nich harfy. Bez nich suchy jak wiór.

## LESZEK SZARUGA

# Świat, w którym żyłem

1.

W moim wieku powoli przychodzi czas na porządkowanie doświadczeń. Nie musi to wszakże oznaczać pisania autobiografii czy wspomnień, choć nie da się ukryć, iż wielu autorów – jak choćby w ostatnich latach Michał Głowiński w *Kręgach obcości* – potrafiło w osobistych narracjach sprostać takiemu zadaniu. W tych szkicach, które tutaj zamierzyłem, pragnę zatrzymać się na próbie zrozumienia zjawisk w moim życiu ważnych, stanowiących niejako jego środowisko naturalne, widzianych wszakże z dystansu.

2.

W swym eseju *Stawanie się człowiekiem dzięki polityce* Karl Jaspers przeciwstawił sobie pojęcia męża stanu i polityka. Ten pierwszy tworzy warunki dla wolności. „Inaczej politycy. Ci są oportunistycznymi realistami, reżyserami nastrojów, ludźmi przebiegłymi, szantażystami. Z beztróską żywotnością działają w imieniu wolności przeciwko warunkom wolności. Skompromitowani, wykręcają się sięgając po kłamstwa i dowcipy. Swym zachowaniem sztydzą z parlamentu, który – im podobny – nawet tego nie zauważa i nie myśli o tym, by uniemożliwić takie występkę przeciw duchowi polityki”. To polityk – pisze dalej Jaspers – „traktuje swą działalność nie jako powołanie, lecz zawód dający widoki na przyszłość, dobry dochód i prawo do emerytury”.

Polityka wszakże to nie tylko zespół politycznych działań. To także namysł nad tym, co się czyni i jakie są – doraźne oraz długofalowe – konsekwencje podejmowanych decyzji. Polityka realizuje się bowiem jakby w dwóch planach jednocześnie – pierwszym jest plan zadań i rozwiązań bieżących, drugim zaś plan celów historycznych. Mąż stanu potrafi owe dwa plany z sobą skoordynować tak, by tworzyły harmonijną całość, w której równie istotne jest realizowanie egzystencjalnych aspiracji współczesnych, jak tworzenie podwalin pod przyszły rozwój. Inaczej mówiąc – mąż stanu to ktoś, kto jest zarazem realistą i wizjonerem, wiernym zasadzie poszanowania wolności: od wolności obywatelskich poczynając, po suwerenność społeczności przez owych obywateli tworzonych.

Gdy w roku 1989 otworzyła się – w tak sprzyjających warunkach, jakich państwo nie miało od dwóch stuleci – szansa prawdziwej niepodległości, zależnej bardziej od naszych własnych decyzji niż od okoliczności zewnętrznych, jeden z moich

przyjaciół z Izraela napisał mi w liście, iż teraz dla Polski nadszedł Czas Pionierów. Było to prawdą jedynie do pewnego stopnia – nikt wówczas przecież nie mógł być pewien dalszego biegu wypadków: wojska sowieckie stacjonowały w Polsce jeszcze przez wiele miesięcy, trwały niemieckie rozmowy zjednoczeniowe, imperium na Wschodzie formalnie wciąż jeszcze się nie rozpadło.

Ale nie to było podstawowym problemem Polski. Tym podstawowym problemem był brak Pionierów, mężów stanu dysponujących zdolnością uruchamiania różnych wariantów działań umacniających i powiększających przyczółki polskiej niepodległości. Innymi słowy: nie było w kraju nikogo, kto miałby spójną wizję przyszłości oraz wariantowe plany jej realizacji. W odróżnieniu od elit politycznych działających podczas II wojny światowej, opozycja czasów PRL nie potrafiła wypracować planu postępowania na wypadek niepodległości. Dotyczyło to wszystkich sfer życia publicznego, nie wyłączając nawet gospodarki – tutaj rozwiązanie noszące miano „Planu Balcerowicza” wypracowane zostało, siłą rzeczy, pod presją okoliczności.

Gdy z dzisiejszej perspektywy patrzy się na tamte wydarzenia, widać wyraźnie, że III Rzeczpospolita nie miała – jak to się działo w roku 1918 – swych Ojców Założycieli. Ale też jest prawdą, iż Polska Piłsudskiego powstawała w innych zupełnie warunkach: banki były bankami, stosunki własnościowe były w zasadzie jasno określone, zaś pieniądź był pieniądzem. Suwerenność kraju wynegocjowana w roku 1989 była skutkiem ubocznym doraźnie zawartego kompromisu między ustępującą władzą i częścią elit opozycyjnych – kompromisu bez wątplenia wówczas potrzebnego, choć sprawiającego, iż polska bezkrwawa rewolucja, mówiąc słowami Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, okazała się w pewnej mierze „rewolucją bezkrwistą”. Powodów, dla których tak się stało, było wiele i z pewnością będą one przedmiotem badań oraz sporów historyków, politologów czy publicystów. Tym bardziej, iż nie brak opinii, które ów kompromis odczytują jako akt zdrady narodowej, przywołując – o paradoksie! – milcząco słowa socrealistycznego poematu Tadeusza Kubiaka: „Miękkosć w robocie rewolucyjnej / przynosi klęskę. // Niechaj tnie ostro miecz rewolucji / aż do zwycięstwa. // Niech się obnaży przed okiem klasy / nikczemność wroga. // Niech wyjdzie z mroku na światło dzienne / hydra stugłowa”.

Nie znalazł się opisywany w *Odzie do młodości* Herkules: „Dziekiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze, / Ten młody zdusi Centaury, / Piekłowi ofiarę wydrze, / Do nieba pójdzie po laury”. Tego typu herosów w świecie ludzkiej egzystencji raczej nie należy się spodziewać, a każdy, kto obiecuje unicestwienie hydry, która wszak też jest symbolem zwyrodnienia i patologii społecznego współżycia, jest bądź utopistą, bądź kłamcą. Nie znaczy to jednak, że nie należy z owymi zwyrodnieniami

i patologiami się zmagać, doskonalić metod zmierzających do ich okiełznania. Tak też się w sferze politycznej dzieje. Czasy wszechwładnego i samego sobie będącego prawem Księcia z rozprawki Machiavellego minęły z chwilą, gdy za sprawą amerykańskich Pionierów powstał system wzajemnie się kontrolujących i niezależnych od siebie sfer władzy opisany przez Tocqueville'a: ustawodawczej, wykonawczej i sędowniczej. Lecz, jak się z biegiem czasu okazało, to nie te władze – uwikłane w sieć wspólnych interesów – okazują się najskuteczniejsze w walce z hydrami centaurami, lecz zewnętrzna wobec nich wszystkich i nieustannie poddająca je kontroli „czwarta władza” – reprezentowana przez dziennikarzy.

Ale dziś już wiemy, że jest to władza niebezpieczna, balansująca na cienkiej linii odgradzającej wyrażanie i kształtowanie opinii publicznej. To władza, podobnie jak niektórzy politycy, gotowa mówić o „faktach prawdziwych” i „faktach nieprawdziwych” zapominając o tym, iż fakty są tylko faktami. Ale przecież przed niecałym półwieczem ta sama władza zmonopolizowana przez komunistów przekonywała o tym, iż istnieje prawda słuszna i niesłuszna, prawda nasza i prawda innych. To relatywizowanie prawdy ma swoje zatrute źródła, jakimi są polityczne zależności dziennikarzy. To sytuacja, którą, diagnozując sytuację inteligencji w odrodzonym kraju, opisywał Stefan Żeromski: „Lecz czy to możliwe jest zrzeszenie się inteligencji? Jest to niewątpliwie sprawa trudna i natrafiająca na przeszkody przede wszystkim ze strony potężnych partii, które nie zechcą pozbyć się »swych« inteligentów, swych wołów robotniczych, wypracowujących im programy i umożliwiających wykonanie owych programów, a po wtóre – ze strony samychże inteligentów, powszczepianych dziś w najrozmaitsze zrzeszenia i mających tam już swe ideowe i materialne posady”.

Zarazem wiadomo, że „czwarta władza” nie jest władzą pochodzącą z wyboru, przynajmniej pozornie. Bo wybór, rzecz jasna, jest przez szeroką publiczność dokonywany, a nazywany jest rynkowymi neologizmami, takimi jak „oglądalność”, „słuchalność” czy „czytalność” – to ostatnie wypiera powoli tradycyjny termin „poczytalność”. Dziennikarz w tych okolicznościach nie zawsze jest kimś, kto – jak to by mogło mieć miejsce w modelu idealnym – z własnego prawa bierze nadania. Nie jest niezależny – z jednej strony uwikłany jest w grę politycznych interesów, z drugiej zaś podległy presji rynku. Jego produkt musi spełniać co najmniej jedno z kryteriów: ma bądź promować – wprost lub pośrednio – określone postawy światopoglądowe, bądź się dobrze sprzedawać. Wszystko to sprawia, iż dziennikarze coraz częściej nie tyle wyrażają swoje niezależne stanowisko, ile grają na politycznej arenie role harcówników albo na rynku medialnym funkcje uatrakcyjniających program clownów.



Powiada się, że powinnością dziennikarza jest ujawnianie prawdy. Czym innym jest jednak mówienie o faktach w stylu bezstronnego raportu, czym innym zaś posługiwanie się językiem zarażonym przez stronnice wpływy i pragnienia. Taki język nie odzwierciedla faktów, lecz je zakłóca, zmaća. Zasadnicze znaczenie wydaje się tutaj mieć pytanie o to, czy ów styl bezstronnego raportu w ogóle jest możliwy. Naturalną skłonnością człowieka, nawet niezamierzającego manipulować faktami, jest dokonywanie wyboru spośród informacji, które doń docierają – jedne się akceptuje, inne pomija jako nieistotne. Co decyduje o owym wyborze? To pytanie w pracy dziennikarza jest pytaniem zasadniczym. A ponieważ nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi, kwestią fundamentalną jest samo jego ponawianie, a zatem nieufność wobec swych własnych intuicji poznawczych. We wszystkich kodeksach etycznych dziennikarzy powraca zagadnienie wierności prawdzie – owa wierność jest podstawowym wymogiem tej pracy. Wszakże jej sprostanie możliwe jest tylko wówczas, gdy przyjmie się regułę ograniczonego zaufania do własnych wyborów. Jest to o tyle istotne, iż od podawanego do publicznej wiadomości raportu o stanie rzeczy może w określonych warunkach zależeć ludzkie życie.

Często słyszymy, że władza jest służbą. Taka definicja władzy, choć skądinąd niezwykle trafna i szlachetna, rzadko znajduje potwierdzenie w praktyce. Dotyczy to także „czwartej władzy”. Tu w szczególności pytanie, komu lub czemu służy praca dziennikarza, ma wagę niezbywalną. Gdy wniknąć w nie głębiej i zastanowić się nad jego istotą, okaże się, że dziennikarz pozostaje w służbie wszystkich swych czytelników czy odbiorców. Ale nie znając owych „wszystkich” – a znać ich przecież nie może – musi wybrać jednego, konkretną osobę, do której się zwraca. Tą osobą jest on sam. Nikt inny nie może go zastąpić. A to oznacza, że wymóg uczciwości, a zatem wierności prawdzie, odnosi się nie do kogoś z zewnątrz, lecz do siebie samego. Nie jest to łatwe – wymaga odwagi odrzucenia zarówno gotowych schematów, jak ubiegania się o poklask publiczności. Trzeba sobie uświadomić, że nie można być kochanym przez wszystkich.

Ale można osiągnąć zysk nieprzeceniony – własny styl, możliwość mówienia własnym, niedającym się podrobić głosem. Jest z tym związane ryzyko – niezrozumienia i nieporozumienia. Warto je jednak podjąć w imię wierności sobie. Lecz to nie wszystko. Ten własny styl trzeba nieustannie kontrolować, poddawać próbie zwątpienia, podejrzliwości – wciąż od nowa prześwietlać, sprawdzać, czy nie wikła się w sprzeczności, których nie da się usprawiedliwić bądź rozwiązać.

### 3.

Gdy wchodzi się na warszawski cmentarz powązkowski w jego części wojskowej, pierwszym grobem, który rzuca się w oczy, jest grób krótko sprawującego swą

władzę premiera, wieloletniego adwokata, za czasów komunizmu broniącego – w zasadzie *pro bono* – oskarżanych opozycjonistów, człowieka dobrze zasłużonego ludziom i krajowi, Jana Olszewskiego. Pionowo postawioną płytę nagrobną zdobi napis stanowiący wyimek jednego z jego wystąpień: „Czyja będzie Polska?”.

Pytanie pozostaje otwarte, zaś cmentarna aura skłania do głębszych refleksji – tym bardziej, że za tym grobem ciągnie się szereg moglił ludzi, którzy większość swego życia poświęcili trosce o przyszłość kraju i społeczeństwa, takich jak Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, Bronisław Geremek, Henryk Wujec, Leszek Kołakowski, zaś najświeższy grób kryje prochy Janka Lityńskiego. Prawie wszystkich znałem, wszystkich ceniłem, choć przecież nie ze wszystkimi się zgadzałem. Miejsca tu niewiele, niebawem trzeba będzie znaleźć przestrzeń dla ich kolegów i koleżanek. Natomiast pytanie otwierające przestrzeń nekropolii niepokoi.

Czyja Polska? Każdy, kto jak w ostatnich latach ja sam, śledzi przemiany historyczne i ogląda polityczne mapy z przeszłości wie, że Polska jako kraj wyodrębniony spośród innych, istnieje stosunkowo niedługo – tysiąc lat w dziejach ludzkości to w zasadzie nie tak wiele. Choć, oczywiście, są kraje o historii dłuższej, takie jak Chiny, czy krótszej, jak USA czy Rosja. Są wielkie imperia, które zniknęły z map, ale też można przypuszczać, że niektóre małe kraje rozwiną się w przyszłe potęgi. Historia nie stoi w miejscu i wieszczenie jej końca, jak to czynił Fukuyama, jest raczej nie specjalnie śmiesznym żartem. I pytanie o to, czy Polska będzie nadal istniała za lat trzysta bądź czterysta, jest kwestią otwartą – toć już raz na ponad sto lat z mapy zniknęła. Lecz z kolei, jeśli jakiś kraj z mapy znika na stulecia, nie znaczy, że nie powróci na nią w kolejnych – dość przywołać przykład Izraela.

Gdyby ktoś powiedział Owidiuszowi bądź Horacemu, że swe utwory piszą w martwym języku, zostałyby zapewne uznany za człowieka niespełna rozumu. Jakże to możliwe, spytałby ówczesny Rzymianin, by umarł język Cesarstwa? Cesarstwo przestało istnieć, zaś jego język, mimo kilkuset lat jego podtrzymywania wśród ludzi uczonych, stał się zabytkiem, co nie oznacza, że nie wróci do mowy żywej jak odrodzony po latach hebrajski. Niemniej warto pamiętać o tym, że Księga, która stanowi fundamentalny tekst chrześcijaństwa, napisana została w językach dziś już nieistniejących w przestrzeni międzyludzkiej komunikacji – odwołujemy się do przekładów, czyli do różnych interpretacji Biblii. Ale Owidiusza i Horacego pocieszyć mogą słowa opublikowanego w 1947 roku artykułu Ernsta Roberta Curtiusa, autora wydanego rok później dzieła *Literatura europejska a łacińskie średniowiecze*. Pisał on: „Obywatelstwo w krainie literatury europejskiej uzyskuje się za cenę przebywania przez wiele lat w każdej z jej prowincji, i do tego wielokrotnie je zmieniając. Jest się Europejczykiem, stawszy się *civis Romanus*. Podział literatury europejskiej między różne nie powiązane z sobą filologie uniemożliwia to

prawie zupełnie. [...] Neofilologie nastawione są na nowożytny »literatury narodowe«, pojęcie, które ukonstytuowało się dopiero po rozbudzeniu uczuć narodowych pod naciskiem imperium napoleońskiego, jest bardzo ograniczone pod względem czasowym i tym bardziej utrudnia spojrzenie na całość". Kilka lat później, w roku 1952, jego nieco młodszy kolega, Erich Auerbach, autor rozprawy *Język literacki i jego odbiorcy w późnym antyku łacińskim i średniowieczu* ogłosił równie interesujący szkic *Filologia literatury światowej*, w którym podkreślał: „Musimy [...] wrócić do tego, co posiadała już przednarodowa kultura średniowiecza: do poznania, że duch nie jest narodowy”.

Cesarstwo zatem, co prawda, nie istnieje, łacina jest językiem martwym, lecz wciąż trwa – jak długo jeszcze? – społeczność ukształtowana przez dziedzictwo Rzymu, przy tym trwa ona nie tylko w Europie, zaś jej głęboka tradycja, poddana wielu, czasem zdumiewającym transformacjom, wzbogaćana bądź zniekształcana dopływami innych kultur i doświadczeń dziejowych zdaje się być nie jedynym, ale z pewnością jednym z głównych punktów odniesienia globalnej cywilizacji. Lecz czy i w przyszłości tak będzie? Trudno wyrokować, ale warto mieć w pamięci słowa opublikowanego w 1978 roku eseju Jacka Bocheńskiego *Niepodległość wśród ludzkości*: „Wśród inteligencji polskiej wciąż jeszcze mało kto dostrzega, że środkiem ciężkości świata przestał być Paryż, że – co więcej – przestają być nimi także Waszyngton i Moskwa, że ów środek jest już w miejscu niezbyt określonym a niesłychanym, jak gdyby w Azji, jak gdyby w Ameryce Łacińskiej, może w afrykańskim buszu. Nie znaczy to, że »biała cywilizacja« dogorywa i może nas nie obchodzić. [...] »Biała cywilizacja« będzie istnieć, sęk tylko w tym, że jej macierzysta postać, tradycyjna »cywilizacja zachodnia«, nie jest już taka jak kiedyś, kiedy środkiem ciężkości był Paryż. A jaka jest? Według kryteriów polskich rozpustnie demokratyczna, przekarmiona, kapryśna i trochę obłąkana. W istocie jest z siebie, ze swojego dobrobytu i swojej demokracji niezadowolona. Ma prawdziwe parlamenty, wszechwładne związki zawodowe i wolną prasę, ale nie o to jej dziś chodzi. Rozczarowały ją instytucje. [...] »Cywilizacja zachodnia« ma gorzką wiedzę na temat swoich wad i ciągle o nich myśli. Są to idee natrętne, ciężko przez nią przeżywane”. Inaczej mówiąc: przemiany, jakim ulega ta cywilizacja, są efektem rozwiązywania kolejnych kryzysów bez nadziei, że nie mogą pojawić się nowe, a nawet więcej – z wiedzą, że nowe kryzysy są nieuniknione i trzeba nauczyć się przez nie przechodzić. Można też zasadnie domniemywać, że właśnie owe kryzysy stanowią siłę sprawczą utrzymującą „cywilizację zachodnią” przy życiu. Trafnie zatem przestrzega Jan Józef Szczepański w swym znakomitym eseju *nasze nie nasze* (1983): „Dawne kultury statyczne umierały lub upadały nagle z powodu nadmiernej jednorodności, z powodu niedostatku

opcji, pobudzających proces poszukiwań i wyboru. Ta sama przyczyna może być załącznikiem klęski naszej, nowoczesnej cywilizacji”.

Polska jest jedną z części tej cywilizacji, w dodatku, jak wszystkie pozostałe, częścią nietrwałą. Ludzie, których dziś się określa mianem Polaków, Nigeryjczyków, Francuzów czy Meksykanów lub Nowozelandczyków staną się niebawem – powiedzmy za dwieście lub trzysta lat – przodkami ludzi, którzy określać się będą całkiem odmiennie i posługiwać językami, które być może dziś jeszcze nie istnieją. Być może też ich samookreślenia nie będą odnosiły się do nazw państw narodowych, których istnienie w dziejach „białej cywilizacji” jest zapewne jedną z przejściowych historycznie form samoorganizacji naszego gatunku.

Przyszłości nie da się ani przewidzieć, ani tym bardziej zaprogramować – zbyt wiele czynników wpływa na bieg zdarzeń, a prócz wstrząsów i katastrof naturalnych jednym z owych czynników jest to, co się dzieje w naszych głowach, a czego również nie jesteśmy w stanie wcześniej sobie wyobrazić. Wiemy jak było dotąd, ale to nie znaczy, że to, co nastąpi, będzie podobne lub że będzie stanowiło logiczne rozwinięcie tego, co znane. Zatem, myślę sobie, pytanie postawione w wejściu na cmentarz powązkowski, ma tylko jedną sensowną odpowiedź: Polska będzie należeć do historyków, w dodatku nie tylko polskich, czego dowodzą XIX-wieczna *Idea polskości* Ferdynanda Gregoroviusa czy XX-wieczne *Boże igrzysko* Normana Daviesa. Nawet wówczas, gdy jej już nie będzie.

PIOTR SZEWC

## Z powodu i bez powodu (62)

Bez tytułu i daty (LIII)

„Świat dookoły nie dzieli się na przedmioty martwe i żywe. Nawet cmentarz jest żywy. Nawet umarli są żywi. Ich obecność jest dojmująca. Nie tylko w formie pamięci. Umarli się śnią, przychodzą, słyszy się ich głosy. Oni przestrzegają. Otoczeni jesteśmy bez przerwy umarłymi jako obecnymi” – Wiesław Myśliwski: *Tworzenie nie jest aktem stadnym...* „*Twórczość*” 2020, nr 11.

27 grudnia 1960 roku – ślub moich rodziców o godz. 16 w Horyszowie Polskim. Po ślubie przyjęcie weselne i tańce u Dziadków w Czołkach, nazajutrz przyjęcie weselne i tańce u Dziadków w Udryczach. Do kościoła w Horyszowie nowożeńcy i rodzina pojechali saniami, drogi zasypane były śniegiem.

Zdawkowymi przejawami sympatii starali się maskować dystans i wyniosłość. Czyli praktykowali fałsz. Dlaczego tacy byli? Tego już się nie dowiemy.

To, co przez wiele lat zdało się naturalne w ustach jej Matki – nie tylko samo brzmienie głosu, ale i frazy, powtórzenia, powiedzenia, zawieszenia, charakterystyczne partykuły i wykrzykniki – z czym się oswoiłem i do czego przywykłem, staje się nieznośne w wykonaniu Córki. Nie dlatego nawet, że Córka stara się naśladować Matkę, bo na pewno tego świadomie nie czyni. Dopracowała się własnego stylu, własnych fraz, zawiesznień i partykuł. Narzucają mi się porównania obu stylów wypowiedzi, bo mimowolnie znajduję ich podobieństwa, których przyczyną może być najbliższe z możliwych pokrewieństwo. Inaczej mówiąc, w głosie Córki słyszę głos Matki, co odbieram jako uzurpację i co wzbudza moją niechęć. A gdyby mój stosunek do ich głosu i samych wypowiedzi odwrócić, cieszyć się, że tak wiele je łączy, mimo że Córka nie wkłada żadnego wysiłku, by przypominać Matkę? Może i chciałbym, żeby tak było, ale jak do tego doprowadzić?

Niewielki, parterowy budynek z przeszklonym frontem, stał na Partyzantów u zbiegu Gminnej, naprzeciwko kościoła. W latach, gdy w nim bywałem, nosił nazwę Centrala Nasienna, my zaś po prostu nazywaliśmy go sklepem nasiennym. A bywałem zwykle z Mamą, gdy kończyła się zima. Za drzwiami zima, a w środku prawie wiosna. Jeszcze nie kwitła, nawet nie kiełkowała, ale... Wizerunki kwitnących astrów, nagietek, marchew, rzodkiewka, ogórki, koper były na pewno obietnicą.

Długa kolejka stała cierpliwie przy ladzie, a wszyscy byliśmy odurzeni przyjemnym i intensywnym zapachem. Tak pachniały zamknięte w papierowych torebkach nasiona. Przyszliśmy kupić je jak co roku, o tę usługę prosiła Babcia.

Jest erudycja, ale nie ma besserwischerstwa, jest mądrość, ale jest też skromność, jest dojrzałość, ale jest świeżość spojrzenia i emocji. Lektura *Mojego oka na spacerze* Zbigniewa Bieńkowskiego to więcej niż uczta intelektualna i estetyczna. Krótkie refleksje głównie o tomach wierszy i prozy nie są recenzjami w tradycyjnym rozumieniu gatunku. Nie wyobrażam sobie, by Bieńkowski zaprzętał sobie głowę statusem gatunkowym już to tekstu o tematyce drewna w prozie Bohdana Czeszki, już to tekstu o czytany przez nastoletnią córkę *W poszukiwaniu straconego czasu*. I być może ten взгляд sprawia, że miniatury krytyczne Bieńkowskiego w najbardziej błyskotliwy sposób przekraczają stawiane recenzjom oczekiwania. Chodzi o temperaturę owych mikroperł medytacji o literaturze, o horyzonty poznawcze ich autora, wielkość ducha, odwagę mierzenia się z tematami trudnymi, otwartość, dystans wobec literaturoznawczych dogmatów i ożywcze omijanie uczęszczanych szlaków, o sam język, jego energię, dowcip, ba, o czynnik tak niebagatelny jak talent, bez którego każdy piszący o literaturze jest nudziarzem i postrachem dla pełnego dobrej woli czytelnika. Podziwiam odkrywcość Bieńkowskiego, stałą gotowość objaśniania ciemności i jasności literatury, jej głębi i płycizn, stawiam za wzór uprawianą przez niego sztukę rozumienia słowa pisanego i innych znaków kultury.

„Z doświadczeń własnych i z cudzych publicznych reakcji wnioskuję, że największą przeszkodą w przeżywaniu dzieła jest satysfakcja inteligencji. Prześwietlenie myślą struktury pojęciowej dzieła, szczęśliwe przedarcie się przez aluzje i niedomówienia, odczytanie znaków rozrzuconych po figurach stylistycznych, wprowadza inteligencję w tak wielką euforię samozadowolenia, że dumna z siebie nie schodzi z planu i wypełnia sobą całą scenę przeżycia. Pycha umysłu bywa tak agresywna, że nie ustąpi nawet mrówce, spieszącej z mikroskopijnym ładunkiem wzruszenia. I wszystko się skończy, zanim się zaczęło. Przeżycie dzieła sztuki wyczerpuje się w prolegomenach. A przecież poznanie jest tylko wstępem do przeżycia” – Zbigniew Bieńkowski w *Inteligencji*, w tomie *Moje oko na spacerze*.

Bywa, że nie my szukamy książki, lecz książka nas szuka. Mnie znalazły *Niektóre miejsca na ziemi* Krzysztofa Lisowskiego. Czytałem je przed kilku laty, gdy się ukazały, podczytuję teraz. Śliczna proza podróżna, obserwacje, migawki, zamyślenia, wjazd na „wielką górę Pergamonu”, spacer po wyasfaltowanych ścieżkach objawień w Fatimie, toskańska wiosna w San Miniato, gdzie widać „krajobraz rozświetlony wczesnowiosenną zielenią, z kępami wysokich drzew, cyprysami, winnicami rozrzuconymi w pagórkowatej przestrzeni...”. Podążając za autorem, widzę teraz

kępy wysokich drzew i celujące w niebo cyprysy, jak widziałem w maju 2019 roku, gdy do San Miniato wjeżdżałem od strony Florencji. Krzysztof pisze rzeczowo, plastycznie, opisom swoich pobytów tu i tam nie szczędzi tonowanych emocji. Gdy go czytam, przychodzą mi na myśl fotografie kotów, krakowskich budowli, książek, ścian wypełnionych obrazami, ulic, straganów, potraw, obłoków, drzew, gołębi, roślin wykluwających się wiosną ze szczelin ulic. Są to fotografie, które Krzysztof wykonuje w chwilach wolnych od pisania wierszy i hojnie ofiarowuje mi drogą elektroniczną. „Jest środek nocy, ciepło, od czasu do czasu odzywa się dzwon katedry. Toczy się leniwa, piękna powolność”. Kto tak pisze? Poeta.

ARTUR SZLOSAREK

## Notatki do zapomnianych podróży (7)

Zaczernione strony. Spontaniczny remanent

Czasu coraz mniej, chociaż teoretycznie jest go więcej, niż potrafimy spożytkować. Bo mamy go – pod dostatkiem, na kredyt bezzwrotny, w bród, w chwili obecnej, w postaci nietrwałej, i nieobecnej, trwałej. Cały czas ten czas jest chwilą, która chciałaby być pomnikiem trwalszym, aniżeli ze spiżu, chociaż już dawno zniknęła, zapadła się: pod ziemię, o tu, za zakrętem, może nawet ze wstydu, wymknęła się z objęć percepcji, jak piękna nieznajoma albo pękła jak bańka mydlana, wysyłając jednak w naszą stronę energię (zdążyła!), podobną do elektrycznej, którą odbieramy poza słowami, chociaż nie umiemy jej wykorzystać, nagiej, bez pamięci, czyli do grobowej deski – tak, jej, tej mocy, bo ona jest nadmiarem i żarem. Ona to nieodkryty zamiar, wymiar piąty, słońce, czarne, mamidło i świedidło – kto to wie? Może jest podjętym, jako ten blask na jordanowej wodzie, niepojętym momentem wiecznym, sygnałem bez prawdziwego odbioru, migotaniem przedsióneków, może to ta *musica de momento eterno*, eteryczny olejek napędowy albo dar walerianowy od Liwina arcy-poety, *nardostachys jatamansi*, który lubił pierogi, pod każdą postacią i w formie, ale najbardziej ruskie, więc od razu, z mety, przed końcem w początku, zanim zdążymy tutaj zapomnieć o tym, co miało i ma miejsce w naszym szeregu, przejdźmy od razu do rzeczy – stąd do wieczności. Do istoty. A także: do rzeczy. Od piękności do wieczności. Amen. Z hebrajskiego – „niech się stanie”!

„– No cóż, proszę podpisać, tu i tu. I jeszcze tutaj. Może pan teraz iść... do domu. Jeśli trzeba będzie – wezwiemy. Do widzenia. I jeśli nie zdążył on zbyt dużo nabroić, to nie aresztują go, nie. Gdyby wszystkich takich wsadzać, trzeba by pół kraju wyłapać, a to nie jest obecnie konieczne – wystarczy wpakować jednego na dziesięć tysięcy takich, co przejrzeni na oczy, najbardziej napalonego, by nastraszyć pozostałych. Dawniej to zupełnie inna sprawa. Nie zdążył ust otworzyć – już etap. Teraz są inne czasy. Nikt od ciebie nie wymaga, byś tę władzę kochał, czy też jej ufał – wystarczy, byś się jej bał, był pokorny, wykonywał plan, podnosił rękę na zebraniu, zgodnie aprobował i z oburzeniem potępiał...

I pędzi nasz człek pracy wiosennymi albo jesiennymi czy zimowymi ulicami lekkim galopem do domu – do żony i teściowej z Kaługi. Dopiero co uchyliły się ciężkie, masywne wrota i powiało nań piwniczną wilgocią, jakąś zgnilizną



i beznadzieją, ale dzięki Bogu, udało się. Gdzieś za dwa-trzy tygodnie zwołają ogólne zebranie pracowników, wystąpi sekretarz partii, komsomolski grupowy i przedstawiciel rady zakładowej, potępią z oburzeniem, napiętnują, staruszek mistrz Pietrowicz oświadczy, że jego zdaniem nie ma dla takich miejsca w robotniczej załodze. On sam wystąpi, wyrazi skruchę i obieca poprawę. Gdzieś z boczką, skromnie, będzie siedział Nikołaj Iwanycz, Pietrowicz, Sergiejcz. Nie, nie, nie chce do prezydium, nie ma zamiaru występować, chce tylko posłuchać, co mówią towarzysze. Pod koniec zebrania pracowników, nagadawszy się do woli, poręczy za swego zbłąkanego, obieca kolektywnie go poprawić, przegłosuje i usatysfakcjonowane rozejdzie się do domów. I gdzieś tam wieczorkiem, pod budką z piwem stary mistrz Pietrowicz, najbardziej biczujący w ciągu dnia, powie naszemu człekowi pracy przy kuflu piwa:

– Otóż to, gołąbeczku, GŁOWĄ MURU NIE PRZEBIJESZ!”

**Władimir Bukowski**, *I powraca wiatr...*, przełożył Andrzej Mietkowski

To wszystko przez zbyt mocno uciskające skarpety, myślę sobie. To całe zło. Bo przecież jest dobro – i w złym. I tak na przykład piekło opustoszało, ale nie dlatego, że wszystkie diabły pojawiły się w mieście, jak na deskach teatru podczas pełnej wyładowań burzy. Nie. Zrobiły więcej miejsca na raj. Z najczystszych intencji, tytanicznej uprzejmości, podpartej miłością do bliźniego, aby ten ogród naszych początków był po rekonstrukcji jeszcze bardziej niezemski, przestronny i boski, by był jeszcze – i to więcej niż jednym słowem – bardziej warty grzechu. Tak, bo przyszły kształt raj, czyli obecny już dziś, jest od naszych działań uzależniony. Od naszego nastawienia, nastrojenia i zestrojenia. Wystarczy zmienić skarpetki, ażeby uwierzyć, iż nie ma takiej opcji, że ktoś tu wytnie z Szekspira naszą ulubioną scenę: nie ma obawy! Bo przecież błędził Alighieri, trawiony malaryczną gorączką, kiedy skazywał – nie powiem tu głośno, bo sam się boję, kogo – na mitręgę wieczną po infernalnych pieśniach z tercyną na gardle i kiszka, tym drugim mózgiem, na wierzchu. Autor sam zrozumiał swój błąd i pojął niestosowność zachowania. Skontaktował się telefonicznie z tłumaczką i z jej pomocą ustalił ostateczną wersję nowego holenderskiego tłumaczenia. Co prawda zajęło mu to wiele długich lat, ale lepiej pokazać klasę późno niż nie pokazać wcale – prawda? A jubileusz zobowiązuje. Zresztą przecież, ta skromnych rozmiarów omisja, mówiąc najzupełniej otwarcie tudzież i też: szczerze, w najmniejszym stopniu nie wpływa na ogólny nastrój oraz ogólną wymowę dzieła. W istocie należałoby się przychylić do tych słusznych i przeważających opinii, że te poprawki drobne, wniesione za sprawą mistrza, pozwalają nam o niebo lepiej zrozumieć intencje jego tragedii, którą zrodziła polityczna motywacja.

otwieram jej drzwi, skrzypią  
i szept „ta szafa to wejście do piekła”  
patrzę: między wieszakami  
czerwona suknia i czarne skarpetki  
Dantego

**Miron Białoszewski**, *Otwieram jej drzwi*

Wchodzimy. *L'amor che move il sole e l'altre stelle*. Proszę państwa, oto... Nic z tego! Nie tak dawno Şeyda Kurt przeczytała bowiem na kwarantannie (*quarantena pagata come malattia*) w długi weekend kilka książek – w tym *La commedia divina*. I od tego czasu nie może się pogodzić z miłością. Ma poważny problem. Z zakończeniem tego najbardziej znanego utworu satyrycznego w Europie pozbawionej granic, w którym to utworze wprawdzie autor krytykuje papieża, ale i – dworuje sobie z kobiety. No bo czyni on niestosowne i nieprogressywne aluzje przemocowe poprzez zastosowanie modnego chwytu – odrealnienia. Jego prostacka postawa pozostawia niesmak w ustach i staje się inspiratywna dla wielkiego niemieckiego poety, który nie popierał kobiecości, ponieważ wyłącznie czynił wykrety w temacie bliżej nieokreślonego przedmiotu (po niemiecku: *das ewig Weibliche*), jak wkrótce będzie stało (czarno) na białym jednorożcu (ciepło, ciepło) w tej niepodważalnej encyklopedii, jaka po nas zostanie. Miłość... Nie, to znaczy tak. Wielki to semantyczny kłopot, problem i obowiązek – pisze w bestsellerze Şeyda, dziennikarka, felietonistka, autorka, kuratorka, moderatorka oraz speakerka z Niemiec. Miłość to niewczesnofeudalne zawłaszczanie nieuchwytnego echa Wielkiego Wybuchu, a nie kabała. Słowo-klucz, który nie pasuje do twoich drzwi i do żadnej z czterech bram raj, gdyż one się otwierają przecież dziś, razem i osobno, bezszelestnie, same: wystarczy, że właściwe oko kamery, jak język właściwie użyty, odczyta właściwy rysunek niewidocznych linii na skórze. To nie tak, mówi Şeyda Kurt w wywiadzie do „Die Zeit”. Nie mamy już czasu na taką romantyczną miłość w duchu kapitalistycznego wyzysku uczłowieczonego zwierzęcia przez szlachetnego dzikusa, bo *there is no planet B*. Mamy w zamian czas na *radikale Zärtlichkeit* – radykalną czułość poprawnie wyzwolonej jednostki. Mamy czas na czułość nieprzejednaną do innej bezwzględnie podobnej jednostki (o wysokim stopniu zindywidualizowania). Ale co to technologiczna czułość i w jaki sposób? – drąży i sąduje Şeyda w książce odpowiadającej na bolesne prowokacje *De vulgari eloquentia*, ale w tym miejscu ja już po tej porcji miłości politycznej, co podkreślił, przyjmując pisarkę z honorami Frank-Walter Steinmeier, prezydent Niemiec, wymiękam... Uginam się i na twarz upadam, jak rażony gromem podczas wirtualnej burzy na scenie teatru (świata) – tej szklanki wody na otarcie łez. Za duże na mnie

wrażenie. Ten rozmiar, ten popęd, napęd, przepraszam, dech w piersi zapiera, że trudno wytrzymać, to porażenie prądem pamięci, jakbym się odnalazł nagle nagi w dosłownym tłumaczeniu na dzień dobry obrazu „Coma”... Czarna Wołga zaparkowała przed klatką i nie pojedzie dalej, chociaż jedzie daleko. Ale może to nie jest tak? Może to jedynie erotycznie natrętna i zimno-lepka papka w bezformie pulpowej adaptacji *Kolonii karnej* pana K. w mojej głowie, do udziału w której właśnie przyszło poliamoryczne zaproszenie, jak termin na wakcynację? Ręce do góry! Stój, bo strzelam! Nie. Nie i nie! Nie strzelaj, kochana! Poddaję się! Obnażam ignorancję, nieprzystosowanie, kalectwo, fiasko i definitywnie ograniczone *finito*: mentalne, oralne, moralne, a to zaś czynię indywidualnie, grupowo i bezpłatnie, powodowany brakiem technologicznej czułości w nieoświeconym łonie matki i niedomiarem mleka w proszku. Tak jest! I lecę, biegnę, coś mnie gna: by złożyć samokrytkę, na bosaka, w ramach prewencji – o tak! Tak i tak, wysoki sędzie, tutaj są te tabletki, schowałem, prozak i wiagra, a także środki na ogłupienie. Posiałem jednak gdzieś tabletkę Murti Binga. Ostatnią. Moja wina!

„– Niszczenie słów to coś pięknego. Najwięcej, oczywiście, wyrzucamy czasowników i przymiotników, ale setki rzeczowników też są zupełnie zbędne. Usuwamy nie tylko synonimy, lecz także wyrazy przeciwstawne. Bo jaką rację bytu mają słowa, których znaczenie jest po prostu przeciwieństwem innych? Każde słowo zawiera w sobie swoje przeciwieństwo. Weźmy na przykład przymiotnik *dobry*. Jeśli mamy *dobry*, po co nam taki przymiotnik jak *zły*? *Bezdobry* wystarczy w zupełności; jest nawet o tyle lepszy, że stanowi dokładne przeciwieństwo przymiotnika *dobry*, czego nie można powiedzieć o *zły*. A gdy z kolei chcemy coś wzmocnić, czy ma sens stosowanie mętnych i w sumie bezużytecznych określeń typu *wspaniałe* lub *znakomite*? *Plusdobry* adekwatnie spełnia każdy wymóg, jeśli zachodzi potrzeba jeszcze większej emfazy, można użyć *dwaplustdobry*. Akurat tymi formami posługujemy się już dzisiaj, lecz w swoim ostatecznym kształcie cała nowomowa będzie taka. Z czasem pojęcie dobra i zła ograniczy się do zaledwie sześciu słów, a naprawdę do jednego. Czyż to nie wspaniałe, Winston? Oczywiście był to pomysł W. B. – dorzucił jakby po namyśle.

Na wzmiankę o Wielkim Bracie, Winston uśmiechnął się gorliwie, lecz jakby z przymusem. Syme natychmiast dostrzegł ten jego brak entuzjazmu.

– Nie potrafisz docenić nowomowy, Winston – powiedział niemal ze smutkiem. – Nawet kiedy piszesz, wciąż myślisz w staromowie. Czytam niekiedy artykuły, które pisujesz do »The Times«. Nie są złe, ale to przekłady. W głębi serca wolałbyś pozostać przy staromowie, jej mętnych i bezużytecznych odcieniach znaczeniowych. Nie pojmujesz piękna niszczenia słów. Czy zdajesz sobie sprawę, że nowomowa jest jedynym językiem na świecie, którego słownictwo kurczy się z roku na rok?

Winston oczywiście zdawał sobie sprawę. Bał się odezwać, bo nie ufał swojemu głosowi, więc uśmiechał się tylko – miał nadzieję, że przyjaźnie. Syme tymczasem ugryzł następny kęs szarego chleba, pożuł go przez chwilę, po czym ciągnął dalej:

– Czy nie rozumiesz, że nadrzędnym celem nowomowy jest zawężenie zakresu myślenia? W końcu doprowadzimy do tego, że myślozbrodnia stanie się fizycznie niemożliwa, gdyż zabraknie słów, żeby ją popełnić. Każde pojęcie da się wyrazić wyłącznie przez jedno słowo o ściśle określonym znaczeniu, natomiast wszystkie znaczenia uboczne zostaną wymazane i zapomniane. W jedenastym wydaniu jesteśmy już bardzo bliscy tego celu. Lecz proces ten będzie postępował długo po naszej śmierci. Z roku na rok będzie coraz mniej słów i coraz węższy zakres świadomości. Nawet teraz, oczywiście, nie ma żadnych podstaw ani usprawiedliwień dla myślozbrodni. To jedynie kwestia samodyscypliny, regulacji faktów. Ale w końcu technika ta stanie się zbędna. Rewolucja zwycięży ostatecznie, gdy język osiągnie doskonałość. Nowomowa to *angsoc*, *angsoc* to nowomowa – stwierdził niemal z mistyczną satysfakcją. – Czy przyszło ci kiedy do głowy, Winston, że najpóźniej w roku dwa tysiące pięćdziesiątym nie będzie na ziemi ani jednego człowieka, który potrafiłby zrozumieć taką rozmowę jak nasza?

– Oprócz... – zaczął Winston, ale się zawahał.

Zamierzał powiedzieć: *Oprócz proli*, lecz ugryzł się w język, ze strachu, że słowa te będą poczytane za objaw niepraworządności. Syme jednak domyślił się, o co mu chodzi.

– Prole to nie ludzie – rzucił niedbale. – Do roku dwa tysiące pięćdziesiątego, a przypuszczalnie wcześniej, prawdziwa znajomość staromowy zniknie całkowicie. Literatura przeszłości ulegnie zniszczeniu. Chaucer, Shakespear, Milton, Byron znani będą tylko z adaptacji na nowomowę, nie tylko innych, a wręcz sprzecznych z oryginałami. Nawet literatura partyjna nie uniknie zmian. I partyjne hasła. Bo jak może istnieć hasło *wolność to niewola*, skoro zniknie pojęcie wolności? Myślenie ludzkie ulegnie przeobrażeniu. Tego, co my rozumiemy jako myślenie, nie będzie w ogóle. Ortodoksyjność oznacza niemyślenie, brak potrzeby myślenia. Ortodoksyjność to nieświadomość”.

**George Orwell**, 1984, przełożył Tomasz Mirkowicz

Nie ma obawy, prole nie poradzą, bo niby jak mieliby – wołać *de profundis* z czarnej dziury? Do kogo się odwołać? Odbić się od dna instynktu samozachowawczego? Liderzy – gdzie? Są jakieś wzory? Wystarczyło przecież, by wypaść z konkurencji, włączyć odbiornik telewizyjny podczas ostatniej Wielkanocy i przejrzeć na własne oczy, jak w strzeżonym przez Szwajcarów Watykanie Jorge Mario Bergoglio zasiada pośrodku *via Dolorosa* na tronie, w otoczeniu... ano właśnie,

kto siedział tam wtedy na krzesłach? Tegoroczne uroczystości, upamiętniające Drogę Krzyżową, kojarzyły się przecież bardzo i jako żywo z jakimś złotem intelektualnego skrzydła satanistów, które uparło się odmówić różaniec – i, *summa summarum*, wychodziło z tego symbolicznego przedstawienia też jako żywo na jaw, niczym bolesne sztydło z worka, że Jezus Chrystus w 2021 roku nie niósł krzyża, nawet jeśli pod nim trzy razy na naszych oczach upadał, tylko czarną maskę antykowidową, która pomogła Mu znieść mękę z szacunkiem dla cierpienia innych, choć wiedział – bo jak miałby nie wiedzieć? – że w ten sposób bynajmniej nie zatrzyma transmisji. Nie. Prole nie dadzą rady. Nie. Po ponad dwóch millenniaach w końcu ktoś wreszcie wpadł na to, że wystarczy dobry pomysł, dobry fundusz inwestycyjny o bardzo dobrej nazwie oraz odpowiednio podana socjotechnika na wielopoziomowych ekranach, aby, tak, prysła nadzieja, żeby padła upokorzona na kolana i skończyła się, jak nudny, złudny i zły sen. *No F\*way*. Nie mają bronii ani żadnych szans... Ojciec święty mówi – tak jak pierwszy sekretarz KPCh, ten sam sekretarz KPCh, jak Klaus Schwab, gospodarz Światowego Forum Ekonomicznego, ten jak św. Franciszek do braci mniejszych i większych. Do swojej zbawczej misji mają razem i osobno globalnych ministrantów, ale to pewnie tylko pierwsza plansza gry o niecenzuralnej nazwie, bo liczy się wiara, wzbierająca globalnie; jak fala wznosząca, wiara w powodzenie zdobycia piekielnych bram piekła i rozszerzenia panowania raju nad nimi i za nimi – poprzez zniesienie oczywistych limitacji i niespójności zawartych w podstawach tego w gruncie rzeczy dobrego w intencjach projektu. Nie. Nie i nie. Żaden prol nie ma szansy na pozaziemskie bytowanie. No chyba że w odpowiednim czasie przyjmie on nowe ciało z folki, a urzędnik pozytywnie rozpatrzy jego napisane serdecznym atramentem podanie o eutanazję – to wtedy, kto wie...? (Kto szyfru nie próbuje złamać, ten się nie dowie, jak trybi Enigma).

Pał zresztą lichy tegoroczny, apostołskie *Urbi et Orbi*, w którym Bergoglio zawołał potężnym głosem o szczepionki sprawiedliwości także dla trzeciego, czwartego oraz piątego świata – w siódmym wymiarze uwspólnionej czasoprzestrzeni, rozplywającej się najszczyrszymi tęczęmi z zachwytu nad odzyskanym po latach wygnania cyfrowym ogrodem (koncentracyjnym) w niedalekiej przyszłości, która stała się naszym ciałem. Niech i lichy porwie fakt, że *Agenda 2030*, chociaż przemówiła głośno wykresami ze wszystkich legalnych stron w jeszcze niezdelegalizowanych językach i krok po kroku na każdym kroku wchodzi nam w duszę, jak ten kołatek, *liposcelis terricilis*, w nieczytane w ogóle książki, uznana została przez specjalistów za bezwzględnie teorię spiskową – taki majstersztyk! Niech diabli wezmą i statystyki, którymi się prawie nikt dziś nie interesuje, bo jako jedyne nie kłamią. Do czorta z głupimi dowcipami! *Basta!* Najważniejsza solidarność międzyludzka! I zaraz po

niej: opór społeczny, wsparty na miłości bliźniego w dobie bezsprzecznego zagrożenia. Przyzwoitość, zdolność do poświęceń, altruizm tudzież duch wspólnoty, współczucie i najczulsze oko; opiekuńcze ramię, pomocna dłoń, prawda i miłość, jako jedyna możliwa droga, bezpośrednia jak strzała (*freccia diritta*), do celu, którym jest osiągnięcie ideału prawdziwego człowieczeństwa. Oto charakterystyczne cechy odpowiedzialnego responsu z ludzką twarzą na jak dotąd niespotykane apokaliptyczne zagrożenie o globalnym zasięgu. Jak mówi mój były przyjaciel? Właśnie... Żywcem nas nie wezmą. Wygląda to, ten opór, mniej więcej tak. Po pierwsze *primo*: nasz katolicki kościół powszechny rzucił wyzwanie Bestii w sposób najbardziej zorganizowany i przemyślany, urządzając w maju *Fifth International Vatican Conference* – wirtualną:

*EXPLORING THE MIND, BODY & SOUL  
UNITE TO PREVENT & UNITE TO CURE  
– A GLOBAL HEALTH CARE INITIATIVE  
HOW INNOVATION AND NOVEL DELIVERY SYSTEMS  
IMPROVE HUMAN HEALTH,*

na której być może uda się wreszcie pojednać naukę z wiarą. Najwyższy czas! Zadbają o to sławni i utytułowani prelegenci, bez obaw i ironii, wśród których znajdują się, by nie sięgać o most za daleko, przedstawiciele pojawiających się co dzień i wcale niepojawiających się w mediach koncernów albo firm, czy instytucji, za którymi stoją fundacje i koncerny: The Cura Foundation, Google, Pfizer, Moderna, John Hopkins University. Tu się zatrzymuję, bowiem lista długa i prestiżowa. Od Chelsea Clinton poprzez Cindy Crawford (moderatorkę) do Joego Perry (jeśli ktoś nie wie, muzyka z Aerosmith). Całość reklamuje zaś plakat – graficzny cytat-parafraza z Michała Anioła. Zbliżenie na ten fragment sklepienia kaplicy Sykstyńskiej, który znają nawet ci, którzy nie wiedzą, jak się nazywają – chodzi o Stworzenie Adama, konkretnie zaś: o Boga-Ojca, który wyciąga ramię z palcem wskazującym w kierunku ojca ludzkości. Ramię tego ostatniego jest też wyciągnięte w kierunku boskiego palca, tyle że łokieć wsparty o kolano powoduje, że dłoń Adama jest jakby lekko opuszczona. Ma on przy tym minę nieco zblazowaną, czy znudzoną – a sam obraz jest niejasny w wyrazie i, jak piszą historycy sztuki, tajemniczy. Na stonowanym kolorystycznie plakacie watykańskiej konferencji, który jest w szaro-ziemisto-brązowej tonacji, przeciwnie, nie pozostało wiele z tajemnicy. Na tle pękniętej mleczno-szarej ściany wszystko zdaje się być dosyć jasne – i wszystkie elementy zdają się też pasować dobrze do układanki. Jedno przedramię, po prawej stronie, należy do przedstawiciela rasy zwanej białą, drugie – po lewej, ma ciemniejszą,

choć nie całkowicie ciemną, skórę. Pierwsza dłoń zdaje się powtarzać aktywny gest Stwórcy z kaplicy Sykstyńskiej, dłoń druga – jest również, jak należąca do pierwszego człowieka, delikatnie opuszczona, jakby bierna lub rozleniwiona. Pewne jest tutaj to, co najważniejsze, *attualmente il più importante* – że, inaczej niż na pierwowzorze, obie są w chirurgicznych rękawiczkach.

Artur Szlosarek



## Raczej nie żyć?

„Dlaczego raczej żyć niż nie żyć?” Czytelnicy *Hanemanna* zapewne z łatwością rozpoznają to zdanie wraz z jego lokalizacją w powieści. Ale odpowiedź na zadane w nim pytanie nie jest wcale – jak by się wydawało – łatwa, choć na pozór walka o prolongatę istnienia to najbardziej elementarny instynkt żyjącej istoty. A przecież człowiek czasami znajduje się w sytuacji, w której przedłużanie istnienia wiąże się z niewiarygodnym cierpieniem, na pozór nie dając branej na męki jednostce nic w zamian. Cierpi, bo jest nieuleczalnie chora, bo jej świat społeczny uległ zagładzie, bo straciła najbliższych, bo została zdradzona, bo dalsze istnienie obraża jej najgłębiej posadowione przekonania o tym, co godziwe i sprawiedliwe. Tu się rozstrzyga – w radykalnej, zerowej formule – zasadniczy konflikt między jednostką a światem, a także Bogiem, którego samobójca czyni odpowiedzialnym za kształt rzeczywistości.

Są więc sytuacje, w których zgoda na dalsze istnienie wymaga jakiejś bardzo zasadniczej negocjacji ze światem, wyważenia racji. Bohater *Hanemanna* jest na tyle ciężko doświadczony przez życie, że taka negocjacja – choćby nie w pełni świadoma – staje się konieczna. Tytułowy bohater powieści traci kolejno narzeczoną, która ginie w tajemniczej katastrofie płynącego wzdłuż morskiego brzegu stateczku, następnie odmawia przeprowadzenia sekcji zwłok dziewczyny, potem też innych sekcji, a tym samym rujnuje sobie dobrze zapowiadającą się karierę zawodową profesora anatomii patologicznej. Kolejno przeżywa niszczącą jego świat wojnę, ale trafem unika śmierci na pokładzie zatopionego statku pełnego uchodźców z Gdańska. Ogłuszony bombą pozostaje na brzegu i urządza się prowizorycznie w domu, w którym gospodarzyć będą inni – już polscy – uchodźcy. Powojenne lata spędzane w Gdańsku czynią go świadkiem systematycznego odwrotu kultury niemieckiej, który polega



na przechodzeniu z rąk do rąk pozostawionych w opuszczonym mieście rzeczy, na reformie nazewnictwa, a przede wszystkim na zaniku niemieckiej wspólnoty, do której wcześniej należał. Ta wersja trwania przy coraz szczuplejszych szczątkach historii i cywilizacji, która na jego oczach zmieniła przynależność i narodową tożsamość, rzeczywiście czynią decyzję dalszego pozostawiania w Gdańsku czymś słabo uzasadnionym, wręcz ekscentrycznym, dopóki Hanemann nie uzasadni jej inaczej, ratując życie przybyłej z Ukrainy do Gdańska dziewczynie. Gdyby jednak ten akt wzięcia odpowiedzialności za cudze istnienie się nie zdarzył, decyzję bohatera dość trudno byłoby uzasadnić. Pytanie, jakie Chwin nieustannie sobie zadaje, jest więc pytaniem naprawdę dramatycznym, a każda próba zagłaskania problemu pozostawia po sobie poczucie niewłaściwości. Błahe odpowiedzi na takie pytania nie powinny się pojawiać.

Chwin oskarżeń o błahość się nie boi. Obok lakonicznej formuły pytania zamieszczonego w *Hanemannie*, jest autorem trzech tęgich tomów zawierających dokonywane z różnych punktów widzenia, podparte również analizą problemu samobójstwa w kulturze i religii Europejczyków. Bo to jest właśnie problem, uwikłany w nieuchronne paradoksy i sprzeczności, które autor tych książek – mistrz paradoksu – definiuje, odkrywając wciąż nowe niekonsekwencje,

z którymi roztrząsający problem samobójstwa muszą się mierzyć. Każdy z tomów tej trylogii umieszcza nieco odmiennie punkt widzenia. Pierwszy to *Samobójstwo jako doświadczenie wyobraźni*, drugi – *Samobójstwo i „grzech istnienia”*, wreszcie najnowszy: *Oddać życie za Polskę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku*.

Już w tych tytułowych formułach kryje się paradoks. Bo jakże mówić o „grzechu istnienia” w kulturze chrześcijańskiej, która dar życia uważa za najcenniejszy podarunek, jaki człowiek otrzymuje od Boga, a dopiero wzgardzenie nim jest dla niej najcięższym grzechem. O bezwarunkowej grzeszności samobójstwa pisał już św. Augustyn. A jednocześnie ludzka (może szczególnie polska) jakoś może zbyt łatwo przechodzi do porządku nad pozabawianiem się życia, heroizując je – byle tylko nie było ono bezmyślnym szafowaniem boskim darem, tylko – i koniecznie – miało charakter ofiary, oddania życia w zamian za cenioną szczególnie wysoko w danym społeczeństwie wartość. Sytuacja tego rodzaju ewaluacji jest dość kłopotliwa, bo zakłada, że boskie dobrodziejstwo można w ogóle wyliczyć wedle jakiegoś ludzkiego cennika, a nawet, co już pachnie bluźnierstwem, wartościować osiągalne dla człowieka zdobycze wyżej od tego, co Bóg może nam ofiarować.

Chcąc uniknąć skandalu wynikającego z takich zestawień, a zarazem dostrzec

i docenić akty najwyższego poświęcenia ze strony żołnierzy na polu walki czy tych, co podejmują ryzyko tam, gdzie trzeba rzucić na szalę swoje życie dla jakiejś Sprawy, ludzie najczęściej dylemat wyceny pomijają, bagatelizując heroizm i grożące im wyzwania. W ten sposób swoją „grę z samobójstwem” prowadzą Polacy, którzy już przed wiekami zarobili sobie na opinię „szaleńców” działających wbrew zdrowemu rozsądkowi. Ale – jak zauważa Chwin – polskie szaleństwo sięga znacznie dalej. Według założycielskiego mitu naszej państwowości, historii o Wandzie, krakowska księżniczka nie tylko nie chciała Niemca, ale przymuszana do tego związku, w końcu utopiła się w Wiśle. Znaczna w tej opowieści rozpiętość pomiędzy licznymi wersjami fabuły dowodzi tylko jej niezwyklej popularności, przewyższającej inny mit o początkach państwa, wywodzony z opowieści o Piaście Kołodziejcu.

Stefan Chwin poświęcił ostatnią swoją książkę o samobójstwie motywowanym altruizmem reakjom heroicznym na dramat rozbiorów. Tytuł książki zatem trochę myli, bo autor nie zamyka materiału przykładów w przeciągu XIX wieku, ale rozpoczyna opowiadaną przez siebie historię protestem Rejtana przeciw pierwszemu rozbiorowi, następnie zajmuje się losem powstańców listopadowych i poetów Wielkiej Emigracji, w mniejszej mierze – styczniowych, nie bez lekkiej ironii kwituje historyczne mitotwórstwo Sienkiewicza, a kończy

migawką z *Kinderszenen* Rymkiewicza, sięgając tym samym w czasy powstania warszawskiego. Chwin podkreśla, że choć samobójcy otaczani są w społeczeństwie głęboką dezaprobatą, a ich akt uważany jest przez Kościół katolicki za bodaj najcięższy z możliwych grzechów, to jednocześnie w społeczeństwie często otacza ich swoisty nimb bohaterstwa, a nawet świętości, pod warunkiem, że ich tragiczna ofiara z własnego życia służy jakimś wyższym wartościom: podtrzymaniu życia bliźnich, obronie wiary religijnej, czci kobiecej lub wolności ojczyzny. Roztrząsanie, jakie racje moralne mogą uzasadniać samobójstwo i nadawać mu wartość, są także nieodłącznym elementem rachunku sumienia stojącego przed męczennikami za wiarę. Chwin podkreśla, jak się rzekło, paradoksalność tego aktu, bo wymaga on swoistego odrzucenia najcenniejszego daru, daru życia, jaki człowiek otrzymuje od Boga. W swojej ostatniej książce pisarz bierze pod lupę analizy najślawniejsze w czasach zaborów przypadki oddania życia za wartości bliskie współnocie i docieka, co z nimi uczyniła i w jaki sposób wykorzystwała zbiorowa mitotwórcza wyobraźnia.

W heroicznej scenie protestu przeciw pierwszemu rozbiorowi, na który posłowie polskiego sejmu gotowi byli się zgodzić, występuje, co oczywiste, Rejtan, ale w roli mniej patetycznej i „teatralnej” niż ta, w której namalował go Matejko, a zatem, zgodnie z historyczną prawdą, samobójstwa nie

popęlnia na sali sejmowej, ale znacznie później i zapewne bardziej dramatycznie, łykając potłuczone szkło na widok wkraczającego do jego rodzinnej miejscowości rosyjskiego wojska. Ale scena rozdzierania koszuli na progu sali sejmowej pozostała w społecznej pamięci dzięki malarzowi. Chwin, opisując kolejne dramatyczne protesty przeciwko rozbiorom, stara się bardzo konsekwentnie uwzględniać różnice pomiędzy tym, co w desperackich aktach jego bohaterów było uwierzytelnioną historycznie prawdą, od tego, co stało się legendą. Najlepiej to widać w przypadku losów porucznika Orдона, któremu Mickiewicz przypisał bohaterską śmierć w wybuchu wysadzonej w powietrze reduty, a który żył jeszcze wiele lat potem, choć w końcu naprawdę popełnił samobójstwo, tyle że w innych zgoła okolicznościach.

Bohaterów, którzy samobójstwem bądź beznadziejnymi próbami pokonania przeważającego wroga reagowali na utratę wolności, było w polskiej historii okresu rozbiorów wielu. Autor książki starannie też różni zamachy na własne życie spowodowane przez rozpacz po wojennej porażce, te, dla których racją było upokorzenie przeżywane wskutek obojętności zagranicznych świadków polskiego męczeństwa (szczególnie papieża), a także te, których motywacją było zniechęcenie i brak perspektyw na przyszłość po wygnaniu z rodzinnego kraju. Niektórzy z bojowników, którzy pozostali w Polsce,

reagowali samobójstwem na reżim więzienny i tortury (jak było z Karolem Levittoux czy z Rajnoldem Suchodolskim). Dla tego ostatniego zapewne trudny był do zniesienia kontrast pomiędzy buńczucznym i optymistycznym nastrojem pisanych przezeń wierszy sławiących powstanie listopadowe a druzgocącym balastem klęski. Kilka rozdziałów swej książki poświęca autor Mickiewiczowi i Słowackiemu, którzy nie mieli w swej biografii aktów heroizmu, ale dla których samobójstwo stanowiło poważny problem filozoficzny i religijny, o czym świadczą utwory, takie jak *Świtez, Dziady, Konrad Wallenrod, Godzina myśli, Kordian*. Nic też dziwnego, skoro kwestia samobójstwa i związane z nią niepokoje natury moralnej, leży w samym środku problematyki romantycznej, z czego autor książki – jako świetny specjalista od literatury polskiego romantyzmu – doskonale zdaje sobie sprawę. W tej sytuacji najwybitniejsi polscy poeci romantyczni, choć w militarne samobójstwo zbiorowe nie byli bezpośrednio zaangażowani, musieli samobójstwo uczynić jednym z najważniejszych tematów swojej twórczości. W rezultacie mitologizujące, choć fikcyjne, samounicestwienie bohaterów ich poematów stało się wzorcem, do którego nawiązywać mogli samobójcy rzeczywistości albo może postaci pojawiające się w popularnych powieściach Sienkiewicza i jego naśladowców.

Ten powracający na przestrzeni wielu dziesięcioleci motyw daniny krwi, jaką muszą rzekomo zapłacić powstańcy w zamian za podtrzymywanie narodowej tożsamości, jest jądrem światopoglądu, z którego narodził się *Kinderszenen* Rymkiewicza. Chwin zdaje się myśleć inaczej: jego scena historyczna wygląda tak, jak ją urządziła mitotwórcza i literacka wyobraźnia, nie ma więc na niej dekoracji niezależnej od systemu odbić, w którym rzeczywistość i fikcja naśladują się wzajemnie i nadają sobie kształt. W tym systemie zwierciadeł realizuje się polska wersja narodowego samobójstwa, a także polskie paradoksy i sprzeczności, które nadają jej pozór sensu. Polska tożsamość? Być może, ale zawsze podszyta bolesną nietożsamością, prawda – kłamstwem, heroizm i poświęcenie – egoizmem, męczeństwo – zdradą, a spontaniczność aktu najwyższego poświęcenia jednostki dla zbiorowości – bolesnym podejrzeniem, że ten odruch podszyty jest złą wiarą. Frenezja aktów poświęcenia narzucana jest nam przez kierowników naszego życia duchowego. Może to więc oni naszeptują nam w uszy: – Zabij się, zabij! Twoja krew dostarczy nam argumentów, kiedy przyjdzie w negocjacjach uzasadnić konieczność zwrócenia nam niepodległości, zastanów się więc, czy to nędzne, pełne upokorzeń życie naprawdę jest Ci potrzebne, zwłaszcza że Bóg ofiarowuje Ci nagrodę w postaci nieśmiertelnej sławy, a my – zbiorowość – wiemy,

jak twój heroizm dla powszechnego dobra wykorzystać. – Z tego rodzaju zawłaszczeniem całości życia obywatela przez ojczyznę borykał się Gombrowicz. Takimi dylematami karmi się naszą wiarę w patriotyczny obowiązek, jaki ma jednostka wobec ojczyzny i zbiorowości, i taka to – podszyta na zmianę cynizmem tych, którzy przetrwali, i imperatywem samozagłady – narodowa tożsamość z nich wynika – a innej nie ma!

Jerzy Jarzębski

**Stefan Chwin**, *Oddać życie za Polskę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku*, Wydawnictwo TYTUŁ, Gdańsk 2021

## Pokój z osobnym wejściem

Książka ma porządną objętość, 656 stron, czytałem więc powoli i uważnie. Z zainteresowaniem, z przyjemnością, jak się słucha ciekawej opowieści o barwnej postaci, w której życiu przegląda się również jej epoka – o jakiej przeważnie trochę wiemy, ale pragniemy wiedzieć więcej. A sama postać „bohatera” opowieści to do pewnego stopnia *doppelgänger* czytelnika – staje się jego dopełniającym sobowtorem, doświadczającym tych samych, choć realnie odmiennych, przygód z egzystencją. Tego poszukujemy w literaturze, w jej różnych narracjach i odmianach, w wierszach,

powieściach, dziennikach, a także w listach, autobiografiach, biografiach – wypatrujemy losu równoległego.

Biografia Wisławy Szymborskiej jest detaliczna, rekonstrukcja odbywa się w przytomności czytelnika, więc niespieszne przemieszczanie się od faktu do anegdoty, od dokumentu do kontekstu, od zdarzenia do jego interpretacji, od interpretacji do konfrontacji z wcześniejszymi opiniami czyni tkaninę tej historii wielowątkową i gęstą.

Joanna Gromek-Ilłg, autorka pracy *Szymborska. Znaki szczególne*, zastrzega się, że jest to „biografia wewnętrzna”. Czwarta strona okładki określa publikację jako „Intymny portret poetki”.

Najbardziej intymnym portretem poetki – poety, pisarza, twórcy – jest dzieło. Do jakiego stopnia biografie pomagają nam w lekturze tego dzieła? To nie są pytania jednorazowe, to pytania stałe. Odpowiedź nawarstwia się z czasem.

Historia spisywana przez Joannę Gromek-Ilłg rozpoczyna się klasycznie: „Lokalnym echem światowej sławy Szymborskiej był spór o miejsce jej urodzenia pomiędzy mieszkańcami Bnina i Kórnika”.

Polemizowano, czy poetka przyszła na świat w „jednym z folwarcznych domów w Kórniku”, czy naprzeciwno, „w głównym budynku folwarku”, w którym na początku 1923 roku zamieszkał z rodziną Wincenty

Szymborski, zarządca dóbr hrabiego Władysława Zamoyskiego. W metryce urodzenia urzędnik stanu cywilnego zapisał, iż stawił się przed nim „co do osobistości znany dyrektor dóbr Wincenty Korwin Szymborski zamieszkały w Prowencie, katolickiego wyznania, i zeznał, że Anna Szymborska, urodzona Karp Rottermund, urodziła [...] dziecko płci żeńskiej, któremu nadane zostało imię Maria Wisława Anna”. Gdy wyjaśni się, że Prowent to nazwa obszaru dworskiego usytuowanego między Kórnikiem a Bninem, rzecz się nieco uporządkuje. „Siedem miast spierało się o ród poety Homera”. By przybliżyć się do tego uniwersalnego wzoru, dopiszmy do listy Toruń, w którym Szymborscy zamieszkali w roku następnym, 1924, i kolejno Kraków, gdzie w 1929 roku osiedli na stałe. A może raczej do niego wrócili, był bowiem rodzinnym miastem Anny. Miastem bliskim również ojcu poetki, który przed służbowym wyjazdem do Kórnik związany był z Zakopanem od 1906 roku.

Ostatnia z wymienionych miejscowości może rościć sobie nie mniejsze prawa do Szymborskiej, co Kraków, jako że „Astoria”, od roku 1945 dom pracy twórczej literatów, był zarówno zimową, jak letnią stolicą późniejszej Noblistki.

Gromek-Ilłg systematycznie i szczegółowo zrekonstruowała dzieciństwo i młodość Marii Wisławy, zwanej w rodzinie Ichną. Portrety jej

rodziców, starannie opisane relacje pomiędzy nimi a córkami oraz charakterystyka obu dziewczynek, starszej Nawoi i jej młodszej siostry, tworzą w dużym stopniu samodzielny wątek. Ukazują międzywojenne życie rodziny, jej sytuację materialną wpisaną w kontekst ekonomiczny i społeczny Dwudziestolecia, szczególnie lat trzydziestych, na które przypadł czas istotnego rozwoju intelektualnego i dojrzewania osobowości Wisławy. Jeśli zauważyć, że „W sierpniu 1936 roku Fundacja Kórnicka zawiadomiła pana Szymborskiego o całkowitym wstrzymaniu wypłat jego renty”, zobaczymy w tym szczególe nie tylko powszechny wymiar krachu ekonomicznego drugiej połowy lat trzydziestych, lecz jego dramatyczne konsekwencje indywidualne. Wincenty Szymborski zmarł nagle na atak serca 9 września, w miesiąc po tym zawiadomieniu. Wisława liczyła sobie trzynaście lat. Sześć dekad później, tuż po Nagrodzie Nobla, wyznała, że „jej miłość do ojca była wręcz histeryczna”.

Przez dwadzieścia lat, do roku 1948, rodzina mieszkała w kamienicy przy ulicy Radziwiłłowskiej. Poetka uczyła się w szkole powszechnej przy Podwalu, od jesieni 1935 w Gimnazjum Sióstr Urszulanek. W domowym archiwum przetrwała korespondencja, głównie wakacyjna, sióstr z matką oraz żartobliwe juvenilia wierszowane Wisławy. Pisanie było wówczas dla niej jedną z form domowej i rówieśniczej zabawy. Pokazały to po raz pierwszy Anna

Bikont i Joanna Szczęsna w książce pt. *Wisławy Szymborskiej pamiątkowe rupiecie, przyjaciele i sny* (1997). Gromek-Ilłg przytacza niektóre z tych okolicznościowych wierszyków, przeważnie zabawnych i pełnych wdzięku, a jednocześnie ironicznych i spostrzegawczych. Późniejsza ludyczna twórczość autorki *Wołania do Yeti* przedstawia się jako naturalna kontynuacja tamtych dziecięcych żartów i stała się znana niemal powszechnie, zwłaszcza w pierwszych latach po Nagrodzie Nobla. Zaburzyło to do pewnego stopnia wizerunek poetki, która po lekturze ...*pamiątkowych rupieci*... zwierzyła się autorkom:

„Uświadomiłam sobie, że ta cała moja historia pozbawiona jest dramatyzmu. Tak jakbym prowadziła życie motylka, jakby życie tylko głąskalo mnie po głowie. To jest mój portret zewnętrzny. [...] Czy ja naprawdę taka jestem? Życie miałam właściwie szczęśliwe, choć było w nim wiele śmierci, wiele wątpliwości. Ale oczywiście ja o sprawach osobistych mówić nie chcę, ale też nie lubiłabym, żeby inni mówili. Co innego po mojej śmierci. Ja mam do ludzi inną twarz, dlatego pokazują mnie od strony anegdotycznej, jako osobę wesołą, która nic tylko wymyśla gry i zabawy. To, że inni tak mnie widzą, to moja wina. Pracowałam długo na ten wizerunek”.

Przytaczając tę wypowiedź, Gromek-Ilłg konstatuje: „Przystępując do pracy nad biografią poetki już po jej

śmierci, mogłam czuć się zwolniona z zakazu poruszania tematów osobistych. Nie czuję się jednak zwolniona z szacunku dla tajemnic życia osobistego Szymborskiej”.

W jaki sposób tworzy się ów portret wewnętrzny, którego niedostatek odczuwała w latach dziewięćdziesiątych wybitna poetka, gdy zaczął jej ciążyć wizerunek starszej pani od limeryków, kolaży i towarzyskich loteryjek? Czytając pierwszą część monografii – *Dziewczynka, którą byłam* – liczącą około stu dwudziestu stron, śledzę rekonstruowane umiejętnie dzieciństwo i młodość osoby, która wyróżnia się energią, ciekawością życia, inteligencją, spostrzegawczością, poczuciem humoru, wyczuciem języka, niezależnością, a zarazem prawidłowym uspołecznieniem. Ten zestaw właściwości nie przesądza o wybitnej biografii w przyszłości, ale stanowi jej potencjał i w połączeniu z życiowym doświadczeniem może stworzyć zarówno indywidualność, jak też jej artefakty.

Szymborska, poetka znana i lubiana w krakowskim środowisku literackim od jego powojennych początków, postrzegana była jako osoba towarzyska i zarazem skryta. W miarę powiększania się i rosnącej popularności jej twórczości poetyckiej naturalnym stawało się zainteresowanie osobą autorki. Ona tymczasem stroniła od mediów, nie udzielała wywiadów, unikała aparatów fotograficznych i kamer. „...o sprawach osobistych

mówić nie chcę, ale też nie lubiłabym, żeby inni mówili”.

W roku 1996 Literacka Nagroda Nobla nagle sforsowała drzwi do prywatności poetki. Szczególnie noblowski tydzień w Sztokholmie, przepełniony wydarzeniami, spotkaniami i rytuałami święta literackiego, okazał się ponad siły Laureatki, która odczuwała, że narzuca jej nadmiar widowiskowych obowiązków. „Odmówiła – pisze Gromek-IIIg – uczestnictwa we własnym wieczorze autorskim i w podpisywaniu książek, nie poszła na lunch ze światową śmietanką kulturalną, na przyjęciu wydanym przez Fundację Nobla zamajaczyła tylko przez chwilę [...]. Nie poszła też do Andersa [Bodegård – przyp. A.Z.] na kolację wydaną na jej cześć”.

Ten wybitny tłumacz z polskiego oraz francuskiego przekładał zarówno wiersze – Zbigniewa Herberta, Czesława Miłosza, Ewy Lipskiej, Adama Zagajewskiego – jak prozę: *Dziennik* Witolda Gombrowicza, reportaże Ryszarda Kapuścińskiego, powieści Pawła Huelle... Zaprzyjaźniony był z poetką od początku lat osiemdziesiątych, kiedy rozpoczęła na Uniwersytecie Jagiellońskim lektorat języka szwedzkiego; został wówczas serdecznie przyjęty przez krakowskie środowisko literackie i humanistyczne. Wisława Szymborska powiadała, że bez pracy Bodegård nie byłoby jej Nobla. Rezygnacja z wizyty w domu wieloletniego przyjaciela

musiała świadczyć o wielkim zmęczeniu poetki.

Podobnych nieobecności mogło być więcej. „Okazało się – pisze Gromek-Ilg – że – Szyborska nie jest w stanie »obsłużyć« wszystkich zaplanowanych imprez. Na szczęście była pod dobrą opieką Teresy Walas wspieranej przez Mikę Larsson, *attaché* noblowską poetki. To Mika bez wahania kasowała spotkania – dobre samopoczucie Wisławy było dla niej najważniejsze”.

Poetka chętnie dzieliła się z ludźmi swymi wierszami, natomiast z trudem akceptowała przekonanie, że również ona sama jest „dobrem wspólnym”. Pamiętam informację telewizyjną o tym, że odmówiła zaproszenia do swego apartamentu tzw. procesji świętej Łucji. Jest to pochód kilkunastu dziewcząt w białych szatach niosących zapalone świece, co symbolizuje zbliżanie się światła po najdłuższej zimowej nocy. Jeżeli dodamy, że rytuał ma miejsce 13 grudnia około piątej nad ranem, łatwiej usprawiedliwimy tę obronną reakcję. Nie każdy jest skłonny odbywać skandynawskie roraty, leżąc w łóżku.

„Ponieważ interesowało mnie nie tyle życie zewnętrzne, ile psychika poetki, jej przeżycia wewnętrzne, rozwój i zmiany osobowości – pisze autorka *Znaków szczególnych* – odważyłam się podjąć ten temat”.

Dzięki tej odwadze możemy się zanurzyć przede wszystkim w specyficznym spersonalizowanym życiu literackim powojennego Krakowa. Symbolicznie rozpoczęło się w styczniu 1945 roku w Starym Teatrze. Wśród poetów czytających wówczas wiersze znaleźli się trzydziestotrzyletni Czesław Miłosz i dwudziestoletni Zbigniew Herbert, którego rówieśnica, Wisława Szyborska, była wśród słuchaczy.

Druga część opowieści – *Nowy powojenny świat* – obejmuje pierwsze piętnastolecie literackiej biografii Wisławy Szyborskiej, lata 1945–1960, najmniej znane, a przez to podatne na interpretacyjną powierzchowność i stereotypy, a nawet manipulacje. Gromek-Ilg szczegółowo odtwarza początki literackiej drogi Szyborskiej. Opisuje dzieje pierwszego opublikowanego wiersza poetki, który zredagował, głównie go skracając, Adam Włodek, pracujący w „Dzienniku Polskim”, energiczny patron początkujących autorek i autorów, później mąż poetki. Po ślubie w 1948 roku para mogła być postrzegana jako „wzór nowoczesnego socjalistycznego małżeństwa”. Niekoniecznie było to powszechnie akceptowane. Początkowego entuzjazmu dla nowego porządku społecznego nie omieszkało wymawiać poetce również po Noblu, oraz po śmierci.

Sama poetka także pamiętała. Z właściwą sobie przenikliwością pisał niedawno Adam Zagajewski w eseju



*Kawa po turecku*, poświęconym autorce *Wielkiej liczby*:

„Myślę, że nigdy sobie nie wybaczyła swoich wierszy socrealistycznych. Nie znosiła, gdy wypominano jej lata socrealizmu, cierpiała z tego powodu, wiedziała, że gdy jest wśród przyjaciół, nie będzie o tym mowy, jest bezpieczna, ale wydaje mi się, że sama pamiętała o nich zawsze, może nawet codziennie. [...] Zobaczyła, jak łatwo dochodzi do korupcji języka, jeśli poecie, pisarzowi nie towarzyszy najwyższe napięcie uwagi etycznej czy filozoficznej. I z pewnością było to dla niej, po latach twórczej pracy, sumiennej i pełnej inwencji, czymś niepojętym: że za młodo mogła sprzeniewierzyć się prawdzie poezji” (*Poezja dla początkujących*, 2017).

Nie wypominajmy więc poetce tego, co należy do niełatwej, mimo wszystko naturalnej złożoności życia.

Pamiętając o tej złożoności, autorka *Znaków szczególnych* stara się przede wszystkim opisywać. Rzetelny opis jest również objaśnieniem, jednak niekoniecznie prostym. Opowieść Gromek-IIIg o związku Wisławy Szymborskiej z Adamem Włodkiem, umieszczona na tle specyficznych czasów, pozwala zrozumieć proces światopoglądowej ewolucji obojga poetów, przemiany konsekwentnej, lecz niemieszczącej się w politycznie instrumentalizowanych schematach. Wszak Włodek, entuzjastycznie ideowy komunista, wystąpił z PZPR na

długo przed następnymi literatami, bo już w październiku 1957 roku, zarzucając w liście skierowanym do „Partii”, że ta „do największych wrogów [...] zalicza tę część młodzieży, która walnie przyczyniła się do zwycięstwa Października”. Chyba jako jeden z pierwszych szczerych wyznawców „demokracji ludowej” rozpoznał jej cyniczne założenia.

Wtedy, w roku 1957, Adam Włodek nie był już mężem poetki, rozwiedli się trzy lata wcześniej. Pozostawał jednak jej opiekunem i przyjacielem do końca swego życia, co także zdumiewało niektórych, podobnie jak ich wcześniejsze małżeństwo. Była to „dziwna figura emocjonalna: małżonkowie pocieszający się po rozstaniu”. Dziwności było więcej – sama Szymborska dziwiła się własnej dziwności. Podczas dłuższego sanatoryjnego leczenia w Zakopanem pisała do Kornela Filipowicza: „Do tej pory myślałam, że jestem bardzo normalna, teraz dopiero widzę, że się różnię, i to prawie we wszystkim. Dziwne odkrycie”.

Tym cytatem wyprzedziłem trochę chronologię *Znaków szczególnych*, przeskakując spory fragment biografii poetki, list jest bowiem z 1968 roku, trudnego i pod wieloma względami przełomowego politycznie. Wobec dłuższej rozłąki korespondencja Wisławy Szymborskiej i Kornela Filipowicza zastępowała parze pisarzy niełatwe do osiągnięcia w drugiej połowie XX stulecia rozmowy telefoniczne

– co dziś trudno sobie wyobrazić – i służyła głównie podtrzymaniu niewątpliwie silnej i stale się wzmacniającej więzi. Po części była również potrzebna praktycznej codzienności. Oboje mieszkali osobno, Filipowicz często robił wypadki wędkarskie, Szyborska, co dokumentuje początkowa część korespondencji, prawie pół roku leczyła się w sanatorium o koszarowym reżimie.

Oboje prowadzili w listach uzupełniający dialog osobisty, jednoznacznie prywatny. Niewielka reszta, choć znamienita i znacząca, przenikała do korespondencji mimochodem, wciśkała się, przypięta do języka, jak rzep do psiego ogona. Umiejętnie, co także znaczy precyzyjnie i oszczędnie, korzystali z tej właściwości mowy, tu i ówdzie rzucając mieniące się dosłownością i metaforycznością porównania czy aluzje. Nie komentowali bieżących spraw, wiedzieli o nich, mieli tę samą opinię, angażowali się wspólnie i razem z innymi pisarzami, podpisując istotne protesty polityczne. Nie było potrzeby wspominać o tym w listach, które mogły być – i okresami były – przed doręczeniem adresatom otwierane przez nieznaną, choć wiadomych, „czytelników”. Kornel Filipowicz w liście z 27 sierpnia tegoż 1968 roku umieścił postscriptum: „W »Le Monde« protest Mrożka!” (*Najlepiej w życiu ma twój kot. Listy*, 2016).

Zamknięta w zakopiańskim sanatorium i skazana na wyłączność oficjalnych wiadomości Szyborska

dowiedziała się z tego dopisku, że przebywający w Paryżu znany dramaturg, ich przyjaciel, opublikował protest przeciw agresji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Do korespondencji z czasów Polski Ludowej stosuje się klucz tak zwanego języka ezopowego, podobnie jak do utworów literackich.

Poetka znała bardzo dobrze, z literackiej autopsji, charakterystyczną dla oficjalnego języka polityki oraz mediów „nowomowę”. Przez kilkanaście lat pracowała w redakcji „Życia Literackiego”, ogólnopolskiego tygodnika, który w masowym nakładzie ukazywał się przez czterdzieści lat (1951–1990), zajmował się literaturą, kulturą, historią i polityką. Obecny we wszystkich bibliotekach powszechnych i szkolnych, kształtował obraz współczesnej polskiej literatury. Oczywiście obraz jednostronny. Pytanie, na czym polegał fenomen funkcjonowania literackiego w dwoistej rzeczywistości, między Władysławem Machejkiem a Jerzym Giedroyciem, wybrzmiewało przez wiele lat, a odpowiedzi na nie są urozmaicone również dzisiaj. Na to, kim był Machejek, kogo reprezentował i co symbolizował, można byłoby spuścić zasłonę miłosierdzia, bo w najlepszym razie należy do szczegółowej historii życia literackiego PRL. W cytowanym wyżej eseju nie mógł go pominąć również Adam Zagajewski: „Niekiedy pojawiał się na moment [w redakcji „Życia Literackiego” – przyp. mój] szef Władysław Machejek, postać

w najwyższym stopniu dwuznaczna, działacz partyjny o silnych i grafomańskich ambicjach literackich” (*Kawa po turecku*). Szymborska pracowała w redakcji tygodnika od jego początku, od 1953 do 1966 roku prowadziła dział poezji, decydując o jego kształcie. Żeby to było możliwe, z pewnością stale musiała targować się z cenzorami. Patronowała wielu znaczącym, wartościowym debiutom, znała chyba wszystkich polskich poetów, zabiegała o stałą obecność autorów wybitnych. Niektóre z tych relacji przekształciły się w wieloletnie przyjaźnie, o czym świadczy publikowana korespondencja ze Zbigniewem Herbertem, Joanną Kulmową i Stanisławem Barańczakiem. Zapewne w przyszłości ukażą się jeszcze inne listy, choćby wymieniane z Karlem Dedecusem.

Umieszczone wcześniej nazwisko redaktora „Kultury” Jerzego Giedroycia jest dla dziejów polskiej literatury oraz myśli społecznej i politycznej emblematyczne, to oczywiste. Szymborska trafiła do Maisons Laffitte w 1957 roku, podczas pierwszej podróży na Zachód. Żelazna kurtyna podniosła się na chwilę i kilkoro pisarzy pojechało do Paryża: razem z poetką Sławomir Mrożek i Tadeusz Nowak, później dołączył do nich Jan Józef Szczepański. W dziennikach tego pisarza znajdziemy sporo szczegółów. Relacje z owego pobytu poetka wysyłała do Adama Włodka. Pisała także do mamy i siostry. Z listu do nich przytoczmy sprawozdanie z Luwru:

„W dziale rzymskim jest popiersie pewnego młodzieńca z najłagodniejszą i najniewinniejszą buzią na świecie – o przepięknym i chciałoby się powiedzieć: szlachetnym rysunku brwi i bardzo nieśmiałych ustach. Twarzyczka pełna słodyczy i delikatnej zadumy. Jest to popiersie Kaliguli” (Gromek-IIIg).

I nieco dalej refleksja: „Przechodzę tu krótki kurs sceptycyzmu”.

W 1957 roku sceptycyzm Wiśławy Szymborskiej był już nieźle rozwinięty. Jej przyjaciel ze wspólnego domu literatów przy ulicy Krupniczej, w kilka lat później już światowej sławy dramaturg, autor realistycznego i zarazem ponadczasowego *Tanga*, zdecydował się w 1963 roku na emigrację. Inny dobry znajomy, Jan Józef Szczepański, późniejszy prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i autor dokumentalnej *Kadencji*, notował w *Dzienniku 1957–1963* rozpowszechnioną, przynajmniej w Krakowie, następującą wersję sceptycyzmu: „Nowy dowcip: okresy w powojennej sztuce polskiej: fernalizm, ubizm, neorepresjonizm”.

Lektura *Znaków szczególnych* pomaga rozumieć paradoksy albo pozorną sprzeczność zarówno osobowości Szymborskiej, jak niejednoznaczność przeszłości.

Ponownie skorzystam z pomocy Adama Zagajewskiego, który ujął rzecz zwięźle:

„PRL był bardzo dziwnym krajem: kultura prawie w całości finansowana była

(skromnie) przez państwo, natomiast większość artystów, filmowców, ludzi teatru, pisarzy, poetów, nawet kompozytorów to samo państwo poddawała bezlitosnej, choć lekko zakamuflowanej krytyce. Trudno chyba w długiej historii stosunków między mecenasem sztuki i artystą znaleźć drugi przykład sytuacji, w której główną misją artysty byłoby wyśmiewanie mecenasów (*Poezja dla początkujących*).

Owo „wyśmiewanie mecenasów” było również czymś więcej. Gromek-III pisze o tym obszernie, bowiem jest to istotny wątek założonej „biografii wewnętrznej”, czyli próby całościowego ujęcia osobowości poetki. Szło, ni mniej, ni więcej, ale o wewnętrzną wolność. Warunkiem jej zachowania były dystans, ironia i niezależny język. Oto przykład z listu Wisławy Szymborskiej wysłanego 18 kwietnia 1974 do Kornela Filipowicza, który był w jej życiu „prawdopodobnie najważniejszą postacią”:

„Z Alicją liczymy przy telewizorze pocałunki, jakimi się obdarzają mężowie stanu. Pierwsza kategoria: całusek w usta z żelaznym obłapem (Breżniew z Gierkiem) – druga: całusek w policzek z obłapem (Breżniew z Jaroszewiczem), trzecia całusek w powietrze (Breżniew z Czauczescu). Gromyko tylko ścisła łapki. Ja Cię całuję w kat. I” (*Najlepiej w życiu ma twój kot. Listy*).

Wszecchobecna polityczność jest przez oboje korespondentów świadomie przytaczana, zawsze w ironicznej

konwencji, eksponującej charakter rzeczywistości „zewnątrznej”, wobec której należy zachowywać racjonalny dystans. Oto kolejny przykład: „Kochany! [...] jakby to było dobrze być wreszcie razem! [...] Jeżeli los chce ode mnie jakiegoś okupu, to proszę – niech skreśli mi nawet Nagrodę Lenińską!” (list z 30.10.1968).

Od roku 1967, zaprzestawszy prowadzenia w „Życiu Literackim” działu poezji, Wisława Szymborska publikowała cykliczny felieton pod tytułem *Lektury nadobowiązkowe*. Wystarczy prześledzić miejsca publikacji tego cyklu, by zobaczyć szczególne „tło historyczne”. Na początku lat osiemdziesiątych autorka przeniosła się na łamy nowego periodyku pt. „Pismo”, by – po jego nagłej likwidacji – skorzystać z gościnnych łamów miesięcznika „Odra”, a następnie osiąść w „Tygodniku Powszechnym”, zaś jeszcze później (1993–2002) publikować w „Gazecie Wyborczej”. Tym razem to krótki kurs nie tylko sceptycyzmu, lecz także historii polskiego życia umysłowego w końcu XX wieku.

Felietony obejmowały wszystko, co zdaniem poetki było interesującą lekturą: książki popularnonaukowe, ze szczególnym uwzględnieniem przyrodniczych, wspomnienia, biografie, poradniki, antologie, leksykony, klasykę literatury itp. *Wszystkie lektury nadobowiązkowe*, pełne wydanie z 2015 roku, zawiera 562 teksty. Można w nich

odnaleźć nie tylko tematyczne tworzywo wierszy, lecz przede wszystkim jest to swoisty dziennik poetki i szczególnie kronika umysłowa epoki.

Mówiąc o latach osiemdziesiątych w biografii Wisławy Szymborskiej nie można pominąć jej obecności w „NaGłosie”, słynnym krakowskim, a zarazem ogólnopolskim, „piśmie mówionym”, założonym przez opozycyjnych pisarzy w końcu 1983 roku. „I Szymborska, i Filipowicz brali udział w większości »NaGłosów«, sądzę, że mieli udział w przygotowywaniu kolejnych wieczorów, sugerując Bronisławowi Majowi, zapraszającemu wykonawców, kogo warto ściągnąć do Krakowa”.

Czy lepsza znajomość biografii wzbogaca lekturę poezji (prozy, dzieła)? To pytanie uniwersalne, odpowiadam na nie pozytywnie – biografia autora też jest swoistym dziełem i przekazem, a twórczość to część biografii.

Na przykład znany wiersz *Dwie małpy Bruegla* zwykliśmy interpretować w kategoriach rzeczywistości politycznej (wszak opublikowany w roku 1957) i historiozoficznej, co podpowiada sama autorka:

Zdaję z historii ludzi.

Jąkam się i brnę.

Jednak może nie tylko te dwa wymiary? Znając teraz lepiej biografie Noblistki i jej konsekwentną obronę prawa do „pokoju z osobnym wejściem”, nie mogę wykluczyć perspektywy najbardziej osobistej. Stała obecność

motywu małpy w prywatnym, intymnym języku zdaje się potwierdzać możliwość takiej interpretacji. Przewijający się przez kilkadziesiąt lat w korespondencji „małpi” wątek spolegliwie podejmują bliscy jej mężczyźni. Jeden z nich otrzymuje przydomek „Małpierz”. Byłbym też ciekaw, czy poetka, podtrzymując i pogłębiając upodobanie do tego emblematu, czyniła to ze świadomością, że wizerunek strojących miny małp towarzyszył od wczesnego dzieciństwa Jeanowi Baptystie Molièrowi, komediantowi wszech czasów, który tak je polubił, że u schyłku życia, projektując swój herb, umieścił w nim wizerunek małpisonów zdobiących paryski dom jego ojca...

Do jakiego stopnia biografie tworzą portret wybranego obiektu? Zdaniem Elżbiety Turnau „Wisława tworzyła materiał dla przyszłych biografów, nowelkę o sobie samej. [...] O swoich osobistych sprawach i uczuciach nie mówiła prawie nigdy”.

Zmierzając do zakończenia biografii, Gromek-IIIg wyznała:

„jeden z rozmówców powiedział mi, że to, co najważniejsze w życiu Szymborskiej, jest w jej wierszach. I tylko tam”.

Andrzej Zawada

**Joanna Gromek-IIIg, Szymborska. Znaki szczególne. Biografia wewnętrzna**, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, Kraków 2020

**Kazimierz Brakoniecki**, ur. 1952 w Barczewie, poeta, eseista, tłumacz poezji frankofońskiej, regionalista; ostatnio opublikował: *Drzewo alfabetu* (2019), *Twarze świata* (2019), *Poeta i świat. Wyznania, wywiady, wiersze* (2020) oraz *Pies na wiersze albo Pieczewo* (2021). Mieszka w Olsztynie.

**Stefan Chwin**, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio opublikował *Opowiadania dla Krystyny* (2018) oraz *Oddać życie za Polskę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku* (2021) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 3 (67) i 2016 nr 4 (92)]. Mieszka w Gdańsku.

**Mirosław Dzień**, ur. 1965 w Bielsku-Białej, poeta, eseista, krytyk literacki; profesor Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej; ostatnio opublikował *Thambos* (2019) oraz *Ptaki, ptaszki* (2020). Mieszka w Bielsku-Białej.

**Peter Fabjan**, ur. 1938 w Traunstein, lekarz internista, przyrodni brat Thomasa Bernharda, założyciel Archiwum, Fundacji i Towarzystwa jego imienia; opublikował *Ein Leben an der Seite von Thomas Bernhard* (2021). Mieszka w Gmunden.

**Aleksander Fiut**, ur. 1945 w Żywcu, historyk literatury, eseista, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Po kropce* (2016). Mieszka w Krakowie.

**Renata Górczyńska**, ur. 1943 w Warszawie, eseistka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała: *Małe miłosziana* (2017) i *Portret mężczyzny z kamerą* (2020). Mieszka w Gdyni.

**Julia Hartwig** (1921–2017), poetka, eseistka, tłumaczka; autorka m.in. kilku tomów wierszy [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2011 nr 3

(71)]; ukazały się m.in.: *Wiersze wybrane* (2014), *Błyski wybrane* (2014), *Dziennik*, tom 2 (2014), tom wierszy *Spojrzenie* (2016).

**Jerzy Jarzębski**, ur. 1947 w Bytomiu, eseista, krytyk literacki, historyk literatury, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Gry poetyckie i teatralne* (2018) oraz *Miasta, rzeczy, przestrzenie* (2020). Mieszka w Krakowie.

**Marek Kędziński**, ur. 1953 w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Becketta i Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Bernharda *Przeigrany* (2019) i *Pułapka Becketta* z Krzysztofem Myszkowskim (2020). Mieszka m.in. w Paryżu.

**Michael Krüger**, ur. 1943 w Wittgendorf, niemiecki poeta, prozaik, tłumacz, wydawca i edytor; redaktor naczelny miesięcznika literackiego „Akzente” i prezydent Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych; autor około dwudziestu książek poetyckich; ostatnio opublikował *Umstellung der Zeit* (2013); w Polsce ukazały się powieść *Wiolonczelistka* (2005) i wybór wierszy *Pejzaż z drzewem* (2013); wiersz *Krzeseł Zbigniewa Herberta* ukazał się we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” 31 sierpnia 2016.

**Ryszard Krynicki**, ur. 1943 w Sankt Valentin (Austria), poeta i wydawca; autor tomów poetyckich, tłumacz poezji niemieckojęzycznej, m.in. Paula Celana, Georga Trakla, Nelly Sachs; edytor tomów wierszy m.in. Zbigniewa Herberta i Wisławy Szymborskiej; ostatnio opublikował przekład wierszy Hansa Magnusa Enzensbergera *Spotkanie innego rodzaju* (2019) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2013 nr 2 (78)]. Mieszka w Krakowie.

**Danielle Lehtinen** (nee Daniela Międzyrzecka), ur. 1955 w Warszawie; po skończeniu czterdziestoletniej kariery pedagogicznej

w Nowym Jorku mieszka z mężem Keithem Lehtinenem w Pensylwanii.

**Antoni Libera**, ur. 1949 w Warszawie, pisarz, tłumacz, reżyser; ostatnio opublikował nowe przekłady *Tragedii* Sofoklesa (2018) i *Tragedii* Racine'a (2019), *Godot i jego cień* (2019) oraz przekład *Eleutherii* Becketta (2021) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2019 nr 1 (101)]. Mieszka w Warszawie.

**Zbigniew Mentzel**, ur. 1951 w Warszawie, prozaik, eseista, felietonista; ostatnio opublikował tom *Kaszanka jako forma życia duchowego* (2019) oraz *Kołakowski. Czytanie świata. Biografia* (2020). Mieszka w Warszawie.

**Czesław Miłosz**, ur. 1911 w Szetejniach na Wileńszczyźnie, zm. 2004 w Krakowie; największy poeta polski XX w., eseista, prozaik, tłumacz; ostatnio w edycji *Dzieł zebranych* ukazało się *Wygnanie i powroty*. Publicystyka rozproszona z lat 1951–2004 (2019) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2001 nr 2 (30), 2004 nr 3 (43), 205 nr 3 (47), 2008 nr 3 (59), 2011 nr 2 (70), 2014 nr 2 (82)].

**Krzysztof Myszkowski**, ur. 1952 w Toruniu, pisarz; ostatnio opublikował *Puste miejsce* (2018), *Punkt wyjścia* (2019) i *Pułapkę Becketta* z Markiem Kędzierskim (2020). Mieszka w Toruniu i w Bydgoszczy.

**Tomasz Różycki**, ur. 1970 w Opolu, poeta, tłumacz; ostatnio opublikował: tomy wierszy *Wiersze wybrane* (2018) i *Kapitan X* (2020), tom esejów *Próby ognia. Błędna kartografia Europy* (2020) oraz *Iłasz* (2021). Mieszka w Opolu.

**Renate Schmidgall**, ur. 1955 w Heilbronn, tłumaczka, slawistka i germanistka na Uniwersytecie w Heidelbergu; ostatnio opublikowała dwujęzyczny tom wierszy *Pojechać do Weinsberg / Nach Weinsberg fahren* (2018) oraz przekład zbioru esejów Adama Zagajewskiego *Poezja dla początkujących* (2021). Mieszka w Darmstadt.

**William Shakespeare** (1564–1616), jeden z największych dramaturgów świata, autor m.in. *Romea i Julii*, *Makbeta*, *Hamleta*, *Króla Leara* i *Burzy*.

**Gary Snyder**, ur. 1930, poeta amerykański, wybitny przedstawiciel poezji natury, jeden z czołowych uczestników *beat generation*; wydał m.in. zbiory: *Riprap* (1959), *Myths and*

*Texts* (1960), *Six Sections from Mountains and Rivers without End* (1965), *The Back Country* (1968), *Turtle Island* (1974), (Nagroda Pulitzera), *Axe Handles* (1983), *Left Out in the Rain* (1986) i tom esejów *Earth House Hold* (1970); nazywany „Thoreau pokolenia beatników”; w 2013 Wydawnictwo Znak opublikowało wybór wierszy Poety pt. *Dlaczego kierowcy ciężarówek z drewnem wstają wcześniej niż adepci Zen*, owoc pracy dziesięciu tłumaczy.

**Leszek Szaruga**, ur. 1946 w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckojęzycznej i rosyjskiej, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował m.in. zbiór aforyzmów *Kanibale lubią ludzi* (2019), tom esejów *Przestrzenie dialogu* (2019), *Istnienie* (2020) *Deutsche vita. Zarys dziejów literatury niemieckiej do końca wojny trzydziestoletniej* (2020) oraz *Łowcę* (2021) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2016 nr 1 (89)]. Mieszka w Warszawie.

**Piotr Szewc**, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki; ostatnio opublikował tom wierszy *Światelko* (2017) oraz *Tymczasem. Wybór wierszy* (2019). Mieszka w Warszawie.

**Artur Szlosarek**, ur. 1968 w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio opublikował *Późne echo* (2017). Mieszka w Berlinie.

**Andrzej Szuba**, ur. 1949 w Gliwicach, poeta, tłumacz poezji anglojęzycznej; ostatnio opublikował *444 strzepy* (2018), przekłady wierszy Rona Padgetta *Bezczynność butów. Wybór wierszy* (2018) i Walta Whitmana *Powrót bohaterów* (2019) oraz *Wygasić* (2020). Mieszka w Katowicach.

**Grzegorz Wróblewski**, ur. 1962 w Gdańsku, poeta, dramaturg; ostatnio opublikował *Pani Sześć Gier* (2019), *Runy lunarne* (2019). Mieszka w Kopenhadze.

**Adam Zagajewski** (1945–2021), poeta, prozaik, eseista, od 1983 roku redaktor „Zeszytów Literackich”; ostatnio opublikował zbiór esejów *Substancja nieuporządkowana* (2019) i tomik wierszy *Prawdziwe życie* (2019).

**Andrzej Zawada**, ur. 1948 w Wieluniu, eseista i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował *Pracownię literacką* (2021). Mieszka we Wrocławiu i Dębnicach.

## Komunikat

Na drugą edycję Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Kazimierza Hoffmana organizowanego przez Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy pod patronatem Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego nadesłano ponad 180 tomików. Do Nagrody nominowani zostali: Jan Baron – *Psińco*, Maciej Bieszczad – *Niteczka*, Jerzy Kronhold – *Długie spacery nad Olzą*, Katarzyna Michalczak – *Tysiąc saun* oraz Piotr Mitzner – *Przygody chłopca*.

Laureatem został Piotr Mitzner.

Świetnie skonstruowany, przejmujący tom. *Przygody chłopca* – tak mogłaby się nazywać opowiadka dla dzieci albo bajka. Jeśli zaś bajka, to bardzo gorzka i pełna czarnego humoru. Przewrotna i tylko pozornie zabawna. Mówi o dorastaniu, czyli traceniu, o pogoni za własną tożsamością, o ukryciu się i odsłonięciu. O największej, bo aż do śmierci trwającej przygodzie, jaką jest życie.

Żart liryczny, bajka nie bajka, surrealizm, i tak wchodzimy w przypomnienie czasów dzieciństwa, w ustawiczną obecność w nas dziecka, z którym prowadzi się rozmowę. A obok tego, na serio, przypomnienie czasu wojny, jej śladów, które wciąż wyłażą na wierzch. Historia ukryta pod ziemią nagle daje o sobie znać. Historia ukryta w pamięci dziecka zaczyna niepokoić dorosłego. Widzimy tego chłopca, który balansuje na śliskim dachu, i tego dorosłego, który po latach okupacji wypelza ze swojej kryjówki. W kilku króciutkich wersach pełna charakterystyka postaci i miejsca. To jest przecież poezja skrótu, lapidarna, oszczędna i dynamiczna.

Kim jest ja? To pytanie nie pada w tych wierszach, ale znajdujemy na nie odpowiedź. Ja – to urodzony śmiertelnik. Dorastanie chłopca jest odzapominaniem. Szukaniem siebie pozornie istniejącego tylko w przeszłości. O tym, co bolesne, co jest raną każdego istnienia Mitzner mówi lekko, ot tak, po prostu, jak w zwykłej rozmowie, gdy unika się słów podniosłych.

Iwona Smolka



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego

**Wydawca:**

Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy



**Adres redakcji:**

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6

tel. 52 585 15 02 wewn. 115

e-mail: [kwartalnik@kpck.pl](mailto:kwartalnik@kpck.pl)

[www.kwartalnik.art.pl](http://www.kwartalnik.art.pl)

Prenumerata: Barbara Laskowska, tel. 52 585 15 02, wewn. 101

**Warunki prenumeraty:**

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 40 zł
- zagranicznej – 40 USD / 35 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

PKO SA II Oddział Bydgoszcz 68 1240 3493 1111 0000 4305 7874

„Kwartalnik Artystyczny”

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Na okładce fot. Elżbiety Lempp

Korekta: Barbara Dąbrowa, Ligia Podgórska

DTP: Wydawnictwo Pejzaż, Stadnicki s.k.

ul. dr. Karola Marcinkowskiego 1/2, 85-056 Bydgoszcz, [projektpejaz.pl](http://projektpejaz.pl)

Druk i oprawa: Drukarnia Abedik, Bydgoszcz

*Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje*

*Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu  
i Urzędowi Miasta Bydgoszczy za pomoc finansową w wydaniu numeru 2/2021*



Województwo  
Kujawsko-Pomorskie



Miasto  
Bydgoszcz

Biuro Literackie

Adda Djørup, *Najsłabszy opór*, przekład z języka duńskiego Bogusława Sochańska, seria: Proza, tom 62, Stronie Śląskie 2021

Institut Literatury

*Inny świat w literaturze narodów. Konteksty, życiorysy, interpretacje*, red. Justyna Pyzia, Józef M. Ruszar, seria: Biblioteka Pana Cogito, Kraków 2020

Stanisław Gawliński, *Szkoła poetycka Józefa Czechowicza. O awangardzie (nie tylko) lubelskiej*, seria: Biblioteka Pana Cogito, Kraków 2020

Adrian Gleń, *(Nie) zupełnie prywatnie. Studia i szkice o literaturze współczesnej*, seria: Biblioteka Pana Cogito, Kraków 2021

*Odmiany pograniczności. Szkice o literaturze współczesnej i najnowszej*, red. Zbigniew Chojnowski, seria: Biblioteka Pana Cogito, Kraków 2020

Józef Maria Ruszar, *Zapasy ze światem Zbigniewa Herberta. Esej o życiu pisarzy w czasach pierwszych sekretarzy*, seria: Biblioteka Pana Cogito, Kraków 2020

Institut Mikołowski im. Rafała Wojaczka

Kazimierz Brakoniecki, *Pies na wiersze albo Pieczewo*, seria: Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 185, Mikołów 2021

Jerzy Ciurlok, *Mała wielka księga drogi*, seria: Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 184, Mikołów 2021

K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika I

Marzena Jaworska, *Pliki otwarte*, seria: „Faktoria Poezji”, tom XX, Brzeg 2021

Marek Lobo Wojciechowski, *Rozdanie*, seria: „Faktoria Prozy”, tom IX, Brzeg 2021

Aleksandra M. Perzyńska, *Szóste wymieranie*, Brzeg 2020

Państwowy Instytut Wydawniczy

Anna Nasiłowska, *Sztuczne światła*, Warszawa 2021

Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych Universitas

Jakub Kornhauser, *Preteksty, posłowania. Małe kanony literatury światowej*, Kraków 2019

Wydawnictwo a5

Nuala Ní Dhomhnaill, *Cierń głogu*, wybrała i przełożyła z angielskiego Krystyna Dąbrowska, seria: Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5, tom 113, Kraków 2021

Wydawnictwo Austeria

Piotr Piaszczyński, *Pamiętnik meteopaty. Wiersze 2018–2020*, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2021

Wydawnictwo Convivo

Leszek Szaruga, *Łowca*, Warszawa 2021

Dominik Żybartowicz, *Przez sen i gwiazdę*, Warszawa 2021

Wydawnictwo MG

Emily Brontë, *Wichrowe wzgórze*, tłumaczenie Piotr Grzesik, Warszawa 2021

Walter Scott, *Waverley, czyli sześćdziesiąt lat temu*, przekład Teresa Świdarska, Warszawa 2021

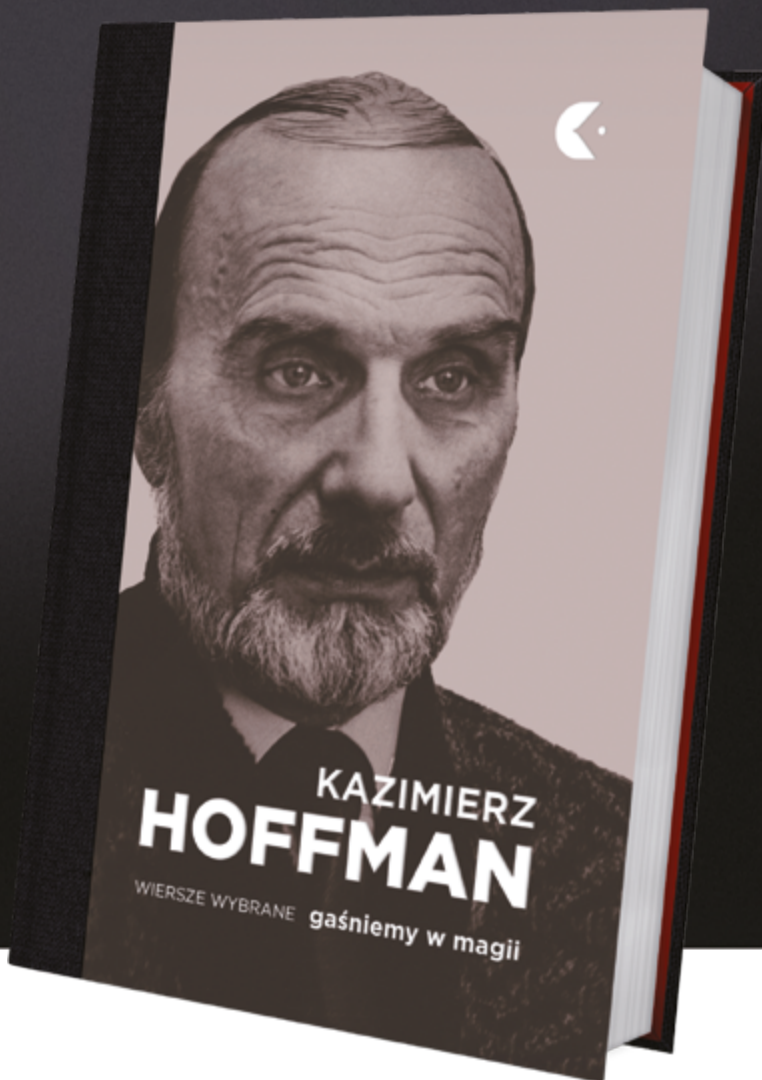
Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

Ewa Brzeska, *Recepcja twórczości Samuela Becketta w Polsce*, seria: Monografie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, Toruń 2020

Wydawnictwo Pasaze

Jerzy Madejski, *Poetyka ekstremalna oraz inne noty o liryce i krytyce współczesnej*, seria: Granice wyobraźni, Kraków 2021

Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy poleca:



Wydawnictwo towarzyszy II edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Kazimierza Hoffmana „KOS”

więcej informacji: [www.kpck.pl/kos](http://www.kpck.pl/kos)

Wydawca i opiekun twórczości Kazimierza Hoffmana



**KUJAWSKO-POMORSKIE  
CENTRUM KULTURY  
W BYDGOSZCZY**



Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy  
jest instytucją kultury Samorządu Województwa Kujawsko-Pomorskiego



Województwo  
Kujawsko-Pomorskie



Marszałek Województwa  
Kujawsko-Pomorskiego  
Piotr Calbecki

Konkurs objęty honorowym patronatem  
Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego

**CENA 11 zł** (8% VAT)

ISSN 1232-2105



9 771232 210109



INDEKS 36294

02